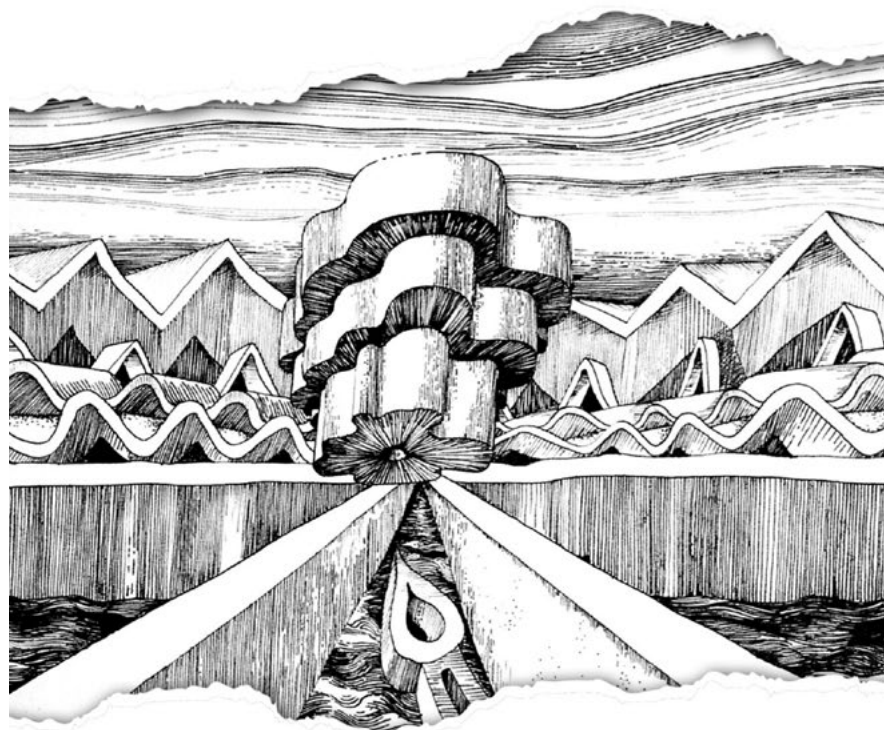




JÓZEF KRUPA

coś minęło,
coś zostało...

Rodzinie i przyjaciołom

Spis treści

ABC czyli dawno temu, w czasie wojny	5
Adwent	17
Barbara, czyli spotkanie w muzeum	19
Czas odnaleziony	22
Epizod ślubny	25
Fela	27
Ikony	29
Kajak	35
Krzyczące pawie	36
Latarnik 1945	37
Lekcje rosyjskiego	40
Marta	42
Matejko	49
Moje wiolonczelowe granie	51
Na pierwszym obozie harcerskim	53
Nie wiem	56
Nowy kościół	58
Nowy York	63
Moja pierwsza praca przymusowa	66
Początek wojny	69
Przedwojenne dzieciństwo	84
Przygody scenografa na planie zdjęciowym	86
Ruska kura	87
Początki rysowania	88
Stary rybak	92
Traviata	94
Ukraińskie spotkanie	98
Victor story: Sen matki	101
Wielki dzwon	105
Wigilijny powrót taty	107
Zamiast epilogu – Biała mgła	109

Abc czyli dawno temu, w czasie wojny

Inaczej niż moi rodzice, przeżyłem wprawdzie część mego dzieciństwa w Polsce i trwało ono osiem lat, a potem przyszło na pięć i pół roku to niemieckie. Młodość przeżywałem już w tej innej, Polsce ludowej, bo komunistyczną jej nie nazywaliśmy. Moi rodzice mieli niemieckie dzieciństwo w pruskiej, kajzerowskiej Westfalii, ale zabarwione śląskimi tradycjami. Po nim nastąpiła jeszcze mniej polska, a bardziej śląska młodość w rodzinnych stronach moich dziadków, tu na Górnym Śląsku. Ich dzieciństwo było trudne, trwało w wielkiej biedzie czasu pierwszej wojny światowej i zaraz po niej. My nie głodowaliśmy w czasie drugiej wojny światowej, ale też nie żyliśmy w dostatku. Mieliśmy się jednak znacznie lepiej niż oni.

Gdy nasi rodzice przyjechali na początku lat dwudziestych, na ciągle jeszcze niemiecki Górny Śląsk, mniej tu mówili po niemiecku, a w gwarze śląskiej, którą już znali z Westfalii. Język niemiecki mieli opanowany doskonale, bo w kraju swego urodzenia ukończyli szkoły podstawowe. Mama nie nauczyła się nigdy całkiem poprawnie mówić w języku polskim, a jeśli coś pisała, to niemieckim pismem tak zwaną Langschrift (gotyk), którym posługiwała się w szkole. Przy zakupach liczyła po niemiecku. Czytała książki polskie, jak i niemieckie. Mama lubiła śpiewać i często przypominała sobie piosenki i pieśni, których nauczyła się w niemieckiej szkole. Zapamiętałem, że śpiewała znaną balladę Lorelei Heinricha Heinego: Ich weiss nicht was soll das bedeuten, dass ich so traurig bin... Ojciec potrafił jeszcze w późnym wieku wyrecytować dwadzieścia czterozwrotkowy wiersz Friedricha Schillera „Die Glocke”. Rodzice porozumiewali się czasem ze sobą z konieczności po niemiecku, gdy poruszali problemy osób dorosłych. U nas mówiło się na co dzień po śląsku. Tak rozmawiałem z rodzicami, z rodziną i z kolegami. Gwara śląska była naszym językiem, nieco innym niż ten, którego uczyłem się potem w szkole powszechnej, a przedtem w przedszkolu przyszpitalnym. Napływowi mieszkańcy mówili, jak my to nazywaliśmy, „czysto po polsku”. Ojciec z racji swej ochotniczej służby wojskowej w orkiestrze pułkowej w Krakowie, a potem poprzez doksztalcenie nauczył się w miarę poprawnie mówić po polsku. Po wojsku pracował w szpitalu jako pielęgniarz, co go też zmuszało do nauki poprawnego języka polskiego. Pracę tę otrzymał, bo dyrektor szpitala miał ambicję posiadania własnej orkiestry, a ojciec grał na kilku instrumentach. Urodził się jako Kruppa, jak pisano zmienzone nazwisko jego dziadka tu na niemieckim Śląsku za czasów

Bismarcka od czasu Kulturkampfu. Po przyłączeniu w 1922 roku części Górnego Śląska do Polski, usunięto urzędowo z nazwiska jedno P. W czasie wojny Niemcy przywrócili pisownię nazwiska taty według oryginalnego niemieckiego dokumentu urodzenia z Bottropu. Ja też podpisywałem się w czasie wojny, jak dziadek i tata Josef Kruppa. Po wojnie nastąpiła zmiana pisowni i byłem znowu zwykłą polską Krupą. Tak jak w moim polskim przedwojennym dokumencie urodzenia.

We wczesnym dzieciństwie chętnie ganiałem z kolegami po pobliskich walach ochronnych na dawnej strzelnicy przy ul. Strzeleckiej, czy też grałem w palanta na rozległych ugorach w pobliżu. O prawdziwą piłkę do „Fussballu” było raczej trudno. Tata wołał, bym się rozwijał muzycznie. Może myślał o tym, bym ja spełnił jego własne marzenia o tym, by zostać muzykiem zawodowym. Zimą były sanki i łyżwy. Na ostatnich raczej nie jeździłem po lodzie, a po oblodzonej ulicy. Zanim otrzymałem od córki przyjaciół mamy używane łyżwy holenderki do przykręcania „na kurbłą”, jeździłem jak większość kolegów na drewnianych pantoflach, pod którymi był przeciągnięty gruby drut. Latem odciągało mnie od pilnego ćwiczenia na skrzypcach przebywanie nad pierwszą rzeką i nad drugą, Rudą, która była miejscem kąpeli nas chłopców z ulicy Wodnej. W rzece Rudzie nauczyłem się pływać. Wtedy woda była tam bardzo czysta, głębsza, a prąd wartki. Sam unosił i nauka pływania poszła łatwo. Miałem też inne dorywcze zainteresowanie. Lubiłem malować „tuskami”, czyli farbami wodnymi w postaci guzików. Tych przyborów malarskich nie miałem nigdy za dużo, papieru dobrego też nie. O karierze sportowej nigdy nie marzyłem, bo zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam po temu odpowiednich warunków. Nie byłem tak zwinny jak inni koledzy i szybciej się męczyłem. Przy grze w piłkę nożną grałem zawsze w „obronie”, gdzie było mniej biegania. Lepszy byłem w grze w piłkę rzucaną, a nie kopaną, którą nazywaliśmy „walką narodów”.

Najchętniej przebywałem jednak w swej najbliższej okolicy, na terenie starej strzelnicy przy końcu ulicy Strzeleckiej, gdzie mieliśmy i nasze boisko zarówno do piłki nożnej jak i do palanta. Dalej były rozległe łąki i dwie rzeki. W tych żyły wtedy ryby i raki. Za Rudą były rybnicko-paruszwieckie lasy. Był pierwszy, wysoki sosnowy las, za którym prowadziła od Wielopola do Paruszwowca urocza leśna aleja, dziś bardzo ruchliwa droga obwodnica przed wjazdem do miasta. Za nią był drugi las, po brzegach tylko młodniki, za którymi rozciągał się wieloletni bór. Tam zbieraliśmy borówki i brusznice, brusiny po naszymu, oraz jesienią chodziliśmy na grzyby. W nim było miejsce zwane burlochem (z niem. Bohrloch), gdzie wykonano dwukrotnie najgłębsze wiercenie geologiczne na świecie. Było też miejsce

zwane prochownią. Tu przed wojną przechowywano środki wybuchowe rybnickiego batalionu WP. Wtedy był to teren chroniony drutem kolczastym przez uzbrojonych żołnierzy. Tu w pobliżu ogrodzenia rosły zawsze najdorodniejsze grzyby. Dorosłym nie wolno było się zbliżyć, a nam dzieciom żołnierze pozwalali. Gdy się szło wzdłuż pierwszej rzeki, właściwie kanału, docierało się do zagajników gęsto porośniętych głównie olchami. Dalej zaczynały się już stawy Starej Rudy. Ostatni staw przekształcono na miejskie kąpielisko z plażą, przystanią dla łódek i kajaków oraz zbudowano kabiny do przebierania się, oraz dość wysoką skocznię - trampolinę. Niestety, tam pobierano jednak opłatę za wstęp. Przy kąpielisku był stylowy drewniany pawilon z restauracją, gdzie odbywały się przed wojną koncerty promenadowe. Występowała tam orkiestra braci Szafranków, w której grał i nasz tata. Na kąpielisko Rudę nie zabierał nas tata zbyt często, jak przypuszczam z powodu opłat za wstęp. Czasem jednak bywaliśmy tam i wtedy tata wypływał ze mną aż na środek stawu zabierając mnie na plecy. Byłem z wodą wcześniej oswojony i nie bałem się. Zachodziliśmy czasem z tatą nad stawy Starej Rudy, gdzie się też kąpaliśmy. Tu jednak bałem się początkowo bardzo pijawek, których sporo tam było. Niemniej pamiętam do dziś te czarowne miejsca, pełne pachnącego tataraku i żółtych irysów wodnych oraz białych lilii. Roztaczała się tam przejmująca woń, trochę zaprawiona bagiennym zapachem gnijących roślin, którą do dziś pamiętam. Było to jedno z najbardziej urokliwych miejsc mego dzieciństwa. W czasie wojny wstęp na kąpielisko nadal nie był darmowy, ale mieliśmy swój sposób by dostać się tam omijając płot tuż przy rzece. Nie pamiętam już jakie ptaki tam śpiewały, ale bardzo mocno utkwiło mi w pamięci wołanie kukułki, ptaka, którego wtedy odmalowałem z ilustracji. Jeśli o dźwięki chodzi, to zapamiętałem z leśnych wędrówek na grzyby czy jagody ten przejmujący szum drzew i owadów, oraz śpiew ptaków. W pierwszym lesie zbierano z ponacinanej kory sosen żywicę do zawieszonych na pniach naczyń. Zapamiętałem ten zapach o silnym aromacie, tak jak ten macierzanki i wrzosów jesienią. W okresie kopania kartofli rozpalaliśmy ogniska, czyli nasze fojerki do pieczenia ziemniaków. Paliliśmy je z naci po wykopanych kartoflach. Zawsze udawało nam się znaleźć jeszcze parę ziemniaków. Robiliśmy sobie kadzidła, z jakiejś starej konserwy zamocowanej na pętli z drutu. Była to świetna zabawa, zwłaszcza o zmroku, gdy widać było żarzące się łuki, jakie zataczaliśmy naszymi kadzidłami. Na koniec robiliśmy zawody w wyrzucaniu Ich wysoko w górę, tak jak startujące rakiety. Co to są rakiety, jeszcze przed wojną i na jej początku nie wiedzieliśmy. Dopiero pod koniec wojny, gdy Niemcy posługiwali się V1 i V2, atakując Londyn dowiedzieliśmy się jaka to broń.

Moje zdolności plastyczne odkryto w pierwszej klasie szkoły powszechnej im. Józefa Piłsudskiego. Była to nowo zbudowana szkoła tuż przy nowym Kościele (obecna bazylika). Nim do niej poszedłem, potrafiłem już czytać. Nikt nie starał się mnie tego uczyć. Pytałem rodziców o poszczególne litery i poszło mi to bez problemów. Może miałem jakiś dar kojarzenia abstrakcyjnych znaków w różne słowa? Elementarz Falskiego przeczytałem już w pierwszych dniach roku szkolnego w całości. Podczas lekcji zabierano mnie często z klasy do jakiegoś innego pomieszczenia, gdzie otrzymywałem dużo kolorowych ołówków i rozrysowane testy do pokolorowania. Bawiło mnie to, bo w domu takich wielobarwnych ołówków nie miałem. Później w szkole niemieckiej niektórzy moi nauczyciele zauważyli u mnie również zadatki zdolności plastycznych. Przed wojną narysowałem już portret marszałka Piłsudskiego. Najlepiej wychodził mi ten profilowy trumienny, odrysowany ze zdjęcia w kalendarzu z 1936 roku. Kalendarz na dany rok, to była zawsze ważna książka w domu. Do dziś mam ten przechowany mi przez mamę z roku mego urodzenia, z 1931. Takie kalendarze były bardzo popularne na Śląsku, wydawali je zarówno Polacy jak i Niemcy. Były kościelne, jak i świeckie. Te niemieckie pożyczała mama od niemieckich sąsiadów mieszkających kilka domów dalej. Niemieccy sąsiedzi bywali jednak różni. Jak Polacy, lepsi i gorsi. Były też trzy spokrewnione niemieckie rodziny, gdzie mówiono wyłącznie po niemiecku i ich dzieci uczęszczały do niemieckiej szkoły. Jak bardzo byli antypolscy, przekonałem się 1 września 1939 roku, gdy we wczesnych godzinach rannych wybuchła wojna i Niemcy wkroczyli do Polski, zaś do Rybnika już w pierwszym dniu.

Nagle nadleciały niemieckie samoloty by zaatakować uciekających polskich żołnierzy z koszar przy ul. Gliwickiej, z których kilku schowało się w naszym domu. Trwało to parę minut, sam pozostałem na podwórzu, gapilem się na samoloty z czarnymi krzyżami. Czekałem aż żołnierze pobiegną do okopów za naszym domem, które już wcześniej wykopali. Myślałem, że będą nas tam bronić. Zobaczyłem po raz pierwszy samolot tak nisko, z bliskiej odległości, że wyraźnie rozpoznałem na parę sekund twarz pilota. Nie strzelał, nie zrzucił bomby, a poleciał dalej. Widocznie uratowały nas przed atakiem wywieszone przez owych sąsiadów flagi ze swastyką, które mieli już od dawna przygotowane. Oni witali radośnie swojego Fuehrera. Polscy żołnierze nie szykowali się już do walki tu na naszym terenie, a szybko pobiegli w kierunku wschodnim opuszczając miasto. Na paradach wojskowych, na które chodziłem w czasie uroczystości państwowych w ostatnim czasie, było tak wzniośle i bohatersko. Krzyczano, że nie oddamy ani guzika. Szpital taty zafundował karabin maszynowy tutejszemu batalionowi 75.

pułku piechoty stacjonującego w koszarach przy szpitalu. Nie wiem, czy to był ten sam, który tata znalazł i zaraz w pierwszych dniach wojny zakopał w pobliskim lesie. Byliśmy tacy dumni z naszej armii, gdy odebrała niedawno Czechom Zaolzie. Teraz niektórzy żołnierze pogubili już pierwszego dnia wojny nie tylko guziki, ale i karabiny, niektórzy nawet byli bez bluzy mundurowej, gdzie mieli tak dużo tych guzików. Nie zdążyli się rano ubrać, gdy Niemcy nagle napadli podążając szosą od strony Gliwic.

Niektórzy wojskowi Niemcy, którzy zatrzymali się na początku wojny w Rybniku, byli też sympatyczni. Zaraz w pierwszych dniach wojny poszedłem z mamą i malutką Małgosią w wózku zrobić zakupy na zapas w naszym stałym sklepie kolonialnym, bo wiedzieliśmy, że w Niemczech była już żywność na kartki. Napotkany oficer zagadał mamę o Małgosię, na którą zwrócił uwagę i wyjął z kieszeni tabliczkę niemieckiej czekolady, którą jej podarował. Zamienił z mamą kilka zdań po niemiecku.

Mama powiedziała mi potem, że on też ma taką małą dziewczynkę we Wiedniu. Niemiecka czekolada mi zbytnio nie smakowała. Mało było w niej czekolady, a dużo marmolady. Niemcy od początku wojny produkowali swoje Ersatzprodukty. Powiedziałem wtedy do mamy i trochę do siebie, że nasza czekolada jest dużo lepsza. Mama odpowiedziała mi na to krótko: Naszej już nie będzie. Widocznie przypominała sobie, jak to w czasie pierwszej wojny w Niemczech było, gdy żadnej czekolady nie mieli.

Wkrótce okazało się, że Polska została podzielona pomiędzy Niemcy hitlerowskie i komunistyczną Rosję Stalina. Żyliśmy teraz w niemieckiej rzeszy. Tak miało być już na zawsze. Ich propaganda trąbiła, że Polska została raz na zawsze wymazana z mapy Europy. Dziadek Jan dostał się zaraz na początku wojny do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie został po jakimś czasie zagazowany, a dziadek Józef przyjeżdżał do nas i czytał nam wierszowane przepowiednie Wernyhory, które budziły nadzieję i były o tym, że Polska znowu powstanie i będzie od morza do morza. Wojna zaczęta we wrześniu jednak trwała i obfitowała w różne nieszczęścia dla wielu rodzin. Rodzice zaczęli z konieczności uczyć nas dzieci po niemiecku, bo polskich szkół już nie miało być. Próbowali ze mną i z Bolkiem rozmawiać po niemiecku. Siostra Małgosia, która miała wtedy półtora roku, jeszcze nie mówiła w żadnym języku.

Wiosną 1940 roku Niemcy zorganizowali dla nas wstępną naukę szkolną. Wpierw była to początkowa podstawowa nauka języka niemieckiego. Byliśmy dość niechętni, nie przykładaliśmy się do tego dostatecznie. Nam ta cała niemiec-

ka zmiana wydawała się raczej czymś przejściowym. Potrafiłmy się doskonale porozumieć po śląsku i to nam wtedy wystarczało. Naszym nauczycielem został niedawny wysoki urzędnik oświaty, polski szkolny inspektor powiatowy pan Rak, ojciec mego późniejszego kolegi po fachu (w orkiestrze szkolnej graliśmy na wiołonczeni, a później studiowaliśmy malarstwo na ASP w Krakowie)). Pan Rak miał niemieckie wykształcenie pedagogiczne, więc mógł spełniać funkcję nauczyciela przejściowego. Tłumaczył nam, żebyśmy próbowali mówić po niemiecku i uczyć się tego języka, bo bez niego teraz nie poradzimy sobie. Mnie nauka niemieckiego szła łatwiej niż kolegom, których rodzice też uczęszczali dawniej tu na Śląsku do niemieckich szkół. Oni mówili prostszym, bardzo twardym językiem niemieckim. Inaczej niż moi rodzice, którzy do szkoły chodzili na zachodzie Niemiec. Ta niechęć do nauki niemieckiego wystąpiła też w nauce katechetycznej. Zaraz po wybuchu wojny zaczęliśmy uczęszczać na lekcje przygotowawcze przed pierwszą komunią św. Odbywały się one w starym budynku parafialnym. Początkowo odbywała się ta nauka jeszcze w języku polskim. Niemcy zaczęli szybko ingerować w sprawy kościoła. Polskie msze, nabożeństwa zostały zakazane. W ogóle posługiwanie się tym językiem zostało zabronione. Wer polnisch spricht ist unser Feind. W połowie nauki katechizmu ksiądz zaczął prowadzić lekcje w języku niemieckim. Jeden z kolegów, gdy doszło do tematu spowiedzi, zgłosił księdzu, że on się po niemiecku nie będzie spowiadał, bo nie ma żadnych niemieckich grzechów, a jeśli o przeklinanie chodzi, to robi to tylko po śląsku i mało po polsku. Od czasu do czasu zaglądałem jeszcze w te polskie książki, które były w domu. Wkrótce jednak trzeba było je gdzieś głęboko pochować, bo posiadanie ich było karalne, dostęp do nich był odtąd utrudniony.

Po jakimś czasie nauki języka niemieckiego tata zabrał mnie do miasta, do budynku dawnego ratusza przy rynku. Byłem tam po raz pierwszy, bardzo mnie tamtejsze wnętrza oczarowało. Całe piętro, zajmowała biblioteka, regały pełne książek. Była to wypożyczalnia dla czytelników. Tata mnie zapisał, pomógł wybrać pierwszą niemiecką książkę do czytania. Było to któreś z indiańskich opowiadań Gerstaackera. Czytanie szło mi bardzo opornie. Te pierwsze opowiadania nie należały jeszcze do tych lektur, które się wchłaniało, bo nastroczały mi mnóstwa trudności w rozumieniu wielu słów i trochę to zniechęcało do czytania. Dopiero po jakimś czasie obudził się we mnie głód czytania książek przygodowych, takich jak kolejne tomy Karla Maya i inne, które wciągały mnie w świat przygód w nowo poznawanym języku. To czytanie po niemiecku nie było jednak łatwe także z innych względów. Początkowo nie potrafiłem tego przeczytać, bo litery były zgola

inne od tych, które znałem dotąd. W Niemczech pisało się i drukowano jeszcze wtedy szwabachą, czyli pismem gotyckim. Musiałem się jakby na nowo nauczyć pisać i czytać. Tata kupił mi nim zacząłem uczęszczać do niemieckiej szkoły elementarnej niemieckiej dla szkół na Śląsku, o nazwie Schlesierfibel. Był to podręcznik dla pierwszej klasy, ale już wprowadzający w hitlerowską doktrynę. Był kolorowy, nie jak ten mój pierwszy polski elementarz z Alą i Asem. Pełno w nim było Hakenkreuzów i umundurowanych ludzi, tak młodzieży, jak i dorosłych. Niemcy stali się podczas wojny bardzo oszczędni. Nawet w nauce pisania. Ja uczyłem się w polskiej pierwszej klasie pisania atramentem na papierze zeszytowym. Teraz otrzymałem czarną mini tablicę oprawioną w drewnianą ramę, ale nie pisało się na niej kredą, a rysikiem. Cały zapis można było potem zmasać małą gąbką. Jak z tablicy. Zacząłem się uczyć pisania czarno na białym, a teraz odwrotnie, białą na czarnym. Po jednej stronie tabliczki była kratka do rachunków, a po drugiej linie do pisania. Tata i mama znali to pismo doskonale i szybko przy ich pomocy też je opanowałem. Zamiast dalszych przygód Ali i Asa z elementarza ukończonej pierwszej polskiej klasy, poznawałem niemiecką dziecięcą obyczajowość o hitlerowskim zabarwieniu. Niedługo czytałem biegle w nowo poznanym piśmie gotyckim, jak we wcześniej poznanym łacińskim. Jednak za rok Niemcy przeprowadzili reformę pisma. Pismo gotyckie poszło do lamusa, zaczęliśmy się posługiwać pismem łacińskim. Ci koledzy w klasie, którzy przybyli z głębi Niemiec, mieli z tym większe kłopoty, musieli się tak samo mozolić, jak my wcześniej nad gotyckim. Łacińskie pismo znaliśmy już z polskiej szkoły.

Wtedy dużo czytałem, chodziłem już sam do biblioteki miejskiej. Miałem też inne zajęcia, jak narzucone mi przez tatę ćwiczenia na skrzypcach. Tata nauczał mnie sam, był dobrym muzykiem, choć amatorem z wielką pasją. Nauczył się w orkiestrze wojskowej gry na rogu (Waldhorn) i kilku innych instrumentach. Myśmy mówili wtedy, że tata gro na trombie. Grał także na altówce i to w znanym kwartecie Antoniego Szafranka. Bracia Szafrankowie, którzy jak on przybyli na Śląsk z Westfalii, założyli przed wojną w Rybniku szkołę muzyczną i orkiestrę kameralną. Ojciec opanował także skrzypce i cello. Polskiej nazwy instrumentu wiolonczela jeszcze wtedy nie znałem.

Od jesieni 1940 zacząłem już normalnie uczęszczać do szkoły, która nazywała się teraz Volksschule i mieściła się w budynku tak zwanej starej szkoły, obok starego kościoła. Dla mnie było to na drugim końcu miasta, trzeba było tam dojechać, idąc pół godziny przez całe miasto. W mej dawnej szkole bliżej domu Niemcy utworzyli teraz szpital wojskowy. Ostatecznie polubiłem tę niemiecką szkołę,

Trudności językowych już nie miałem. Spotkałem tu sporo nowych kolegów także z miasta, a nie tylko z mego sąsiedztwa. Wielu z nich, którzy mówili „czysto po polsku” poznało teraz z Rybnika. Pojawiali się natomiast inni, którzy przyjechali z głębi Niemiec i mówili często trochę inaczej po niemiecku, nie czystym językiem literackim tak zwanym Hochdeutsch, a zaciągali po dolnosaksońsku, czy berlińsku, takim ichnim śląskim. To były dzieci ewakuowane z terenów silnie bombardowanych przez Aliantów. U nas prawie do końca wojny nie było nalotów bombowych. Panował tu względny spokój. Mieliśmy tu początkowo spokój dzieciństwa nieświadomego zagrożeń wojny.

Mimo ocierania się nas dzieci dość płytko o wojnę, wiele tragicznych wydarzeń zaczęło jednak do mnie docierać. Wiedziałem o dziadku Janie, że przebywał w obozie koncentracyjnym w Dachau, bo spalił kukłę Hitlera na pikniku powstańczym, podobnie o wujku Erwinie w innym obozie, bo był przed wojną policjantem. Otrzymałem od mamy do przeczytania list dziadka, pełen wyciętych przez cenzurę okienek tuż przed moją pierwszą komunią z życzeniami dla mnie. Było w nim przesłanie, abym się w życiu nigdy nie zajmował polityką. Czy tego dotrzymałem? Chyba nie, bo mnie w 1981 w stanie wojennym usunięto z telewizji, jako nienadającego się do pracy w jednostce zmilitaryzowanej. Później dotarła do mnie wiadomość o śmierci dziadka, gdzie zwykle w takich dokumentach jako przyczynę podawano zapalenie płuc, a nie, że ich po prostu zagazowano.

Nasz najstarszy kuzyn Hardi został powołany do niemieckiego wojska. Miał niemieckie imię Reinhardt, nadane mu tam w Westfalii, gdzie się urodził, ale pisał do nas swe listy z głębi Rosji w języku polskim, który lepiej znał od niemieckiego. Jeszcze na początku wojny zajeżdżał często do nas do Rybnika. Wtedy, we wrześniu 1939 obrodziły obficie kasztany. Ja je zbierałem, a Hardi wyczarowywał mi z nich małe czołgi. Urządzaliśmy potem wielkie bitwy pancerne, w których inaczej niż w rzeczywistości, zawsze wygrywały te polskie. Niedługo potem przyszło mu w Rosji brać udział w prawdziwych bitwach. Hardi dotarł daleko w głąb Rosji, prawie blisko Moskwy, ale już stamtąd nie wrócił. Z Wodzisławia przyjeżdżał do nas dziadek Józef. Od niego dowiadywałem się o tajnych wieściach dotyczących losu wojny. Miała się zakończyć wielką klęską Niemiec jak i Rosji, a Polska miała znów odrodzić się na nowo. Nie żyliśmy w dostatku, ale też nie zazналиśmy większej biedy i głodu, choć sytuacja gospodarcza Niemiec z każdym nowym rokiem wojny się pogarszała. Miałem chyba dwanaście lat, gdy tata postanowił, bym zaczął naukę gry na wiolonczeli, tyle że dla mnie nazywał się ten instrument wtedy cello. Granie na nim mnie zainteresowało, więc pilnie ćwiczyłem. Tata pracował

do końca lutego 1943 w szpitalu psychiatrycznym. W marcu powołano go jako urodzonego niemieckiego obywatela do wojska. Nie poszedł na szczęście na front wschodni, a dostał się na południowe wybrzeże Francji do ochrony wybrzeża. Tam spokój trwał do sierpnia 1944, gdy dwa miesiące po wylądowaniu w Normandii, alianci zaatakowali i na południu Francji.

W czasie pobytu taty w wojsku niemieckim zostałem przyjęty do niemieckiej szkoły średniej, do Oberschule imienia Wernera Moeldersa, myśliwskiego pilota odnoszącego duże sukcesy w walkach powietrznych, który ostatecznie też został zestrzelony i uznany bohaterem. Uczęszczałem tam bardzo pilnie i z dużym zainteresowaniem. Język niemiecki miałem już wtedy doskonale opanowany. Byłem bardzo przejęty, że chodziłem do takiej szkoły, gdzie mogłem się także uczyć języka angielskiego. Początkowo mieściła się ta szkoła w dawnym gimnazjum rybnickim, ale to trwało krótko, bo ten budynek szkolny został przez Niemców również przeznaczony na szpital wojskowy. Bitwa stalingradzka odwróciła już prawie losy wojny, klęska wisiała nad Niemcami. Było coraz więcej poległych i rannych niemieckich żołnierzy. W szkole mieliśmy także przedmiot muzyka. Prócz normalnego śpiewu było sporo teorii i umuzykalniania. Gdy mój wychowawca dowiedział się, że uczę się grać na wiolonczeli, zaproponował mi naukę gry w szkole muzycznej, której był kierownikiem. Jako profesor muzyki i zarazem nasz wychowawca, prowadził również szkolną orkiestrę. Sam zaczął mnie uczyć gry na tym instrumencie, bo chciał, abym i ja zasilł szeregi orkiestry jako wiolonczelista. Dołądził tam tylko jednego wiolonczelistę, mego nieco starszego, późniejszego kolegę Leona z TV Katowice. W orkiestrze jednak nie zdążyłem już zagrać. Był też mój drugi ulubiony przedmiot Kunst, czyli SZTUKA. Naszym nauczycielem przedmiotu zwanego w polskiej szkole rysunki, tutaj był prawdziwy artysta malarz. Przy pomieszczeniu, gdzie mieliśmy lekcje tego przedmiotu, istniał jeszcze dodatkowy aneks, do połowy oddzielony ścianą, w którym nasz profesor miał swoją pracownię. Stała tam sztaluga, na niej czasem można było zobaczyć kompozycję jaką aktualnie malował. Nas najbardziej bawiło podglądanie obrazu z nagimi nimfami, ale ten najczęściej zakrywał, gdy mieliśmy tam lekcje. Dla mnie był to ciekawie prowadzony przedmiot i nauczyłem się dość dużo. Miałem w klasie kolegę, który przybył na Śląsk w czasie wojny z Westfalii. Jego rodzice urodzili się na Opolszczyźnie. Wolfgang wykazywał duże zdolności plastyczne i zawsze rywalizowaliśmy ze sobą o najlepsze stopnie. Mieliśmy je jednakowe. Tyle, że Wolfgang miał lepsze farby ode mnie, komplet prawdziwych „Pelikanów”. Ja częściej posługiwałem się tylko ołówkiem. Ku mojemu zdziwieniu, choć nie miałem tak kolorowych

obrazków jak on, to otrzymywałem ten sam stopień. Czasu miałem teraz znacznie mniej. Musiałem też pomagać w domu, bo mama miała coraz więcej problemów, by sobie dać rady z naszą piątką. Najwięcej była zajęta najmłodszym z braci Piotrem, który w 1944 miał dopiero rok. Zaczynały się trudności z zaopatrzeniem mimo systemu kartkowego. Dotyczył on wszystkiego, odzieży, butów, nie mówiąc o żywności. Do sklepu mięsnego chodziłem ja i stałem tam w długiej kolejce. Mama świetnie radziła sobie z gotowaniem prawie z niczego. Była dobrą kucharką, bo czasem gotowała też na weselach. Z tą czekoladą miała wtedy na początku wojny rację, nie było jej już wcale. Zamiast kakao otrzymywaliśmy namiastkę z łusek kakaowych. Mama gotowała słodkie buraki i z nich uzyskiwała syrop, który zastępował cukier. Robiła nam czasem smakołyki niby marcepanowe z masy ziemniaczanej z dodatkiem tegoż syropu, odrobiny cukru no i niemieckich produktów aromatowych imitujących smak marcepanu. Poturlane to było w odrobinie imitacji kakao i mieliśmy wojenne marcepany. Z czerwonych buraków powstawała też fantastyczna marmolada do chleba. Smakował mi wtedy także chleb posmarowany samą musztardą. To był czas różnych namiastek. Zarówno żywnościowych, jak i włókienniczych. Żartowano, że tkaniny robi się teraz nie z bawełny, a z włókien ostów, bo drapały ciało. Propagowano zaś liście pokrzywy jako witaminowy dodatek jarzynowy do chleba. Chodziliśmy często do lasu zbierać jagody i grzyby, co uzupełniało nasz zestaw zaopatrzenia w owoce. Czasem jeździłem z ciotką w Raciborskie po warzywa i owoce na wymianę za jakieś części zbędnej garderoby. To odbywało się głównie w czasie letnim, podczas wakacji. W ciągu roku szkolnego byłem jednak zaabsorbowany szkołą oraz ćwiczeniem na wiołonczeni. Od czasu do czasu też coś malowałem. Język niemiecki nie nastroczał mi żadnych trudności, byłem bardzo odcytany. Mówiłem z dobrym akcentem po niemiecku. Już w szkole podstawowej miałem niezłych nauczycieli, którzy często uczyli poza podstawowymi przedmiotami także śpiewu i interesowali się moimi zajęciami muzycznymi. Jeden z nich potrafił bardzo ciekawie opowiadać o swoich stronach rodzinnych, a pochodził z Sudetów spod góry Śnieżki. Opowiadał bardzo barwnie o chwilach przeżywanych tam na górze, gdzie przebywał czasem ponad chmurami i o pełnych czaru wschodach i zachodach słońca. Przez jakiś czas urzekło mnie modelarstwo lotnicze, ale wielkich postępów poza najprostszymi modelami nie zrobiłem. Żeby zdobyć materiały do budowy modeli wybrałem się z dwoma starszymi kolegami w przejażdżkę do trzech miast, do Katowic, dalej do Bytomia i stamtąd do Gliwic. Podróż dość skomplikowana, bo pociągiem i tramwajem. Na dalsze podróże poza Rybnik wyruszyłem jeszcze aż pod Racibórz, do Zabełkowa, a nawet gdy tatę po-

wołano do wojska, pojechałem go odwiedzić, do Opawy, do miasta położonego dawniej w Czechach, a dziś należącego do Rzeszy w Sudetengau. Była jeszcze wycieczka szkolna do Katowic na wystawę sprzętu wojskowego. Ta podróż była częściowo nieudana, bo mieliśmy wszyscy obniżoną ocenę ze sprawowania, ponieważ nikt nie przyznał się do zatrzymania pociągu hamulcem bezpieczeństwa trakcie jazdy. Zrobił to mój kolega Józik, którego ojciec był maszynistą, a on chciał nam pokazać jak szybko hamuje rozpędzona lokomotywa.

Z moich kolegów mieszkających przy ulicy Wodnej, w czasie wojny Rudasstrasse, nikt nie poszedł do gimnazjum. Mnie chyba przyjęto, bo tata służył wtedy w niemieckim wojsku. Ta moja nowa szkoła została przeniesiona do budynku dawnego gimnazjum Sióstr Urszulanek, gdzie teraz mieściło się niemieckie gimnazjum żeńskie. Dziewczyny miały lekcje do południa, a my chłopcy po południu. Uczyłem się pilnie angielskiego, bo ludziłem się, że wkroczą do nas Amerykanie po przegranej przez Niemcy wojnie. Dopiero od roku 1944 zrobiło się głośno wokół V1 i V2, gdy Niemcy bombardowali nimi Anglię. To były właśnie rakiety, pojęcie, którego przy zabawach z kadzidłem dawniej nie znaliśmy. Do zwycięstwa już to nie doprowadziło. Wojna trwała teraz na wschodzie oraz na zachodzie, ale i południu. Od taty nie mieliśmy wiadomości, poza zawiadomieniem, że jest vermisst, czyli ani żywy, ani martwy, tyle że zaginął. Były modły o tatę i wielkie zmartwienie. Front od wschodu zbliżał się coraz bardziej w naszym kierunku. Wolelibyśmy wyzwolenia przez Amerykanów, ale Ruscy byli bliżej. Przyjaciółka mamy, która była bardziej politycznie zorientowana, bo miała przed wojną męża policjanta, opowiadała nam trochę, jak to wygląda w komunizmie. Dla mnie najistotniejszą sprawą w takim państwie było to, że wszelka nauka jest darmowa i wszyscy mają pracę. Wiedziałem, że będę się mógł uczyć, studiować. Na jakim kierunku, jeszcze wtedy nie wiedziałem. W naszym radiu Volksempfänger, które mogło dotąd odbierać wyłącznie niemieckie stacje, dało się już teraz posłuchać zachodniego radia. Najlepszy odbiór był amerykańskiej stacji Soldatensender West z terenów wyzwolonych we Francji. Mieliśmy prawdziwe informacje o sytuacji na frontach, o stanie wojny w ogóle. Nie musiałem już wyciągać z pieca kaflowego radia dziadków, schowanego tam przez tatę owego dużego odbiornika wielolampowego. W grudniu 1944 zakończyły się na zawsze lekcje w niemieckiej szkole. Ci, którzy przybyli na Śląsk z głębi Niemiec, względnie czuli się Niemcami, lub mieli nieczyście sumienie, opuszczali panicznie Rybnik, pociągi na zachód były przepełnione. Nasz gospodarz, pan Jarosz opowiadał o strasznych scenach na kolei. Czekaliśmy na zbliżający się do nas koniec wojny. W moim atlasie szkolnym zaznaczałem

sytuację na froncie wschodnim. Miałem odnotowane ostatnie zasłyszane pozycje na północ od Częstochowy i Łabęd koło Gliwic. Potem skończyły się nasłuchy, bo wyłączono energię elektryczną. Front doszedł aż po Rybnik, Rosjanie stanęli nad rzeką Rudą I my musieliśmy się teraz przeprowadzić na stałe do piwnicy. Tak żyliśmy od 26 stycznia, gdy pierwszy granat uderzył w nasz dom, zburzył naszą sypialnię, ale nikomu się nic nie stało. W piwnicy przebywaliśmy, a właściwie spaliliśmy i mieszkaliśmy do 3. marca, do dnia urodzin taty, gdy niemieccy żołnierze przyszli w nocy i nas wyrzucili z domu. Musieliśmy się udać na punkt zborny w rzeźni miejskiej przy ul. Żorskiej. Stamtąd udało się nam po przepokupieniu niemieckiego żołnierza paczką tytoniu opuścić po kryjomu miejsce zbiórki i udać się w kierunku Niedobczyc. Po kilku godzinach bardzo męczącej wędrówki pchając zapadający się w błocie przeładowany wózek dziecięcy z młodszym rodzeństwem, Piotrem i Hubertem dotarliśmy szalenie zmęczeni do siostry mamy w Niedobczycach Wsi. Tu w jednorodzinny dom cioci znaleźliśmy tymczasowe schronienie. Spokój nie trwał i tutaj długo, bo niedaleko za domem zajęło pozycję kilka dział niemieckiej artylerii. Stąd ostrzeliwały okolice Rybnika. Mama była tym przerażona, postanowiła opuścić to miejsce i przenieśliśmy się znów po kolejnej męczącej wędrówce do drugiej cioci mieszkającej w Biertułtowach, na Emie. Tu poza ciocią I jej czwórką dzieci musiała się zmieścić nasza piątka z mamą i jeszcze dwie zaprzyjaźnione rodziny z Rybnika. Przetrwaliśmy w tym istnym kołchozie nieco ponad miesiąc do ostatnich dni kwietnia. Na szczęście nie było większych walk przy tak zwanym wyzwoleniu, czy też zajęciu tej miejscowości przez Rosjan. Było trochę strachu, przez moment bardzo niebezpiecznie, ale Rosjanie szybko wkroczyli, byliśmy wolni, a przynajmniej oszołomieni naszym końcem wojny, że przyfrontowe zło tak szybko minęło. Zaczęliśmy się szykować do powrotu, do Rybnika. Oczywiście na piechotę, bo żadnego transportu publicznego wtedy nie było. Pożyczyliśmy podręczny wózek gospodarczy, załadowaliśmy z Bolkiem nasz bagaż i w dwójkę ruszyliśmy jako konie pociągowe do Rybnika. Młodsze rodzeństwo Hubert i Małgosia siedzieli na wózku, a mama wiozła małego Piotra w wózeku dziecięcym. Dla nas nastąpił koniec wojny, choć jego skutki jeszcze nadal trwały, a sama wojna też, ale już gdzieś pod Berlinem. Zaczęło się oczekiwanie na powrót ojca, bo byliśmy przekonani, że żyje i niedługo wróci.

Adwent

Zdarzyło się to jakiś czas temu w jednym z familoków. Wszyscy sąsiedzi znali się tu dobrze i tworzyli wielką wspólnotę. Tak było kiedyś. W jednym z mieszkań żył sobie samotnie młody górnik, inwalida. Po wypadku na kopalni amputowano mu obie nogi. Po jakimś czasie opuściła go młoda żona, bo znalazła sobie kogoś, kto był zdrowy, w pełni sił i miał obie nogi, a ona bardzo lubiła tańczyć.

Inwalida zachował mocne ramiona i od czasu do czasu poruszał się po ulicach osiedla na swoim wózku. Rozmawiał niechętnie z sąsiadami, bo to co przeżył, bardzo go odmieniło. Żył tylko przeszłością, wspominał czas sprzed wypadku, gdy miał żonę i był szczęśliwy. Unikał ludzi, a sąsiedzi oraz dawni przyjaciele też go z daleka omijali. Sprawił sobie protezy, które były bardzo doskonałe, bo dzięki nim poruszał się tak, że nikt obcy nie domyślał się u niego inwalidztwa. Może żona wróci do niego, gdy zobaczy jak porusza się tak samo sprawnie jak inni? Wprawiał się w tym „proteзовym” chodzeniu już od wiosny. Minęło lato, jesień, przyszedł grudzień, ale żona nie wróciła, ani jej już nigdy nie spotkał.

W swoim oknie wychodzącym na ulicę wystawił jak inni sąsiedzi zapalone światełka adwentowe, świecące się przez cały dzień i całą noc. Może żona je zobaczy i wróci? Adwent to czas oczekiwania na przybycie, a on czekał tak bardzo, bo miał nadzieję, że coś się jeszcze w jego życiu odmieni.

O tej porze roku trudno chodzić po śliskiej drodze nawet tym, którzy mają zdrowe nogi. Dziś, dzień przed wigilią wyszedł z domu, mimo że miał kłopoty z poruszaniem się po gładkim chodniku. Na wszelki wypadek chciał kupić jakiś prezent dla żony, gdyby zechciała jutro do niego wrócić. Przy następnej przecznicy był przystanek tramwajowy i gdy tam przechodził przez jezdnię, poślizgnął się w momencie, gdy właśnie nadjeżdżał tramwaj. Upadł i tramwaj najechał mu na nogi. Jakie było przerażenie osób, które zobaczyły go pod kołami. Najbardziej przerażony był motorniczy. Leżący na torach człowiek odezwał się, że nic się nie stało, bo on ma jeszcze w domu wózek inwalidzki. Niektórzy byli oburzeni na takie głupie żarty. Wszyscy odetchnęli, gdy powiedział: ludzie, to nie nogi, to tylko protezy. Nie trzeba do szpitala, zawieście mnie do domu.

W oknie paliły się jak zwykle światełka adwentowe. Zaraz się położył, bo był bardzo zmęczony. Mimo obycia z niebezpieczeństwami, był to dla górnika bardzo stresujący dzień. Zanim zasnął, pomyślał, że może jutro w samą wigilię wróci żona. Zaraz ogarnęła go wielka senność. Chyba śnił o powrocie żony tak bardzo

przejmująco, bo śnił już odtąd ciągle i nigdy się więcej z tego snu nie wybudził.

Potem, już dłuższy czas po Bożym Narodzeniu, wszyscy dziwili się tym stale palącym się świetelkom. Uważali, że ich sąsiad był i tak zawsze dość dziwny. Nie pojawiał się ostatnio wcale na osiedlu. Myśleli, że to po tym wypadku, a teraz zimą trudno mu się poruszać na wózku inwalidzkim po śniegu.

Nadeszła wiosna, lato, jego skrzynka pocztowa była już przepelniona, niektóre listy prawie już wysuwały się na zewnątrz. W oknie paliły się nadal światełka adwentowe w dzień i w nocy. Nikogo to jednak nie zaniepokoiło, bo był przecież tym dziwnym sąsiadem. Nikt nie zapukał do jego drzwi, nikt nie włamywał się na siłę. Rachunki górnika były regularnie opłacane przelewem z jego konta, więc nikt do niego nie zachodził. On miał już swój adwent, swoje oczekiwanie za sobą. Teraz doznawał swego wiecznego spokoju przy ciągle palących się świetelkach.

Dziwne bywało zachowanie psa sąsiadów, gdy przechodzili koło drzwi mieszkania górnika. Zawsze się tam zatrzymywał, obwąchiwał próg, warczał i próbował szczekać, ale właściciel karmił go i szarpał wtedy mocno za smycz i mówił do psa: cicho, nie wolno ludziom przeszkadzać.

1994

Barbara, czyli spotkanie w muzeum

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Telewizja Katowice nadawała cykl programów o obrzędach ludowych w różnych regionach Śląska. Większość programów realizowaliśmy w studiu i dodatkowo bywały one wzbogacone fragmentami filmowymi w odpowiednich plenerach. Ja przygotowałem scenografię. Jeden z programów postanowiliśmy zrealizować we wnętrzu muzealnej chaty beskidzkiej zrekonstruowanej w Muzeum Regionalnym w Żywcu. Wpierw trzeba było uzyskać odpowiednią zgodę w jednostce nadrzędnej, w muzeum w Bielsku Białej. Gdy tam przybyliśmy, redaktor K. przedstawił mnie pani kustosz z działu etnografii. Była to urodziwa pani magister o imieniu Barbara. Po chwili redaktor K. pozostawił nas samych, abym mógł przedstawić szczegóły naszych potrzeb przy realizacji widowiska. Pani kustosz była mniej więcej w moim wieku. Zastanawiałem się, czy nie spotkałem już kiedyś tej osoby? Podczas pierwszego roku studiów w Poznaniu poznałem dziewczynę o tym imieniu. Spotkaliśmy się jedynie raz tylko, spędziliśmy dwanaście godzin w pociągu na trasie Poznań Katowice. Była to nocna jazda do domu na święta wielkanocne. Jechaliśmy samotnie w przedziale. Były to czasy, gdy w przedziały były skąpo oświetlone, nie można było czytać i czas się dłużył. Było mi jakoś trudno nawiązać rozmowę. Wiedziałem, że moja towarzyszka podróży jest również studentką, bo na półce była biała czapka studencka. Ja zresztą też miałem swój charakterystyczny beret poznańskiej uczelni plastycznej nasunięty na oczy i udawałem, że śpię. W pewnym momencie pociąg szarpnął zbyt mocno i beret spadł mi z głowy na podłogę, a zaraz na mój beret jej biała czapka. Nie wymyśliłem niczego oryginalnego, by się odezwać. Powiedziałem: Dobrze, że to wprawdzie mój beret spadł, bo czarny, na nim się koleżanki czapka nie ubrudzi.

Dzisiejsza rozmowa z panią kustosz też się początkowo nie kleiła. Nie byłem pewny, czy to ona jest dziewczyną z pociągu? Imię to samo, ale minęło już ponad dziesięć lat od naszego spotkania. Zapytałem, czy studiowała w Poznaniu, co potwierdziła mówiąc: ależ tak, jakby chciała coś więcej powiedzieć. Czy przypomina sobie naszą wspólną podróż do Katowic? Skinęła potwierdzająco głową i powiedziała, że prawie o tym zapomniała, ale uśmiechnęła się tak jak wtedy, bo zapamiętałem ten uśmiech. Teraz po latach byłem bardziej ośmielony i mimo woli zwróciłem się do niej per ty. Była zdziwiona, że zapamiętałem jej imię. Wtedy zbliżyliśmy się nieco do siebie w trakcie naszej rozwijającej się długiej rozmowy.

wy. Oboje byliśmy po przejściach. Rytm kół pociągu skłaniał nas do wyrzucania z siebie coraz większej ilości słów. Ona jednak nie o wszystkim mi opowiedziała, a ja chyba też nie. Wypowiadaliśmy nasze żale. Oboje byliśmy po rozstaniu z naszymi dotychczasowymi sympatiami. Moja ówczesna dziewczyna zapewniała mnie w swoim ostatnim liście, jaki do mnie do Poznania dotarł, że mnie nigdy nie zapomni. Wychodzi jednak za męża za kogoś, kogo jej rodzice wybrali, solidnego sztygara. Chłopak mej współtowarzyszki rozmyślił się, bo ma przejąć gospodarstwo po rodzicach, zrezygnował ze studiów i najbardziej pomogłaby mu teraz córka sąsiadów, a nie ona, przyszła pani magister od spraw mało praktycznych w gospodarstwie.

Barbara uczęszczała do szkoły średniej w Bielsku, choć urodziła się w małej beskidzkiej wiosce, gdzie spędziła pierwsze lata dzieciństwa. Opowiadała mi trochę o swym życiu w prostych i surowych warunkach górskich, o swych pierwszych latach szkolnych. Lubiła się uczyć i postanowiła pójść do liceum w Bielsku, a potem na studia etnograficzne. Ten chłopak, to była miłość z czasów szkolnych, mieszkał w tej samej wiosce co ona. Bardzo lubiła góry, ale później odwiedzała tamte strony niechętnie, by się z nim nie spotykać.

Podczas studiów spędziła sporo czasu na badaniach etnograficznych podczas górskich wędrówek. Jej praca zawodowa pochłonęła ją tak dalece, że po jakimś czasie zapomniła o tej nieudanej miłości. Potem znalazła kogoś, kogo pokochała, a on ją. Jest lekarzem. Są rodzicami dziewczynki i chłopca. Udaje się jej godzić pracę zawodową z obowiązkami matki, bo mieszkają z pomagającymi im rodzicami męża.

O mnie niczego więcej nie słyszała, nie poznała wtedy mego nazwiska, ani ja jej. Nie spotkaliśmy się w Poznaniu, bo w następnym roku przeniósłem się z architektury wewnątrz na malarstwo w ASP w Krakowie.

W czasie tamtej jazdy pociągiem czas mijał nam coraz szybciej. Nabraliśmy do siebie zaufania i w rozmowie snuliśmy marzenia o przyszłości, o tym co chcielibyśmy w życiu osiągnąć. W przedziale było dość chłodno, jakoś mimo woli usiedliśmy teraz bliżej siebie, nie jak na początku podróży, naprzeciw, a obok siebie. Już wiedziałem, że ma na imię Barbara. Objąłem ją ramieniem i było to naturalne, że siedzieliśmy zblizeni do siebie. Trudno powiedzieć, czy byliśmy gotowi na nowe uczucie. Czas wspólnej podróży kończył się, zbliżaliśmy się już do Chorzowa, gdzie trasa pociągu prowadziła tuż obok huty Kościuszko, wtedy w dużej bliskości wielkich pieców. Przez chwilę czerwona luna rozświetliła nasz przedział. Twarz Barbary nabrała jakiejś cieplej barwy, wydawała się prawie przepojona gorą-

cem. Doznałem jakiegoś nagłego impulsu, by ją pocałować. Wyczułem, że ona też tego chce. Gdy nasze usta się już zbliżały do siebie, odsunęła się nagle gwałtownie i powiedziała cicho: to przecież dziś Wielki Piątek. Nie, nie można, muszę ją zrozumieć, jest luteranką, a dla nich to największe święto jej wiary. Na zrozumienie i zastanowienie się nie pozostało wiele czasu, bo zbliżaliśmy się do Katowic. Barbara miała przesiadkę do Bielska, a ja do Rybnika. Spieszyliśmy się, nie umówiliśmy się w tym pośpiechu. Skończyła się wspólna podróż, nasze drogi się rozeszły. Jakoś łatwiej mi było w Rybniku przeboleć tamto poprzednie rozstanie z moją dziewczyną, której tak jak Barbary już nigdy później nie spotkałem.

W trakcie tamtej rozmowy redakcyjnej w Bielsku próbowaliśmy jeszcze przywołać w pamięci jakieś fragmenty wspomnień ze wspólnej podróży, ale pozostały w nas tylko okruchy wydarzeń tamtego piątku sprzed lat. Na koniec zapytałem Barbarę, czy wówczas, gdy się poznaliśmy, mógł to być początek czegoś nowego, lepszego niż to, czego przedtem doświadczyliśmy. Powiedziała, że tak, tylko szkoda, bo to był piątek, a do tego wielki. Jako etnograf zna wierzenia ludowe i to powiedzenie, że piątek, to zły początek.

9.11.2013.

Czas odnaleziony

Wracam w przeszłość, ale niczego, ani nikogo już nie odnajduję. W kalendarzu zaginionych imion odnalazłem Asię. Śliczna wesoła blondynka z Rybnika. Chemiczka, od września 1952 uczęszczała do klasy maturalnej w Śląskich Zakładach Naukowych w Katowicach. Codziennie dojeżdżała pociągiem ze stacji Paruszowiec do Katowic. Wtedy byłem na drugim roku studiów ASP w Krakowie. Miałem jeszcze miesiąc wakacji. Często wychodziłem na dworzec po Asię, która przyjeżdżała wieczornym pociągiem i odprowadzałem ją do domu. Te piętnaście minut na pokonanie drogi z dworca pod jej dom przeciągało się często do prawie godziny. Asia starała się mnie pocieszyć po mej poprzedniej nieudanej miłości. Mówiła, że nie chce, bym cierpiał po wielkim zawodzie, zapewniała mnie, że ona mnie nigdy nie zostawi. Muszę się jednak z tym pogodzić, że tymczasem jej oddanie będzie tylko połowiczne, bo ma przed sobą maturę. Potem już będziemy razem w Krakowie, bo i ona wybiera się tam na studia na wydziale chemicznym w politechnice. Nasze randkowe spotkania dawały nam poza pocałunkami także okazje do poważnych rozmów, bo Asia patrzyła na świat poważnie i jej zainteresowania związane z przyszłym zawodem skłaniały ją do poszerzania swej wiedzy poza zakres wiadomości szkoły średniej.

Nie wiem, czy dlatego, że stała mi się bliską osobą, a może ja jej również nie tylko jako ewentualny partner, ale i w osoba, która przyszłości będzie mieć do czynienia z farbami artystycznymi, więc zainteresowała się chemią farb. Ja opowiadałem Asi jak sam wyrabiałem sobie farby olejne z dostępnych środków, co nie było jeszcze poparte żadną wiedzą technologiczną. Moje farby nie były zbyt trwałe, olej lniany mi z nich wypływał po jakimś czasie na wierzch. Asia potrafiła mi ciekawie opowiedzieć, że zamiast farb olejnych do malowania obrazów wejść niedługo w użycie inne farby, będą sprzedawane w tubach jak te dotychczasowe, ale będą rozpuszczalne w wodzie w trakcie malowania. Będą szybciej schnąć i nie będą jak farby olejne z czasem ciemnieć na skutek stałego wchłaniania tlenu z otaczającego powietrza. Było coś o polimerach i żywicach epoksydowych, które są składnikami tych farb pojawiających się właśnie na początku lat pięćdziesiątych na rynku amerykańskim. Nie będą już miał na ubraniu tyłu źle oczyszczonych plam po farbach olejnych jak to zauważyła. Na pewno będą to o wiele tańsze farby. Poznałem nowe słowo akryl z tych Asi wyjaśnień. Na wykładach z technologii malarstwa jeszcze nam nic o tych farbach nie mówiono. Tak zwane chodzenie z Asią

nie było wcale nudne, bo przecież przyjemne i nawet pożyteczne.

Moje wakacje szybko się skończyły i przebywałem odtąd w Krakowie. Mieszkalem w domu akademickim. Pozostały nam listy, jednak nie pisałyśmy je zbyt często. Na początku grudnia wysłałem do Asi dłuższy list. Było w nim już o feriach świątecznych, o naszych kolejnych spotkaniach. Stęskniłem się za Asią i dawałem temu wyraz pisząc do niej. Była nawet propozycja spotkanie się w określonym miejscu już na dworcu w Katowicach, byśmy w ostatnim dniu przed feriami świątecznymi pojechali razem do domu. Nie doczekałem się odpowiedzi od Asi. Mimo to poszedłem na zaproponowane miejsce spotkania na dworcu w Katowicach, ale Asi tam nie było. Wróciłem z Katowic mocno rozczarowany. Asia zapadła, więc jej nie spotkałem, a po jakimś czasie przestałem już czekać na list od niej. Powoli zapomniałem o Asi, w Rybniku bywałem coraz rzadziej. Absorbowały mnie studia a na horyzoncie pojawiały się nowe dziewczyny, koleżanki z uczelni. Chemię farb poznawałem teraz wyłącznie na zajęciach z technologii malarstwa, niczego już nie dowiadywałem się o farbach na randkach od koleżanek.

O Asi zapomniałem całkowicie, jedyne, co mi po niej pozostało, to zdobyte w 1952 roku wiadomości o farbach akrylowych, którymi się na początku studiów od czasu do czasu dzieliłem z kolegami. O ich źródle, o Asi nie wspomniałem. Do końca studiów farby akrylowe nie były jeszcze u nas dostępne. W 1956 roku odezwała się Asia. Był to jednak echo z CZASU UTRACONEGO. Teraz po kilku latach nadszedł do mnie list Asi wysłany na początku grudnia 1952 roku. Był on adresowany do mnie, gdy mieszkalem w domu akademickim w Krakowie na Zakrzówku. List dotarł jednak do wsi Zakrzówek w województwie łódzkim, był mocno pokreślony, widniały na nim moje kolejne adresy, w końcu jednak dotarł do mnie. Niestety o wiele za późno. Byłem tuż przed ślubem z moją obecną żoną. List mi wszystko wyjaśnił, ale niczego już nie zmienił. Z ówczesnej niewielkiej miłości nic już nie pozostało, prócz utrwalonej w pamięci wiedzy o farbach akrylowych zdobytej od Asi, która wówczas bardzo poważnie zachorowała. Do świąt nie mogła już uczęszczać na zajęcia szkolne. Leżała obłożnie chora, wpierv w szpitalu, potem w domu. Była mocno zaniepokojona czekającą ją maturą. Tęskniła za mną, podobnie jak ja. Było mi jej brak. Do kontynuacji naszych spotkań jednak nie doszło. Nie tylko z winy poczty. Chyba wykazałem za mało wytrwałości w szukaniu kontaktu z nią. Zbyt szybko uwierzyłem w złe fatum, gdy i kolejna dziewczyna więcej się do mnie nie odezwała zostawiając mnie na lodzie. Asi już nigdy więcej nie spotkałem.

Gdy ostatnio czytałem Prousta, zacząłem wspominać dziewczyny z daw-

nych lat i przypomniałem sobie także Asię. Dowiedziałem się o niej co nieco z Google, że Asia już nie żyje, została wybitną chemiczką, zajęła się faktycznie chemią farb. Przypadek, czy przyczyniły się do tego i nasze randkowe rozmowy? Asia wyjechała z Polski w pamiętnym roku 1968. Osiedliła się w Szwecji, została w Sztokholmie profesorem na wydziale chemii.

Skończyłem czytanie siódmego tomu Prousta. Jego tytuł: Czas odnaleziony. Asi nie odnalazłem, przekonałem się, że utraconego czasu już nie odnajdę. Trochę odnalezionych szczegółów w pamięci, to jednak nie czas odnaleziony.

Katowice, Grudzień 2019

Epizod ślubny

Na dzień 24. maja 2007 roku zostaliśmy zaproszeni na uroczystość związaną z naszą pięćdziesiątą rocznicą zawarcia związku małżeńskiego. Odbyło się to bardzo uroczyście w Urzędzie Stanu Cywilnego w obecności pana prezydenta miasta Katowic, który nam wręczył medale za tak zwane długoletnie pożycie małżeńskie. Kopertę z gotówką otrzymaliśmy zaraz po przybyciu i zgłoszeniu się w biurze. To ostatnie było właściwą przyczyną wzięcia udziału w tej uroczystości. Rocznicą minęła właściwie już w ubiegłym roku, 29 września.

Ślub cywilny braliśmy z Ireną w Urzędzie Stanu Cywilnego w Rybniku. Przyjechaliśmy z Krakowa, gdzie studiowaliśmy i po drodze z dworca spotkaliśmy dwu moich kolegów, Jurka C. i Stefana K., którzy bez większych oporów zgodzili się zostać naszymi świadkami w urzędzie. W tym czasie zawarcie związku małżeńskiego nie miało żadnego uroczystego charakteru, a było zwykłą formalnością, rejestracją urzędową. Był to co prawda rok 1956, ale do października, tego PAŹDZIERNIKA Gomółki było jeszcze kilka dni. Gdy nieco wcześniej załatwiałem sprawę terminu ślubu i zwróciłem się do przyjmującego mnie urzędnika poprzez PROSZĘ PANA, zostałem strasznie zrugany: Wy student nie wiecie, że u nas już dawno nie ma panów, macie burżuazyjne nawyki. To was tego nie uczą? Opowiedziałem o incydencie Jurkowi i Stefanowi. W dniu ślubu Jurek zwrócił się do owego urzędnika, mającego nam udzielić ślubu specjalnie akcentując to OBYWATELU KIEROWNIKU URZĘDU STANU CYWILNEGO. Zyskał tym wielkie uznanie za takie wyrobienie obywatelskie, którym ja się nie wykazałem. Wyjaśnił przy tym, że kolega, niby ja, wyznał na zebraniu organizacji młodzieżowej ZMP swój błąd i przeprowadził ostrą samokrytykę za swe nieodpowiedzialne zachowanie w urzędzie. Obywatela urzędnika to bardzo podbudowało. My zaś mimo powagi chwili, mogliśmy się z trudem powstrzymać od śmiechu. Byłem wtedy na szóstym roku studiów w krakowskiej ASP (wtedy nie jak przed wojną Akademii Sztuk Pięknych, a Akademii Sztuk Plastycznych). Październikowe zmiany, nastąpiły dopiero za kilka dni. Artykuły w POPROSTU rozbudziły nasze nadzieje na zmiany w Polsce. Odwilż trwała zbyt krótko, tragiczna węgierska lekcja oporu zbrojnego przeciw Rosji odniosła u nas swój skutek. Zmiany stały się raczej kosmetyczne. Nazwę naszej akademii zmieniono na przedwojenną, podwyższono nam stypendia i otrzymaliśmy pomoc w postaci darmowych farb olejnych. Na akademii gremialnie rozwiązaliśmy uczelnianą organizację młodzieżową. O niej wkrótce pisa-

ło właśnie w pierwszym wydaniu Małej Encyklopedii Powszechnej z tego roku: ZMP to skompromitowana organizacja młodzieżowa, rozwiązana w Październiku 1956. Musieliśmy sporo lat poczekać na inny polski miesiąc, na Polski Sierpień 1980, który też poza nadziejami na istotne zmiany ustrojowe nie zdołał usunąć w niepamięć tych różnych obywateli milicjantów, obywateli generałów w wojsku i rządzie, tych różnych towarzyszy i WY WIECIE... Nie przypominam sobie, żeby w latach studiów zwracaliśmy się na uczelni do naszych profesorów inaczej niż PROSZĘ PANA, PANIE PROFESORZE... Z przyzwyczajenia zwróciłem się wtedy w urzędzie w ten nieobywatelski sposób do urzędnika. Przypomniałem sobie o tej historyjce, gdy odnalazłem tamten dokument ślubu, bardzo już nieczytelny na pożółkłym papierze, niechlujnie spisany. Teraz po pięćdziesięciu latach, gdy tym dokumentem musiałem potwierdzić, że już tyle lat jesteśmy małżeństwem, zwrócono się do mnie: „PROSZĘ PANA, czy Pan może mi to sam, jeśli nie odczytać dosłownie, to powiedzieć, co w nim wtedy pan urzędnik napisał?”

Katowice, 25.05.2007.

Fela

Na rok przed maturą przenieśliśmy się do jednorocznego technikum administracji gospodarczej, żeby tam uzyskać świadectwo dojrzałości i zarazem dyplom technika. Na wszelki wypadek miałbym jakiś zawód, gdybym nie mógł studiować. W domu się nie przelewało a ja byłem najstarszy z pięciorga rodzeństwa. Chciałem bardzo pójść na studia. Myślałem raz o malarstwie, to znowu o dziennikarstwie. Maturę nie przejmowałem się za bardzo, ciągle jeszcze grałem na wiolonczeli i sporo czasu zajmowały mi próby w orkiestrze szkolnej, zwłaszcza że grałem teraz w o wiele większym zespole, niż w gimnazjum, bo występowaliśmy z dużym szkolnym chórem. Były nawet publiczne koncerty i nagranie w Radiu Katowice. Jak na tamte czasy mieliśmy odpowiedni repertuar, tak popularną wówczas Kantatę o Stalinie. Było też coś z polskiego lirycznego repertuaru, jak preludium Chopina przerobione na utwór chóralki z orkiestrą: „Ach, czemu sercu smutno...” Oj bywało czasami smutno, w tym wieku chmurnym, górnym (częściej durnym), gdy pojawiały się miłosne tęsknoty. W tej nowej szkole poznałem Felę i od razu połączyło nas wielkie wzajemne uczucie. Snuliśmy pierwsze nieśmiałe plany na wspólną przyszłość, ale jej rodzice mnie nie zaakceptowali, bo nie chcieli malarza dla córki. Na Śląsku był to zawsze zawód mało poważany, taki skazujący na głód i nędzę. U tutejszych liczyło się coś konkretnego, związanego z górnictwem, najlepiej notowany był sztygar, inżynier. Okazało się potem, że upatrzili sobie już takiego dla Feli. Nasze wspaniałe chwile trwały do mego wyjazdu na studia. Zamiast malarstwa wybrałem kierunek bardziej praktyczny, czyli architekturę wnętrz w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Zdecydowałem się na studia w tamtejszej uczelni plastycznej także ze względu na wspaniałą wtedy Operę Poznańską. Wybraliśmy to miasto z moim przyjacielem Bernardem B., z tym, że on poszedł na medycynę. Jak na skrzydłach wracałem jak często mi się udawało z Poznania do Rybnika, choć jazda pociągiem trwała wówczas około 14 godzin.

Coraz częściej zdarzało się, że na próżno wychodziłem po Felę, aby się z nią spotkać, gdy kończyła pracę w banku. Wyczuwałem, że zaczyna mnie unikać. Przegrałem jako daleki nieobecny nie tyle z nią, co z jej rodzicami, którzy już zaplanowali ślub swej córki z kandydatem jakiego chcieli. Fela miała siedemnaście lat, gdy zdawała maturę, była posłuszna i uległa woli rodziców.

Około Wielkanocy 1952 roku otrzymałem od niej list, w którym mi oznajmiła, że wychodzi za męża, za co mnie bardzo przeprasza i przyrzekała, że mnie ni-

gdy nie zapomni. Nie wiem, czy mnie długo pamiętała, bo się już w ogóle do mnie nie odezwała. Nigdy się już nie spotkaliśmy. Jeszcze pod koniec naszych kontaktów namalowałem Feli na Boże Narodzenie obraz. Była to martwa natura w typowo mieszczańskim stylu, wszystko jak żywe, tak aby się mogło podobać nie tylko Feli, ale i jej rodzicom (niby jaki zdolny jestem), ale ten obraz już niczego nie odmienił. Kiedyś po czterdziestu latach przypomniałem sobie o tym i byłem ciekaw tego obrazu namalowanego wtedy, podczas pierwszego roku studiów. Myślałem o ewentualności sfotografowania tego płótna. W książce telefonicznej odnalazłem rybnicki numer telefonu jej brata, bo nazwiska Feli po mężu nie znałem. Na pytanie, czy ma siostrę Felę, dowiedziałem się, że miał siostrę, ale już nie żyje. Zaprosił mnie do siebie do Rybnika i opowiedział mi nieco o losie siostry. Fela zmarła na raka mózgu. Miała dwie córki. Tak się złożyło, że coś z naszej przeszłości do niej wróciło, bo starsza córka wyszła za artystę plastyka i z nim wyjechała w poszukiwaniu lepszego losu do Stanów, zabierając ze sobą także młodszą siostrę.

Nie było już Feli, a mój obraz gdzieś przepadł. Pamiętam, że namalowałem na nim także kilka czerwonych jabłek. Owoce te mają swe symboliczne znaczenie, są symbolem szczęścia. Czy je komu przyniosły? Feli nie, mimo imienia, które zawierało pierwiastki szczęścia. Bardzo często umieszczałem te owoce na moich metaforycznych obrazach z cyklu powidoki sceniczne czy sentymentalne. Nie zaklinałem nimi szczęścia. Wystarczyło, że dawały mi radość malowania.

Ikony

W stanie wojennym, po przymusowym odejściu z TV zacząłem zarabiać malowaniem ikon. Najchętniej kopiowałem te ruskie nowogrodzkie, bo miałem album ze znakomitymi reprodukcjami. Malowałem je na deseczkach i stosowałem nawet pozłocenia. Sprzedawałem je głównie w galeriach DESA. Dzięki ikonom zdołaliśmy bez większych problemów przeżyć czas stanu wojennego.

W trakcie malowania przypomniałem sobie o moim pierwszym zetknięciu się z ikoną. Było to pod sam koniec wojny, gdy przebywaliśmy w kwietniu 1945 roku w Biertułtowach po przymusowym opuszczeniu naszego mieszkania w Rybniku, gdzie już od kilku miesięcy przebiegała linia frontu. Tu na osiedlu familoków, gdzie w jednym z nich się urodziłem, koniec wojny przebiegał spokojnie. Nie było nalotów, ani ostrzału artyleryjskiego. Miejskowa kopalnia fedrowała do ostatniej chwili. Węgiel był na miejscu przerabiany na koks i nadal transportowany w głąb Niemiec. Do ostatnich dni przebywali tu setki jeńców rosyjskich i tak zwani robotnicy wschodni na terenie dawnego hotelu robotniczego, zwanym szlafhauzem (domem noclegowym). Robotnicy cywilni mieszkali w nim, a w barakach tuż obok mieścił się obóz jeńców. Wczesnie rano wyruszały stamtąd do pracy kolumny marszowe tych przymusowych górników. Już z daleka było słychać głuchy stukot drewnianych pantofli o bruk. Do tego harmidru dochodziło szczekanie psów uzbrojonych wartowników. Cywilni pracownicy szli luźną gromadą za radzieckimi jeńcami

Któregoś dnia pod koniec kwietnia nastąpił nalot lotniczy na uciekające w popłochu niemieckie oddziały. W nocy zamiast do pracy przepędzono jeńców i robotników cywilnych na rampę kolejową, i wszystkich wywieziono w kierunku Czech do Ostrawy. Następnego dnia rano znaleźliśmy się jakby pomiędzy frontami. Niemcy się już prawie wycofali, na górze szlafhauzu pozostał mały oddział obserwacyjny. Zauważyliśmy tych Niemców, gdy kilku miejscowych chłopców i ja skradaliśmy się tam na górę. Byliśmy zdziwieni, że Niemcy siedzieli przy zasłoniętym oknie i obserwowali przez małe otwory w czarnej tkaninie doskonale widoczny stamtąd skraj lasu i pola. Wypatrywali, czy nie wyłonią się z lasu Rosjanie. Usłyszeliśmy za chwilę okrzyk: Achtung, die Russen kommen. A do nas: Haut ab - uciekajcie. Zdołałem jeszcze na skraju lasu zobaczyć małe poruszające się zielonkawe postacie żołnierzy radzieckich. To był atak. Szybko uciekliśmy w dół i pędziliśmy do naszego familoka. Już było słychać świst kul, gdy biegliśmy drogą.

Nikommu nic się nie stało i każdy z nas dotarł do siebie w bezpieczne miejsce. Strzelanina szybko ucichła, widocznie ze strony niemieckiej nie miał już kto walczyć. Trwała jakiś czas głucha cisza. Gdzieś po godzinie zaczęliśmy ostrożnie wychodzić na ulicę. Nie było nikogo widać. Widocznie Rosjanie popędzili szybko za Niemcami. Rozeszła się wiadomość, że w szlafhauzie w magazynie jest żywność. Ja też tam zaraz pobiegłem.

Przed wojną budynek szlafhauzu był miejscem moich wakacyjnych poby-
tów na Emie, bo tak nazywała się ta dzielnica Biertułtów od nazwy kopalni Emma. Jako dziecko mówiłem, że urodziłem się na Emie, a nie w Biertułtowach, choć jeszcze później w dowodzie osobistym mi zapisano, że urodziłem się w Radlinie. Dziadek Porembski, już po powrocie z całą rodziną z Westfalii był na górniczej rencie. Tu przyjął stanowisko gospodarza - dozorczy w tym na skutek kryzysu nieczynnym hotelu górniczym. Miejsca było aż nadto, bo mogli zajmować całe pierwsze piętro. Mieszkała tam też jedna ciocia z moją kuzynką i wujek, najmłodszy brat mej mamy, który zmarł jeszcze przed wojną. Pamiętam, że w jednym z pomieszczeń stała przez trzy dni aż do pogrzebu, jego otwarta trumna. Potem bałem się trochę wchodzić do tego pokoju i zawsze go omijałem. Nigdy nie chciałem tam spać. Tu było miejsce spotkań całej licznej rodziny. My dzieci mieliśmy tam sporo miejsca do zabaw. Był też olbrzymi ogród, z rodzaju tych zaczarowanych, bo dość zapuszczony, zbyt duży jak na potrzeby babci i dziadka. Mieli tam i chlew, gdzie dziadek hodował swoje kozy. Na Emie poznałem smak koziego mleka. Po wybuchu wojny babcię w krótkce usunięto z tego budynku. Gestapo aresztowało zaraz dziadka. Jana i dostał się do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie niedługo potem został zagazowany. Babcia znalazła miejsce dla siebie u swej córki Melanii w Niedobczycach. Wtedy, po opuszczeniu Emy przez Niemców zacząłem penetrować to pierwsze piętro. Chciałem sobie przypomnieć dawne wielkie mieszkanie dziadków. Wszystko było teraz inne. W pokojach stały trzy piętrowe łóżka, jakieś skromne szafy, był i stół. Widać było, że mieszkańcy opuścili te pomieszczenia w popłochu, wszystko, choć był to bardzo skromny dobytek, było rozrzucone na łóżkach i na podłodze. W ostatnim pokoju, do którego wszedłem było trochę inaczej, bo łóżka przylegały do siebie. Jedna ściana była odsłonięta. Na jej środku znajdował się dość duży obraz namalowany wprost na ścianie. Była to ikona przedstawiająca Matkę Boską. Trochę mi wtedy przypominała znaną z reprodukcji Matkę Boską Częstochowską, ale jednak znacznie inna niż znane u nas madonny. Był to dla mnie jakiś nieznany styl malarstwa. Wszystko to oglądałem w dużym pośpiechu. Zauważyłem, że kontury były wydrapane w tynku i potem zaczernio-

ne. Użyto tylko kilku kolorów, były dość blade, nie pokrywały zbyt dobrze białej ściany. Robiło to wrażenie starego malarstwa ściennego al fresco. Zauważyłem już wtedy ten rodzaj świętej bliskości matki i dziecka Boga przedstawionej na malowidle. Dowiadywałem się później po wielu latach na studiach podczas wykładów z historii sztuki, że to *santa conversatione* (święta rozmowa). Widać było, że malarz musiał być nie lada mistrzem i dobry w portrecie. Widziałem to po rozrzuconych rysunkach głów męskich robionych ołówkiem. Chyba mistrz rysował swoich kolegów współmieszkańców. Może uznali jego talent i pozwolili tak zsunąć łóżka, by mógł wykonać to malowidło śienne. Może był to rodzaj tajnej kaplicy dla nich w tym pomieszczeniu z świętą ikoną? Mieszkańcami byli sami Ukraińcy, czasem przychodzili prosić okolicznych mieszkańców o żywność. Mówili, że dzielą się nią i przerzucają ją przez ogrodzenie z drutu kolczastego do obozu jeńców, gdzie przebywali w większości wygłodzeni Rosjanie.

Po kilku latach, pod koniec wojny wrócił do mnie ponownie problem ikony. To jednak odrębna opowieść. W 1944 roku byliśmy pełni obaw i lęku o życie ojca. Mama zachęcała nas do modlitw o szczęśliwy powrót taty z wojny. Wtedy często wychodziłem do lasu zbierać jagody, z których mama robiła nam pyszną marmoladę. W czasie zbierania modliłem się i pracowałem, takie moje dziecięce *ORA ET LABORA*. Tak bardzo chciałem, aby tata wrócił. W tym czasie byłem bardzo przejęty swoim malowaniem. Tworzyłem małe kompozycje tematyczne, takie jak grupę dzieci z instrumentami przed kapliczką pod drzewem, rodzaj majowego nabożeństwa. Pewnego dnia wpadłem na pomysł, aby zawrzeć z Panem Bogiem układ w intencji taty. Przed wojną czytałem już dużo w czasopismach katolickich o cudownych obrazach. Nie pomyślałem o pielgrzymce do jakiegoś z nich, aby się tam pomodlić o szczęśliwy powrót taty. Miałem całkiem inny pomysł. To ja namaluję cudowny obraz, jeśli tata wróci do nasz wojny. Chciałem taki obraz namalować Panu Bogu, a reszty miał On dokonać. Nie miałem jeszcze żadnego pomysłu na to, co namaluję, wiedziałem tylko, że zrobię to w przyszłości, jak się poduczę w malowaniu.

Po jakimś czasie przyszła wiadomość, że tata żyje, jest w wojsku u Andersa. To wzmocniło nasze nadzieje na powrót taty. Wojna się niedługo skończyła. Moje zainteresowania malarstwem były raz większe, raz mniejsze. Miałem zdobyczne farby, które ciocia Melania dla mnie od Rosjan zachowała. Rodzina dostrzegała jakiś talent malarski u mnie. Ja teraz byłem w gimnazjum rozdarty pomiędzy zainteresowaniami muzycznymi, a literackimi. Ćwiczyłem nadal na wiolonczeli, grałem też w orkiestrze szkolnej i uprawialiśmy z kolegami tak popularne na

Śląsku muzykowanie domowe. Odbywało się to najczęściej w domu Bernarda B. Czekaliśmy na powrót taty i nie chciałem mu sprawić zawodu, bo chciałem abyśmy po jego powrocie znowu wspólnie coś zagrali. Tata wrócił z Anglii w 1946, w sam wieczór wigilijny. Tego dnia mogliśmy już wspólnie z tatą i bratem zagrać kolędy z nut, które tata przywiózł.

Po kilku latach, chyba w 1948 podczas wycieczki szkolnej w Góry Świętokrzyskie zwiedzaliśmy też dawny klasztor Święty Krzyż. Niemcy urządzili w nim w czasie wojny obóz zagłady jeńców radzieckich. Przyjmuje się, że zginęło tam około siedmiu do ośmiu tysięcy jeńców. Zwiedzaliśmy te kazamaty i byliśmy zaszokowani. Na ścianach istniały jeszcze napisy niemieckie: Kanibalismus wird mit dem Tode bestraft (kanibalizm jest karany śmiercią). Były i rosyjskie napisy o karze za kanibalizm. Więźniów trzymano w tak skrajnych, głodowych warunkach, że zdarzało się ukrywanie zwłok zmarłych i potem je spożywano. Sprawa się wydała, gdy rury kanalizacyjne zapchały się kośćmi. W jednym z pomieszczeń zauważyłem wyrytą na ścianie ikonę. Ta nie była już tak okazała, była skromnym wyobrażeniem madonny bez dzieciątka. Tu nie było podziwiania kunsztu artysty, a tylko szok w skojarzeniu z tamtymi napisami. Któryś z więźniów odczuł potrzebę uświęcenia tego nieludzkiego miejsca skromną ikoną.

Myślałem teraz mało o namalowaniu tego obrazu, który stałby się tym cudownym. Wtedy myślałem bardziej o studiach dziennikarskich, o czymś bardziej praktycznym, niż polonistyka, na którą mnie moja pani profesor języka polskiego zachęcała. Czytała moje wiersze i robiła mi nadzieje. Odważyłem się też wysłać kilka wierszy do ówczesnej młodzieżowej gazety codziennej, do SZTANDARU MŁODYCH. Przyszła opinia, która mnie bardzo zniechęciła. Był to list od zupełnie mi wtedy nieznanego, dobrze się już zapowiadającego, młodszego ode mnie o rok Ryszarda Kapuścińskiego, późniejszego wielkiego mistrza reportażu. Wierszy do druku nie przyjęto, radził mi więcej czytać. Jestem mu wdzięczny za to, że zniechęcił mnie do naśladownictwa Majakowskiego, którym wtedy byłem zafascynowany. Tuż przed maturą zdecydowałem się jednak na studia w uczelni plastycznej. Jeszcze nie na wydziale malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a w Poznaniu na wydziale architektury wnętrz. Zawód architekta wnętrz byłby w tamtych czasach odbudowy kraju bardziej praktyczny niż artysty malarza. Moja dziewczyna bardzo ulegała opinii swoich rodziców, którzy uważali, że artysta to taki niepraktyczny i nie rokujący dobrze zawód. Rodzice F. znaleźli jej szybko solidnego kandydata na męża, młodego sztygara. Przestałem się wkrótce martwić o praktyczną stronę bycia artystą. Po pierwszym roku studiów w Poznaniu, prze-

niosłem się do ASP w Krakowie, na wydział malarstwa.

W czasie studiów nie nauczyłem się tego, jak namalować cudowny obraz. Dowiadywałem się o zaś o tym, jak wspaniale malowali różni dawni mistrzowie, jakie piękne madonny wychodziły z pod ich pędzla, choć wcale nie stawały się cudownymi obrazami. Z cudów słynęły raczej inne, namalowane przez na ogół nieznaną malarzy, czasem zaś przypisywano pochodzenie cudownego obrazu Świętemu Ewangelistcie Łukaszowi, patronowi malarzy.

Zaraz po studiach starałem się znaleźć bardziej konkretną, rokującą stałymi dochodami pracę, aby łatwiej utrzymać rodzinę, którą już wtedy miałem. Nadarzyła się taka okazja w tworzącej się w 1957 roku Telewizji Katowice. Odtąd odszedłem prawie całkowicie na niespełna dwadzieścia pięć lat od intensywnego malowania obrazów. Tych o tematyce religijnej w ogóle nie tworzyłem. Wtedy namalowałem nieliczne obrazy abstrakcyjne i dużo rysowałem. Robiłem to głównie na wakacjach. Stałem się malarzem niedzielnym. Tworzyłem za to mnóstwo dekoracji do wielu rozmaitych programów telewizyjnych.

Ten telewizyjny okres skończył się w pamiętną grudniową noc, gdy uzbrojeni po zęby żołnierze w hełmach kazali nam opuścić studio. Dla mnie okazało się, że to odejście z TV będzie już bez powrotu. Nie zostałem zweryfikowany do pracy w jednostce zmilitaryzowanej, jaką się TV wtedy stała. Teraz wróciłem do malowania. Były to w dużej mierze madonny, wzorowane na ruskich ikonach, które się wtedy w Desie i innych galeriach szybciej sprzedawały, niż moje Sentymentalne Powidoki, czy kompozycje Pejzaży Scenograficznych bez tytułów, oznaczonych jedynie skrótowo literami PS i kolejnym numerem w rzymskich cyfrach. Kiedyś zrobiłem dość udaną kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Gdy zaniósłem ją do galerii, pani kierownik oznajmiła mi, że jej nie przyjmie do sprzedaży, bo sama ją chętnie kupi prywatnie dla siebie. Nie musiałem tak jak zwykle długo czekać na przelew bankowy, a nieco mniejsze pieniądze otrzymałem od razu do ręki.

Po kilku latach, gdy owa galeria, jak wiele innych przestała już istnieć na skutek spadku popytu na obrazy, spotkałem ową panią. Zatrzymała mnie, bo miała mi coś ważnego do przekazania. Okazało się, że było to i dla mnie bardzo istotne przesłanie. Wyjęła z torebki małe zdjęcie przedstawiające typową madonnę-ikonę, gdzie niewiele części malowanych można było zobaczyć, bo większość przysłaniała złotawa, wykuta w miedzianej blasze tak zwana ozdobna koszulka. Zapytała mnie, czy rozpoznaję ten obraz. Zaprzeczyłem, bo wydawało mi się, że nigdy czegoś takiego nie namalowałem. Wtedy przypomniała mi ową madonnę, którą przed laty jej sprzedałem. To był właśnie mój obraz w nieco zmienionej formie.

Ta kopia Madonny Częstochowskiej miała już teraz swoją osobliwą historię. Powędrowała z Bytomia do jej cioci do Lwowa, która pozostała tam po wojnie. Owa madonna stanowiła dla niej coś świętego, a zarazem polskiego. Jej ciocia była od dawna sparaliżowana i nie opuszczała już swego pokoju. Tak bardzo ceniła sobie otrzymany z Polski obraz przedstawiający słynącą z cudów Matkę Boską Częstochowską, że za zaoszczędzone wdowie ruble zamówiła złotą koszulkę na ozdobienie obrazu u znanego metaloplastyka lwowskiego. Nie była ona ze złotej blachy, czy nawet srebrnej, a zwykłej mosiężnej. Mistrz ją tak wypolerował, że gdy blask zachodzącego słońca rozświecał pokój, obraz nabierał złotego blasku.

Nikt nie potrafił zrozumieć tego cudu, jaki się wydarzył pewnego majowego dnia. Sąsiadka, która się tą ciocią opiekowała, zastała ją klęczącą przy łóżku, zwróconą do obrazu i gorliwie modlącą się. Ciocia powiedziała sąsiadce, że gdy niezwykle blask rozświecił obraz, wydało jej się, że ktoś mówi, aby wstała. Udało jej się samej zsunąć z łóżka i uklęknąć. Długotrwała terapia dała potem dobre wyniki w wychodzeniu ze skutków paraliżu. Wpierw jednak był ów cud, w który ciocia uwierzyła. Niedługo udało jej się pojechać do rodziny do Polski i także na Jasną Górę podziękować Św. Panience za cudowne uzdrowienie. Myślę, że już nie będę musiał wywiązać się z naiwnej obietnicy sprzed lat, że namaluję cudowny obraz.

Kajak

Po wojnie istniało kąpielisko Ruda jeszcze przez kilka lat w takiej postaci jak przed 1939 r. Była piaszczysta plaża, a poza wyznaczoną bezpieczną częścią do kąpeli, na znacznie większej pływały także łodzie i kajaki. Przedostawałem się na kąpielisko od strony „starej rzeki” bez konieczności płacenia za bilet wstępu. Na wypożyczenie kajaka nie było mnie stać. Byli jednak koledzy, którzy od czasu do czasu zapraszali mnie na popływanie, czyli wspólne wiosłowanie.

Kiedyś przepływałem z kolegą z dużą szybkością blisko brzegu, by zaimponować dziewczynom. Wołały nas, aby im pozwolić na chwilę popływać na kajaku. Obiecaliśmy im, że mogą za chwilę przyjść na przystań i będą mogły trochę powiosłować. Wpadłem na sztubacki pomysł. Dopłynęliśmy wpierw do pobliskich szuwarów przy brzegu i szybko nałapaliśmy kilkanaście żab, które zapędziliśmy do samego dziobu kajaka. Zaraz przekazaliśmy kajak z tym żabim ładunkiem dwom elegantkom czekającym już na przystani. Dziewczyny wsiadły do kajaka i oddalały się rażno od brzegu, a my przewidując sytuację popłynęliśmy wpływ za nimi. Za chwilę rozległy się przerażające krzyki i piski. Dziewczęta wstawały i wykonywały gwałtowne ruchy w kajaku, tak że po chwili kajak się wywrócił, a one wpadły do wody wołając o ratunek. Myśmy byli już w pobliżu, aby je dzielnie ratować. Nic im nie groziło, bo woda sięgała ledwo szyi. Odegraliśmy bardzo dzielnie rolę odważnych ratowników. Wszystko odbyło się jak przewidziałem. Żaby po chwili zaczęły wychodzić z dziobu i potwornie nastraszyły wiosłarki. Wpierw do wody powskakiwały żaby, a potem za nimi wpadły do niej dziewczęta. Nie były już teraz takie eleganckie, wyglądały jak topielice, które ochoczo ratowaliśmy. Wdzięcznie przyjęły naszą pomoc i uciepione kajaka odholowaliśmy je do brzegu. W ten sposób poderwaliśmy dziewczyny „na żaby”. Szybko powykręcały teraz swoją wierzchnią odzież, a my mieliśmy miły dla naszych oczu pokaz w stylu „mokrego podkoszulka”. Niestety, nasze rozmowy z dziewczynami ograniczały się tylko do jednego tematu: skąd te żaby? Wytłumaczyliśmy im, że one tam po prostu były zdomowione, tylko że my pływałem bardzo szybko i wtedy żaby mają kłopoty z wyjściem z wnętrza kajaka. Przy naszym szybkim wiosłowaniu siedziały więc cicho w dziobie. Imiona dziewcząt dawno uleciały z pamięci, a została tylko pamięć o tym żabim kajaku, czy też żabim podrywaniu.

Katowice, 2005

Krzyczące pawie

Moja siostra Małgosia opowiedziała mi przejmującą historię, która wydarzyła się przed laty. Bywają takie momenty, czasem powoduje je napięcie w przedburzowy czas, że coś, jakiś niezrozumiały impuls każe nam tak, a nie inaczej postąpić. Nie zdajemy sobie wtedy sprawy z tego, dlaczego tak robimy. Któregoś dnia przyszedł do nich, do fabryki kolega będący na urlopie. Mówił, że bardzo chciał się z nimi zobaczyć, że musiał ich odwiedzić. Pożegnali się i życzyli mu jeszcze dobrego wypoczynku podczas reszty urlopu.

Tego dnia nadeszła gwałtowna burza nad Rybnik, a najsilniej szalała w okolicy podmiejskiej w Wielopolu. Następnego dnia dowiedzieli się wszyscy w pracy o tragicznym wypadku jaki spotkał ich kolegę.

Ledwo wrócił do domu, rozszalała się potworna burza z piorunami. Ów kolega hodował pawie w ogrodzie przydomowym. Zależnione ptaki nie zdążyły się schować w ich pomieszczeniu poza ogrodem i goniły jak oszalałe od jednego drzewa owocowego pod drugie, szukając schronienia przed silną ulewą i wichurą. Zobaczył przez okno przerażone pawie i wybiegł natychmiast, żeby je zagonić do ich pomieszczenia, bo żał mu było swych ptaków. Pioruny uderzały w pobliżu, ale wcale go to nie przerażało. Gdy biegł za pawiami przez ogród, piorun uderzył właśnie w drzewo, pod którym on się znalazł. Został śmiertelnie porażony, zaś wylęknione pawie uszły z życiem i zdołały się na resztę burzy schować w swoim pomieszczeniu.

Po trzech dniach odbył się tradycyjny pogrzeb, jak to w tych czasach bywało. Wyprowadzenie trumny ze zmarłym odbyło się z domu żałoby i kondukt pogrzebowy z konnym karawanem udał się na pobliski cmentarz. W pewnym momencie dźwięki orkiestry pogrzebowej zostały zagłuszone przez przeraźliwy krzyk dobiegający z tyłu. To pawie, które jakimś sposobem wyrwały się z ich zagrody pobiegły za wszystkimi i dołączyły do konduktu z żałobnikami odprowadzającymi ich opiekuna w tej ostatniej drodze. To był dziwny pogrzeb. Z przodu grała orkiestra górnicza marsza żałobnego, za karawanem szła rodzina z liczną gromadą przyjaciół, a z tyłu za ludźmi kroczyły pawie przekrzykujące wszystko swym przeraźliwym wołaniem. Nikt nie potrafił ich odpędzić. Towarzyszyły swemu opiekunowi aż do bram cmentarza.

Katowice, 29.05.2007.

Latarnik 1945

Od 1936 roku mieszkaliśmy w dwu pokojowym mieszkaniu z kuchnią w ostatnim wówczas domu przy ulicy Wodnej, skąd już było blisko do rzeki Rudy i lasu. 26 stycznia 1945, w godzinach wieczornych, gdy front błyskawicznie dotarł pod Rybnik od strony Gliwic, pierwszy wybuch granatu wyburzył narożnik naszego budynku. Mieliśmy już o jeden pokój mniej. Nie było naszej sypialni. My pięćka dzieci z mamą musieliśmy się teraz przenieść do piwnicy, gdyż ostrzeliwanie rosyjskie trwało nadal. Od tego dnia piwnica stała się na długie zimowe tygodnie naszym mieszkaniem, jak i naszych gospodarzy. Trwało to aż do 3 marca, a datę tę pamiętam dokładnie, bo to dzień urodzin naszego taty, od którego nie mieliśmy już żadnej wieści od sierpnia zeszłego roku.

Tego dnia we wczesnych godzinach porannych usłyszeliśmy stukanie do drzwi i okazało się, że niemieccy żołnierze przyszlizli z poleceniem natychmiastowego opuszczenia domów i udania się do budynku rzeźni miejskiej na miejsce zbiórki. Zaspana dwójka najmłodszego rodzeństwa musiała się pomieścić w wózeku dziecięcym. Prawie siedmioletnia Małgosia starała się z nami nadążyć. My starsi, Bolek i ja pomagaliśmy mamie pchać wózek do przodu w ciemnościach i śnieżycy. Niewiele mogliśmy ze sobą zabrać na tę drogę w niewiadome.

Noc była na szczęście spokojna, bez strzelaniny. Po godzinnym marszu dotarliśmy do wyznaczonego miejsca. Koczowały tam już dziesiątki osób, głównie matki z dziećmi i starsze osoby. Dowiedzieliśmy się, że mamy zostać załadowani do pociągu i wywiezieni w nieznanym kierunku, gdy tylko wagony podstawią na bocznicę. Nam udało się uniknąć wywózki, bo mama przekupiła niemieckiego żołnierza paczką tytoniu. Mogliśmy niezauważeni opuścić to miejsce i w ciemnościach udaliśmy się wzdłuż torów kolejowych w kierunku Niedobczyc, gdzie mieszkała w własnym domu siostra mamy i babcia z jeszcze jedną ciotką. Staraliśmy się tam dotrzeć unikając głównej drogi. Była to bardzo męcząca trasa po błotnych, zimowych wertepach. Z trudem posuwał się nasz przeładowany wózek dziecięcy do przodu. Po wielu godzinach przybyliśmy już skrajnie zmęczeni na miejsce. Ciocie z babcią zaopiekowały się zaraz nami bardzo troskliwie, nakarmiły nas i pozwoliły odpocząć.

Nocą oglądaliśmy łuny nad Rybnikiem i słyszeli dochodzące dudnienie artyleryjskie. Niedługo i tu wojna dopadła nas na nowo. Niedaleko za domem ciotki ulokowała się niemiecka bateria artylerii. Od czasu do czasu działa prowadziły

ostrzeliwanie Rosjan pod Rybnikiem. To przeraziło mamę tak bardzo, że postanowiła przenieść się dalej stąd, do kolejnej siostry w Biertułtowach, na Emie. Tam spędziliśmy już spokojnie dalsze tygodnie aż do końca kwietnia. W przeddzień wkroczenia Rosjan nastąpił atak ich samolotów na uciekające w popłochu oddziały niemieckie drogą przez osiedle górniczych familoków, gdzie przebywaliśmy. Spadło kilka bomb, ale nikomu nic się nie stało. Jak tylko Niemcy puciekali, wkroczyli zaraz Rosjanie i popędzili szybko dalej. Tam nie mieliśmy z Rosjanami zbyt wiele do czynienia. Tu nie dochodziło do tych znanych przyfrontowych ekscesów dokonywanych przez pijanych radzieckich żołnierzy. Za kilka dni mama postanowiła abyśmy wrócili do Rybnika, bo dochodziły wieści, że można już w mieście zamieszkać.

W domu zobaczyliśmy straszne spustoszenie. Nie dość, że sporo rzeczy wykradziono, to jeszcze jeden granat uderzył w dach i zostawił dużą dziurę przed wejściem z klatki schodowej na strych. Nasz gospodarz załatał prowizorycznie dach od góry, ale dziura w suficie pozostała przez jakiś czas otwarta. Zauważyłem, że tam pod dachem były przechowywane na czas wojny polskie książki syna gospodarzy. Nie pytając nikogo o zgodę, zacząłem je sobie wypożyczać do czytania. Były to bardzo różne polskie książki, które mi wpadły w ręce teraz pod koniec wojny. Niektóre czytałem z zainteresowaniem, ale było i trochę literatury fachowej, której nie rozumiałem i nie ruszałem.

Po kilku dniach zakwaterowano w naszym domu małą grupę radzieckich żołnierzy. Zajęli oddzielny pokój naszych gospodarzy na piętrze obok naszego mieszkania. Mieliśmy więc obok nas nieproszonych sąsiadów. Trzeba przyznać, że zachowywali się bardzo przyzwoicie i nawet dzielili się z nami swoimi wojskowymi przydziałami żywności. Był pośród nich starszy żołnierz, z którym można było się łatwiej porozumieć aniżeli z innymi. Wydawał mi się trochę inny od reszty, jakiś grzeczniejszy czy miłszy dla mnie i mego rodzeństwa.

Któregoś dnia wysłała mnie mama po coś na strych. Zastałem tam owego żołnierza. Siedział za kominem i czytał książkę. Okazało się, że nie ja jedyny korzystam z biblioteki ukrytej w dachu. Byłem bardzo ciekaw, co ten Rosjanin usiłuje czytać.

Zakradłem się niepostrzeżenie i zobaczyłem przed nim książkę otwartą na LATARNIKU Sienkiewicza. Leżała tuż obok niego na podłodze, a ów żołnierz siedział z twarzą schowaną w dłoniach i usłyszałem tłumiony szloch. Deska, na którą nastąpiłem zaskrzypiała i żołnierz błyskawicznie się zerwał sięgając ręką do kabury pistoletu. Zauważył mnie i powiedział do mnie po polsku, ale tak jakoś

inaczej: cicho, chodź tu bliżej.

Zdziwiłem się, że odezwał się w ten sposób do mnie, bo uważałem go za Rosjanina. Mówił do mnie tą swoją inną polszczyzną niż nasza o tym, że urodził się na Litwie, ale spędził prawie całe życie na dalekiej Syberii. Został powołany do rosyjskiego wojska, choć zgłaszał się do tego polskiego, które w czasie wojny tworzył generał Anders w Rosji. Zapytał mnie, czy znam to, co czyta, nowelę o Latarniku. Powiedziałem mu, że przeczytałem ją już, gdy chodziłem przed wojną do pierwszej klasy. No to wiesz, że latarnik czytał tam: „Litwo, ojczyzno moja...” Ten wiersz napisał największy polski poeta pochodzący z Litwy tak jak on. Mówił, że po wojnie chciałby wrócić na Litwę, ale nie wie czy mu Rosjanie pozwolą. Prosił mnie, abym nie zdradzał go przed kolegami, że mówi po polsku. Następnego dnia wyjechała ta grupa Rosjan na front kończącej się wojny gdzieś w pobliżu Berlina. Ci żołnierze nie zabrali nam niczego, choć zdarzało się to bardzo często. Książka z nowelkami Henryka Sienkiewicza pozostała też na strychu. Gdy ją potem przeglądałem, zauważyłem, że nie było w niej strony z fragmentem inwokacji z Pana Tadeusza.

Ten żołnierz poczuł się jak ów latarnik z dala od stron ojczystych. Był teraz na terenie Polski, ale przybył tu jako obcy, bo jako żołnierz rosyjski. Nie wiem, czy tę wojnę przeżył, czy wrócił na Litwę. A może znowu tęsknił jak dawniej za Litwą, tam na dalekiej Syberii?

Katowice, 27.10.09.

Lekcje rosyjskiego

Moje pierwsze lekcje rosyjskiego zaczęły się zaraz wiosną 1945 po tak zwanym wyzwoleniu. Niby na nie czekaliśmy, ale szybko okazało się, że nie o takie wyzwolenie nam chodziło, bo nastąpiła nowa zależność, jak w tym powiedzeniu zamiana siekierki na kijek.

Okazało się, że pierwsze rosyjskie słowo jakie poznałem brzmiało jak po polsku i znaczyło to samo: dawaj, dodawano do tego jeszcze pasmotrim i znaczyło to tyle, co daj popatrzę. Niby nic, a znaczy wiele, jak w znanej piosence. Krasno-armiejec chciał na coś popatrzeć, trwało to potem bardzo długo i już na zawsze ta oglądana rzecz pozostawała u niego. Powstała śląska nazwa takich żołdatów: smotroki. Nie nazywaliśmy naszych wyzwolicieli złodziejami. Interesowali się naszymi czasami. Nie zabierali nam czasu, a nasze zegarki, które czas mierzyły i tak się po rosyjsku nazywały: czasy. Podobnie jak większość mych kolegów w szkole, nigdy nie miałem specjalnej ochoty uczyć się rosyjskiego i niewiele zapamiętałem z lekcji, a rosyjskie bukwy nadal ledwo rozróżniam. Nie pokochaliśmy Rosjan, ale też nie okazywaliśmy im wtedy jako chłopcy jakiejś wyraźnej niechęci, gdy stacjonowali u nas po wojnie. Na ogół byli to nie wiele starsi od nas młodzi żołnierze. Musiałem też przymusowo pracować dla rosyjskiego wojska w mieście. Polegało to na opróżnieniu mieszkań ze sprzętów, mebli, bo miał tam powstać szpital. Wyrzucaliśmy ciężkie gdańskie meble przez balkon na podwórze. Nawet olbrzymi fortepian poleciał w dół i rozbił się przy jęku wszystkich strun. Nie oponowaliśmy przy takim niszczeniu, bo nie musieliśmy sprzętów mozolnie znosić po schodach. Były to lekcje unicestwiania kapitalistycznego majątku. Bywały także inne lekcje. Czasami chodziliśmy z żołnierzami na ryby. Oczywiście nie mieliśmy wędek, żołnierze mieli za to dynamit. Wrzucali ładunek wybuchowy z podpalonym lontem do stawu, następował zaraz wybuch i ogłuszone ryby wypływały po chwili na powierzchnię. My mieliśmy za zadanie je wybierać i potem otrzymywaliśmy parę ryb. W tamtych czasach był to cenny łup, mieliśmy coś na obiad dla całej rodziny.

Było o pracy z Rosjanami, ale mieliśmy też i przednie zabawy dzięki nim. Tuż za domem, gdzie mieszkaliśmy zaczynały się ugory. Stał tam wysoki maszt podtrzymujący grube kable przewodów elektrycznych, które teraz zwisały z szerokich ramion w dół aż do ziemi. Rosjanie obcięli kabel metr nad gruntem, dowiązali do tego deskę, by można na niej usiąść okrakiem. Trzeba było jeszcze wypleść z kabla długi na jakieś dwadzieścia metrów pojedynczy drut, dowiązać go do huśtawki

i całą grupą odciągać potem delikwenta pod dużym kątem dość wysoko w górę. Na komendę puszczało się drut i olbrzymia huśtawka wahadło poszła w ruch. Było to wspaniałe szybowanie prawie dziesięć metrów nad ziemię. Obserwowaliśmy dość pilnie Rosjan przy tej zabawie, a gdy ich już nie było, my korzystaliśmy z huśtawki, dopóki nie zaczęto naprawiać przewodów elektrycznych, bo zaczynała się intensywna odbudowa. Nie wszędzie jednak odbudowywano, bo Rosjanie też to i owo pasmotrili, zdemontowali i wywieźli do siebie.

Później zdarzało się w szkole, że ktoś na lekcji rosyjskiego dowcipnie pytał panią profesor, czy to prawda, że w ZSRR mają fabryki pomarańcz. Uczyliśmy się o tym, że prawie wszystko pierwsi wynaleźli Rosjanie. W szkole trwała paroletnia lekcja dwuznaczności, rodził się w nas cynizm. Wtedy kino nas mało interesowało, bo wyświetlano kiepskie i prymitywne filmy propagandowe. Film radziecki uczy, kształci, bawi i wychowuje. Trwało to do śmierci Stalina w 1953, gdy już byłem na studiach w Krakowie. Wtedy jeszcze usłyszałem bicie dzwonu Zygmunta. Wawel zegnał przymusowo wodza narodów. My wiedzieliśmy swoje, ta propaganda nie docierała do nas, lekcji rosyjskiego moje pokolenie nie odrobiło.

21.11.2013.

Marta

Ostatnio miałem wrażenie, że odnajduję dawno utracony czas. Nie cały, a jakieś fragmenty rozrzucone w czasoprzestrzeni. Sięgam do 1950 roku, gdy przeniosłem się z dotychczasowego liceum do klasy maturalnej w „handlówce”, do jednorocznego technikum administracyjno-gospodarczego. Gdybym nie poszedł na studia, miałbym jakiś zawód. Drugą przyczyną były moje zainteresowania muzyczne, pociągała mnie tamtejsza orkiestra szkolna zasilana kilkoma muzykami zawodowymi ze szkoły muzycznej. Towarzyszyła ona dość wielkiemu chórowi, który miewał także występy w Polskim Radiu i różnych okolicznościowych imprezach. Łudziłem się, że łatwiej będzie mi zdać maturę z rachunków handlowych, a nie z przerażającej mnie algebry. Tam poznałem Martę, miłą i sympatyczną dziewczynę, którą polubiłem bardzo za jej bezpośredniość, ale bez nastawienia na zakochanie się. Rozmawialiśmy sporo w czasie przerw, nie spotykaliśmy się poza szkołą, bo Marta mieszkała parę naście kilometrów od miasta. Połączyły nas jednak i jakieś moments musical. Ona śpiewała teraz w chórze. Jak się okazało, uczyła się gry na fortepianie, ale o pełniejszym kształceniu muzycznym nie mogła marzyć, na wsi nie było warunków. Gdy Marta dowiedziała się, że biorę udział w wyjazdach specjalnym pociągami na przedstawienia operowe do Bytomia, prosiła mnie o zakup biletu na taką imprezę również dla niej. W następną sobotę miał być wyjazd na operę Carmen. Gdy to Marcie powiedziałem, zanuciła mi zaraz swoim melodyjnym altem fragment Habanery: „Bo miłość to cygańskie dziecię...”

W dniu wyjazdu spotkaliśmy się z Martą przed dworcem. Koledzy z dawnej klasy, z którymi się witałem spoglądali na nią z aprobatą i zainteresowaniem. Marta nawet mnie dziś zaskoczyła. Była odmieniona i bardzo elegancka w swym skromnym ubiorze, mogła się podobać. Kolegom i mnie też. Jak do tej pory nie próbowałem widzieć w niej swojej nowej dziewczyny, bo traktowałem ją jak siostrę kolegi. Marta pożyczyła mi niemiecko-angielski słownik Langenscheidta. Powiedziała mi, że nie zna zbyt dobrze niemieckiego, a mnie może się bardziej przydać. Był on podpisany przez Maćka C. mego kolegę z niemieckiej szkoły średniej. Zdziwiony tym podpisem zapytałem, czy dobrze zna Maćka. Okazało się, że to jej kuzyn, z którym się razem wychowywała, bo jego mama wzięła ją na wychowanie po śmierci jej matki, gdy była w wieku dwu lat i też po tym, gdy dwa lata później zginął za granicą jej ojciec. Została więc pełną sierotą i Maciek był dla niej jakby starszym bratem. Początkowo mówiła do swej cioci jak Maciek

mamo nim później, będąc już nieco starsza zrozumiała swą sytuację. Teraz Maciek studiował w Krakowie na Akademii Handlu zagranicznego, bo maturę zdał w tejże handlowce o rok wcześniej od nas. Wtedy, gdy chodziłem z nim w czasie wojny do jednej klasy, Maciek był ponad wiek wyrosłym silnym chłopcem. Miał nawet przydomek Bulle - byczek. Nie był jednak roslym siłaczem, nie miał w sobie niczego ze zwierzęcej siły, choć dla mnie bywał koniem, na którego ramionach jako jeździec brałem udział w walkach podczas przerw na szkolnym podwórzu. Najczęściej zwyciężaliśmy, bo Maciek pchał do przodu jak taran i mnie łatwiej było ściągać przeciwników z ich mniej roslých „koni”. Właściwie, to Maciek był łagodny i wrażliwym pianistą. Dał się poznać jako taki na pokazach w szkole. O karierze muzycznej jednak podobnie jak Marta nie myślał. Razem często zagrali na cztery ręce, albo i akompaniował śpiewającej Marcie. W przedziale pociągu do Bytomia nie było prócz Marty żadnej dziewczyny, sami chłopcy. Marta usiadła przy oknie, nie włączała się zbyt wiele w nasze rozmowy, choć było i trochę o muzyce, bo kilku kolegów było z mojej dotychczasowej szkolnej orkiestry z liceum łącznie z jej dyrygentem, moim przyjacielem Bernardem. Marta dała do zrozumienia, że sobie trochę pośpi, bo ostatnio ma duże zaległości. Schowała się za swoim lekkim letnim płaszczem, prosząc żartem byśmy jej w Bytomiu nie zapomnieli obudzić.

Pod koniec jazdy Marta obudziła się sama, wydawała się całkiem rześka, z jej wypowiedzi wynikało, że jest bardzo ciekawa przedstawienia operowego. Przyznała się, że będzie to jej pierwsza obecność na przedstawieniu operowym. Powiedziała, że szalenie lubi ten rodzaj muzyki, zna wiele melodii operowych z radia, ale nie chwaliła się, że je także śpiewa. Nie po raz pierwszy byłem w bytomskim budynku opery, zaliczyłem już kilka oper. Wprowadziłem Martę na nasze nie najlepsze miejsca na tak zwanej jaskółce, czyli na trzecim balkonie. Takie, na jakie nas było stać. Słyszalność nie najgorsza, choć patrzeć na wykonawców z góry trochę mniej ciekawe, choć dekoracje widać było w całej okazałości, na co ja więcej od Marty zwracałem uwagę, bo moje zainteresowania dzieliłem między muzykę, a sztuki plastyczne. W czasie przerw wychodziliśmy do bufetu na oranzadę. Tu na trzecim piętrze w operze spotykało się tę mniej majętną publiczność rybnicką, większość to była młodzież. Na przerwach i po przedstawieniu w drodze do dworca kolejowego wymienialiśmy swoje uwagi o spektaklu. Niektórzy próbowali zanucić zapamiętanego Torreadora, a Marta śpiewała po cichu całą Habanerę. W pociągu usiedliśmy w tym samym przedziale, ale już nie w pełnym składzie, bo kilku kolegów postanowiło zmienić miejsce. Byliśmy w małej grupce i rozmawialiśmy o walorach wystawionej opery. Marta miała bardzo fachowe uwagi, bo

była bardziej od nas obznajomiona ze śpiewem w ogóle. Temat się jednak szybko wyczerpał. Teraz jesienią dużo wcześniej nastąpiła ciemność w przedziale, ale konduktor nie spieszył się z zapalaniem lamp gazowych używanych wówczas do oświetlania w pociągach. Któryś z kolegów powiedział, że Marta pewno znowu za chwilę zechce spać, to oni sobie pójda na pogawędki do innego przedziału, a chętnie też przewędrują przez cały pociąg, by zobaczyć kogo spotkają. W mroku mogłem mimo to zauważyć, że Marta była teraz bardziej niż zwykle w znakomitym nastroju, wydawało się, że zaraz zaśpiewa pełnym głosem ulubioną arię. Śpiew był jej żywiołem, choć wiedziała, że nie będzie już tym najważniejszym w jej życiu. Jak koledzy przewidzieli, zarzuciła na siebie swój płaszcz, zamilkła i cicho trwała w swym kącie przy oknie. Przez dłuższą chwilę jechaliśmy milcząc. Nie wiedziałem czy Marta zasnęła. Usiadłem bliżej jej, prawie się do niej przytuliłem, choć poprzez jej płaszcz. Po chwili, odchyliła jego skraj i powiedziała: przysuń się tu pod mój płaszcz. Byłem trochę zaskoczony, ale nie ociągałem się i zaraz byłem bardzo blisko Marty. Zaskoczyła mnie całując w policzek i jakoś bardzo ciepło powiedziała mi dziękuję ci bardzo za ten cudowny wieczór muzyczny, za operę. Potem pocałowała mnie w usta, a nie był to pojedynczy pocałunek, a stał się przy moim ochoczym współudziale jednym długim ciągiem do kolejnego bezdechu. Musieliśmy tak długo tkwić w tym wzajemnym zatraceniu się, że nie zauważyliśmy wejścia konduktora, który zapalił lampę gazową. W pewnym momencie Marta odchyliła płaszcz i stwierdziła, że chyba jest bardzo rozczochrana, musi się uczesać, bo może zaraz ktoś wejść. Po tym incydencie, a był to faktycznie pojedynczy incydent quasi miłosny, który się nigdy już nie powtórzył, siedzieliśmy bardzo długo milcząc. Po chwili Marta wyszła na korytarz, trochę pospacerowała, jakby chciała odetchnąć. Oboje z Martą wiedzieliśmy, że nie zakochaliśmy się w sobie tak znieenacka i skąd taki niby miłosny szal? Usiadła, i po chwili powiedziała, że już nigdy więcej nie pojedzie ze mną na przedstawienie operowe. Z nikim innym też. Tak to zaakcentowała, jakby miała jeszcze kogoś innego prócz mnie na myśli. Przyjaźniliśmy się z Martą, spotykaliśmy się wyłącznie na terenie szkoły, raz lub dwa byliśmy siedząc obok siebie w autobusie jadąc na jakieś nagranie w radiu, czy występ naszego chóru i orkiestry. Czas do matury szybko mijał, ja żyłem już swoimi przyszłymi studiami i byłem zajęty przygotowaniem prac malarskich na egzamin wstępny. Wiedziałem, że rozstanę się definitywnie z uprawianiem muzyki. Zostanę tylko jej biernym konsumentem jak Marta. Marta stwierdziła, że nie pójdzie na żadne studia, bo musi się usamodzielnić, nie chce nadal być na garnuszku swej cioci. Pójdzie do pracy do instytucji gdzie byliśmy na praktyce i jej się tam

bardzo podobało, obiecywali ją natychmiast po maturze przyjąć. Niedługo potem była matura, którą Marta i ja zdaliśmy bez przeszkód. Ja na balu maturalnym nie byłem, nie pożegnałem się już z Martą, nigdy jej więcej nie spotkałem.

Marta pojawiła się jeszcze raz dość blisko, prawie tuż, tuż, choć nie live, a tylko online w próbie poszukiwania czasu utraconego. Stało się to przez Maćka, którego odnalazłem po bardzo wielu latach, ale się już z nim nie spotkałem i nie spotkam. Mailujemy od czasu do czasu do siebie. Wysyłam swe wieści do niego tam na Florydę, gdzie się osiedlił przed wielu laty i przeżywa końcówkę życia już jako majątny Amerykanin.

Napisałem do Maćka, że mam jego słownik od Marty, że chodziłem z nią do klasy maturalnej, że się trochę przyjaźniliśmy, że byliśmy nawet razem na przedstawieniu operowym w Bytomiu. Maćka odnalazłem przypadkowo. Od lat utrzymuję przyjacielskie kontakty z moim rybnickim przyjacielem z harcerstwa i z gimnazjum. Parę lat temu napisał mi Wacek, że kontaktował się telefonicznie z Maćkiem C. w USA. Okazało się, że to nasz wspólny kolega rybnicki, czy bardziej pod rybnicki, kuzyn Marty. Otrzymałem do niego adres mailowy i szybko napisałem maila. Wspomniałem w nim także o Marcie. To skłoniło Maćka do odpisania w obszerniejszym mailu. On też odkrywał swój dawno utracony czas, zaczęliśmy się wspólnie przenosić o wiele lat wstecz, w czasy młodości, prawie dzieciństwa.

Ojciec Marty był przedwojennym komunistą, walczył w 1938 nad Ebro, jak jego kolega z kopalni Emma Józef Kolorz „Marcel”, który już wcześniej od niego wyjechał do Francji, gdy w górnośląskich kopalniach zaczęło się bezrobocie. Obaj brali udział podczas wojny domowej w Hiszpanii w walkach z generałem Franco. Obaj tam zginęli w 1938 nad Ebro. Ojciec Marty nigdy się nie dowiedział, że ma w kraju córeczkę. Nie chciał brać z matką Marty ślubu kościelnego, bo z instytucją kościoła jako przekonany komunista był na bakier. Rodzina jej matki nigdy nie traktowała tego ślubu poważnie i wręcz się o tym nie rozmawiało. Było dziecko, córeczka Marta, którą wszyscy pokochali, choć jej matka najkrócej i po jej śmierci zajęła się nią jej siostra, mama Maćka. Wszyscy u nich na wsi traktowali Martę, jako autentyczną siostrę Maćka. Rodzina Marty nie wspominała jej ojca poległego nad Ebro komunistę. Po wojnie można byłoby z tego ciągnąć niejakie korzyści podczas władzy komunistów w Polsce. Byłaby jakaś pomoc dla sieroty Marty. Marta nigdy nie dowiedziała się, że jej ojciec był zasłużonym i walczącym na froncie komunistą, który dla idei oddał życie. Maciek długo się zastanawiał, gdy już bardzo późno się dowiedział, kim był ojciec Marty, czy podzielić się z nią

tą wiedzą. Odkładał to i Marta się nigdy nie o tym dowiedziała. Może, gdyby wiedziała coś o swym ojcu, kim był, mogła nie podzielać jego poglądów ideowych, ale wiedziałaby, że był kimś, człowiekiem, który był gotów poświęcić życie dla idei. Może to uskrzydliłoby ją trochę i sama próbowałaby w życiu czegoś więcej dokonać. Może miałyby otwartą drogę do kariery muzycznej, mogąc się kształcić mając stypendia na studia. Według Maćka była znacznie zdolniejsza od niego, ale zakompleksiona. Sam czuł się w jakimś sensie winien, przez to jeszcze bardzo dziecięce oświadczenie się, że się z Martą ożeni, gdy dorośnie. Zawsze byli parą, trochę jak brat z siostrą, ale i trochę inaczej też, bo chodził z Martą na miejscowe imprezy, potańcówki, uchodzili w tańcu za doskonałą parę. Oboje bardzo wysportowani i nad wyraz muzyczni. Sprawiało im to czystą przyjemność. Może przez tę męsko damską bliskość i to stałe bycie razem zaświtało w Marcie jakieś tajemne i nieuświadomione uczucie. Zdarzały się przecież małżeństwa kuzynowskie. Maciek zaczął w pewnym momencie domyślać się czegoś, że Marta nie chce być wyłącznie jego kuzynką, bo bratem i siostrą już od dawna nie byli. Maciek myślał o tym, że czas najwyższy, by się oddalił, by nie przebywali już tak blisko siebie. Wybrał się na studia do Krakowa, a po studiach jeszcze dalej, już nieco bliżej zachodu, do Poznania. Miał zawodowo do czynienia z targami poznańskimi. Znał doskonale języki niemiecki i angielski i łatwo mu było nawiązywać także bliższe kontakty towarzyskie z ludźmi w handlu międzynarodowym. Udało mu się w odpowiednim momencie, bo już w 1959 roku wydostać się półlegalnie z Polski na zachód, gdzie jak się to wówczas mówiło, wybrał wolność. Tym samym miał przez wiele lat zamkniętą drogę powrotu do kraju. Była to wysoka cena. Zerwanie kontaktu z rodziną. Rozstanie na wiele lat z Martą.

Przez dwa lata po maturze Marta pracowała w księgowości. Maćkowi udało się ją w końcu namówić na studia zaoczne w Krakowie, gdzie jeszcze przebywał. Chyba to było dla Marty argumentem, że będzie się tam mogła spotykać z Maćkiem. Cieszyło ją jednak i to, że pokaże Maćkowi, że też potrafi być kimś więcej niż tylko pracownicą w księgowości. Zdawała sobie też z tego sprawę, że jej życie stanie się przez ukończone studia nieco odmienione. Może jak Maciek wyruszy ze swej małej miejscowości gdzieś dalej w ciekawszy świat, gdzie pójście choćby do opery nie będzie już wielkim przedsięwzięciem, rzadko realizowanym. Studia minęły jej stosunkowo bez problemów, była zdolna i radziła sobie doskonale, mając już duże doświadczenie zawodowe. Marta pozostała samotna, czasem zatęskniła za Maćkiem, ale nie tyle jak kobieta za mężczyzną, ale bardziej chyba z przywiązania do niego. Zdawała sobie sprawę z tego, że szanse na zaowocowanie

wzajemnego uczucia są znikome. Ich kontakty też nie były tak intensywne jak na początku. Firma przeniosła Martę do Opola, a ona po jakimś czasie sama znalazła sobie ciekawszą pracę we Wrocławiu. To był rok 1959, Gomułka rządził już twardą ręką, polski łagodniejszy socjalizm na początku jego władzy już przeszedł do historii. Maciek zdołał prysnąć na zachód, ale Marta o takich sprawach rodzinnych nikomu się nie chwaliła, że ma kogoś z rodziny na zachodzie, kto się tam nielegalnie przedostał. To mogłoby jej zaszkodzić w opinii w zakładzie, jak się to określało. Maciek nigdy do niej bezpośrednio nie pisał a tylko na adres rodziców. Po jakimś czasie próbował wydostać się z Europy do stanów, co mu się ostatecznie udało. Nie od razu wszedł w American life, musiał jak to tam u nich, powoli krok po kroku wchodzić po drabinie w górę na wyższy poziom. Robił to wkrótce już nie sam, a z żoną Holenderką, która już jakiś status majątności osiągnęła. To nie dolary uwiodły Maćka, a głębokie uczucie, bo poznał przyszłą żonę nie w Ameryce, a dużo wcześniej, gdy przebywali jeszcze w Europie zachodniej. Osiedli na Florydzie. Robili typową amerykańską karierę, choć pierwsze kroki były trudne. Z kraju nie dochodziło zbyt wiele listów, a Maciek też niezbyt wiele ich napisał do rodziny. Po 1980 coś się zmieniło. W czasie karnawału Solidarności były nawet kontakty telefoniczne możliwe. Maciek mógł zaprosić Martę do nich na Florydę, Opłacił jej samolot i odebrał z lotniska. Dla Marty była to pierwsza podróż samolotem w ogóle. Wszystko było pełne emocji, jakie będzie to spotkanie po latach, jak się ułożą jej stosunki z żoną Maćka? Marta dotarła na Florydę i była wszystkim oszołomiona w tym innym świecie. Przyzwyczajała się powoli. Maciek proponował, by nie wracała do kraju, że ją tu urządzi, że da sobie radę. Bała się jednak tej zależności od Maćka. Widziała jak kocha swoją żonę i córkę. Byli bardzo szczęśliwą rodziną. Niczego im nie brakowało, żyli we wspaniałej willi z basenem, w okolicy pełnej ogrodów. Ta inność była pokusą, a jeszcze i to, że mogłaby często spotykać Maćka. Wiedziała już na pewno, że zostanie samotna z myślami o nim. Powiedziała mu, że teraz już wie, że czekała na to jego przyrzeczenie z dzieciństwa, że nie zostanie nigdy jego żoną, bo to były tylko marzenia zmyślane, gdy byli dziećmi, a ona to tak nierozsądnie pielęgnowała. Postanowiła wrócić. Powrót miał nastąpić przez Nowy York i mieli się tam na kilka dni zatrzymać, by zwiedzić miasto. Miała być i wizyta w operze Metropolitan. Była okazja zobaczyć tam Carmen. Obsada jak to u nich bombowa. Maciek odprowadzał Martę sam, bez żony i córeczki. Mieli teraz dużo czasu tylko dla siebie. Wieczorem miało być przedstawienie operowe, a rano następnego dnia odlot do Polski. Trudno było Marcie osądzić, czy to jej pierwsze przedstawienie Carmen w 1950 roku zrobiło na niej większe wrażenie niż teraz to

wspaniałe amerykańskie. Była szalenie zachwycona, wracali taksówką do hotelu, była jak w transie. Coś się powtórzyło, pocałowała Maćka w policzek i podziękowała mu jak wtedy mnie. Dalszych pocałunków już nie było. Domyślam się, że tamte pocałunki ze mną wówczas, nie były chyba jakby ze mną.

Maciek nie wyjawiał Marcie co wiedział o jej ojcu, że poległ w Hiszpanii jako prawdziwy komunista. Łudzili się, że teraz nastaną inne czasy, że będą sprzyjać ich kontaktom. Niestety, nastał stan wojenny wszystko było znowu aż do 1989 utrudnione przez nadal rządzącą w kraju komunę. Po wyborach zaczęły się zmiany. Maciek już bez obaw, ale sam bez rodziny odważył się przyjechać do Polski, licząc na to, że nie zostanie już ukarany za nielegalne opuszczenie kraju. Marta była wtedy już osobą w sile wieku, miała 56 lat. Za męża nie wyszła. Z Opola wróciła do Rybnika. Opiekowała się rodzicami Maćka tak jak mogła, spłacając swój dług, który u nich zaciągnęła, jak mawiała do Maćka. Po dwu latach Maciek odwiedził wraz z rodziną Polskę i rodziców, którzy już byli w podeszłym wieku. Jeszcze zdolali się nacieszyć sobą, choć porozumieć się w języku polskim z synową i wnuczką nie potrafili. Niby swoi, rodzina, ale też obcy. Tylko Maciek ich jedynak się nie zmienił. Wtedy spoglądali też ukradkiem na Martę. Czy jak na córkę?

Po odejściu rodziców Maćka trudno było tam na wsi Marcie samej trwać. Za radą Maćka, na co zwrócić uwagę, a był specjalistą w tej dziedzinie, sprzedała tę posiadłość. Według Maćka miał to być kapitał zabezpieczający jej późne dni. Tak się złożyło, że Marta nie dożyła późnej starości, zmarła w domu opieki, o dość dobrym standardzie w wieku 70 lat. Maćka nie było na pogrzebie, bo wtedy jego żona również wymagała opieki, a on nie chciał jej oddać do hospicjum i sam przez kilka lat się nią opiekował. Jego żona cierpiała pod koniec na bardzo pogłębioną chorobę Alzheimera. Maciek dożywa późnych dni jak ja, teraz pisał, że sprzedaje dom na Florydzie i przeprowadza się również do domu opieki, bo jest zbyt schorowany i nie daje już rady samotnie dożywać późnych dni w tym dużym domu sam. Bardzo się bał ostatnio szalejących nad Florydą huraganów. Trzeba się przed nimi zabezpieczać, a on już nie daje rady. Od czasu do czasu tylko wędrują nasze maile dość leniwie przez ocean i my stwierdzamy, czy jeszcze istniejemy. Marty już od dawna nie ma, ale wspominamy ją. A to też jeszcze o tym, że napisałem Maćkowi dość szczegółowo jak to wtedy było, gdy byliśmy w Bytomiu na Carmen. Powiedział mi kiedyś, że szkoda, że nie zbliżyliście się z Martą bardziej, zostalibyśmy szwagrami. Może i wy bylibyście też tutaj w Ameryce?

Katowice, styczeń 2020

Matejko

Wydarzyło się to na początku wojny, chyba w 1940 roku, w czasie nasilenia się „Bitwy o Anglię”. W rybnickiej „starej szkole”, wówczas niemieckiej podstawówce, do której chodziłem, wisiał duży, kolorowy plakat, na którym sztukas bombardował Londyn. Tak wynikało z napisu na plakacie. Któregoś dnia kolega pożyczył mi tygodnik ilustrowany BERLINER ILUSTRIERTE. Było w nim sporo obrazków z walk powietrznych nad Wielką Brytanią. Obrazy były „jak żywe”, z rodzaju „fotografa przy tym nie było”. Fascynowały mnie oddane z wielkim mistrzostwem szczegóły zwycięskiej, oczywiście dla Niemców bitwy powietrznej. Zauważyłem, że na wszystkich ilustracjach był podpis Matejko. Jeszcze przed wojną słyszałem o wielkim polskim malarzu o tym nazwisku. Widziałem kilka czarno białych reprodukcji jego obrazów. Tam też były pokazane bitwy, tyle że bardziej historyczne. Pobiegłem z tygodnikiem do taty i pokazałem mu, że nasz Matejko rysuje wspaniałe ilustracje wojenne. Tata spojrzał i zwrócił mi uwagę na podpis. Było tam i imię: Theo. Nasz wielki Matejko miał na imię Jan, już dawno nie żyje, a w ogóle, to wówczas nie latały jeszcze samoloty. Malował co prawda na jego obrazach wojsko, które miało skrzydła na ramionach, ale to była husaria w ciężkich zbrojach atakująca konno. Tata wyciągnął wtedy książkę ze swego schowka mieszczącego się w długiej ławie przy stole w kuchni. Były to wypisy z historii Polski z czarno białymi reprodukcjami obrazów Jana Matejki. Zobaczyłem teraz różnice w tematyce, oraz czasy już historyczne, jakie przedstawiała. Jan Matejko był z pochodzenia Czechem, ale czuł się Polakiem, zaś Theo miał też czeskie pochodzenie, lecz czuł się Niemcem. W latach republiki weimarskiej robił plakaty filmowe, jak te z Polą Negri, która była i pół Niemką i pół Amerykanką, ale całą Polką. Tata przeglądnął tygodnik i zauważył na ostatniej stronie coraz liczniej pojawiające się klepsydry poświęcone tym, którzy polegli za Fuehrera. Była i ta poświęcona pilotowi Oberstowi Werner von Zawadzki. Niemiec, ale z pochodzenia polski arystokrata w randze pułkownika, odznaczony krzyżem rycerskim (Ritterkreuz). Jakiś czas później dowiadywałem się, że nazwiska o niczym nie przesądzają, nie od nich zależy, kto kim jest, ale kim się czuje. Dowiadywałem się o Wicie Stwoszu, naszym wielkim rzeźbiarzu, gdy oglądałem jego ołtarz w Krakowie podczas wycieczki szkolnej. Później dowiedziałem też o tym, że Veit Stoss to ta sama osoba. W Norymberdze zobaczyłem jego ołtarz różańcowy. Rzeźbiarz ten przebywał przez długie lata w Krakowie, gdzie powstało największe dzieło

jego życia, ołtarz w kościele mariackim. Dowiedziałem się też o kimś, kto pisał
wpierw po polsku do powojennego komunistycznego tygodnika Kultura, a potem
stał się w RFN sławnym felietonistą, nazwanym papieżem niemieckiej literatury.
To Reich-Ranicki. To on wymyślił to określenie siebie: Jestem pół Niemcem, pół
Polakiem, ale całym Żydem.

Październik 2014

Moje wiolonczelowe granie

W czasie wojny, w 1943 roku przyjęto mnie do niemieckiej Oberschule i zostałem także uczniem szkoły muzycznej. Moim nauczycielem gry na wiolonczeli został wychowawca mej klasy w Oberschule Herr Hanisch, który prowadził również orkiestrę szkolną, gdzie brakowało mu wiolonczel.

W roku 1943 zacząłem uczęszczać do szkoły muzycznej, którą umieszczono w dotychczasowym domu parafialnym. W dużej sali z estradą odbywały się co jakiś czas muzyczne popisy uczniów. Ćwiczyłem pilnie na moim „cello”, bo miałem też wystąpić w pokazie publicznym z okazji urodzin Hitlera w dniu 20. kwietnia 1944. Przygotowałem krótki utwór p.t.: Berceause przy akompaniamencie fortepianu. Pianistką była nieco starsza koleżanka. Mój nauczyciel Herr Hanisch uznał, że przygotował mnie dobrze do występu, ale mnie ogarnęła potworna trema.

Gdy przysła moja kolej, musiałem wejść na estradę z wiolonczelą, pulpitem, grubym albumem nutowym i ze smyczkiem. Z tym wszystkim musiałem się uporać tylko lewą ręką, bo po wejściu na estradę należało prawą wykonać obowiązujący „Hitlergruss”. W momencie podniesienia prawego ramienia do pozdrowienia, wysunęły mi się nuty, upadły, a za nimi przewrócił się z łoskotem metalowy stojak-pulpit. Nastąpiła dla mnie chwila grozy, ale nikt na sali nie odważył się zakłócić tej absolutnej ciszy, która nastąpiła. Choć było do śmiechu, to odważni się nie znaleźli.

Próbowałem wszystko szybko pozbiierać i zacząć grać. Nie wiem jak mi się udało utwór odegrać do końca, ale na pewno można było w tej panującej ciszy usłyszeć każdy fałszywy dźwięk. Gdy skończyłem, były brawa. Teraz zgarnąłem szybko wszystko, co wniosłem i zszedłem po tym fatalnym wejściu bez pozdrowienia hitlerowskiego. Herr Hanisch wypchnął mnie jeszcze raz, ale już bez niczego w rękach, aby się obowiązkowo uklonić i wykonać obowiązkowy „Heil Hitler” Gruss.

Mój nauczyciel uznał mnie za niezdarę i w dalszych pokazach więcej nie wystąpiłem. W szkolnej orkiestrze nie zdążyłem już zagrać, ale śpiewałem w chórze. Za rok skończyła się wojna i wtedy grałem już w polskim gimnazjum w orkiestrze szkolnej. Po przeniesieniu się do klasy maturalnej w handlówce, grałem odtąd w dużo większej orkiestrze szkolnej z chórem. Wystąpiliśmy z tą orkiestrą w Polskim Radiu w Katowicach, gdzie wykonaliśmy „Kantatę o Stalinie”. Jak wiadać, moje „publiczne” granie ocierało się zawsze o wielką politykę.

Było nas kilku kolegów zapaleńców, miłośników uprawiania muzyki domowej i graliśmy sporo utworów kompozytorów klasycznych w domu mego przyjaciela Bernarda B. Nikt z naszej grupy poza Jankiem Szyrockim, późniejszym profesorem muzyki, znanym dyrygentem Chóru Politechniki Szczecińskiej nie wybrał kariery muzycznej. Tamte chwile wspólnego domowego muzykowania zbliżyły mnie do muzyki na zawsze, ale jak się wkrótce okazało, tylko jako słuchacza i zbieracza płyt.

Moja przygoda z wiolonczelą skończyła się definitywnie, gdy wybrałem studia na ASP i całkowicie zaprzestałem gry na tym instrumencie, bo cały swój czas poświęcałem teraz malarstwu.

Do dziś pozostał mi mój niedokończony portret namalowany jeszcze przed maturą przez Antka Tomalę, późniejszego artystę malarza.

Już go nie dokończy, bo nie żyje od wielu lat. Nie zdołał dopracować wiolonczeli na tym płótnie, tak jak ja, nie zdołałem ukończyć edukacji muzycznej na niej. Prosiłem tatę, aby sprzedał wiolonczelę i kupił mamie pralkę. Była to „FRANIA”, która jeszcze rodziców przetrwała. Nikt jej już potem nie chciał, bo wszyscy z rodzeństwa mieli nowsze pralki automaty. FRANIĘ oddano na złom, a ja odciąłem z tamtego obrazu znaczną część z niedokończoną wiolonczelą. Został tylko sam portret z moją podobizną dwudziestolatka. Widać na nim tylko mały fragment wiolonczeli, na której już nigdy nie zagram. Na zawsze pozostała tęsknota za dźwiękiem tego instrumentu.

Teraz od czasu do czasu chętnie wysłucham w radiu świetnego wykonania jakiegoś koncertu na wiolonczelę, czy ze swego zbioru płyt.

Na pierwszym obozie harcerskim

Zaraz po wojnie zacząłem uczęszczać do rybnickiego gimnazjum i wstąpiłem do tamtejszej drużyny harcerskiej. Była to „czwórka”, drużyna z tradycjami przedwojennymi, której opiekunem był nasz profesor, haremistrz dr Innocenty Libura. Drużynowym był wtedy Cezary Chlebowski, późniejszy historyk, specjalista od AK. Jako młody chłopak walczył z Hitlerowcami w Brygadzie Świętokrzyskiej i o tym wygłaszał nam gawędy przy ognisku. Było jak w harcerskiej piosence, gdy płonęło ognisko w lesie, drużynowy gawędę rozpoczynał. Profesora Liburę przewaliliśmy od jego imienia „Ickiem”, nie dlatego, że z jego długiej brody ulatniała się zawsze silna woń czosnku i cebuli. Chyba dzięki tym „przyprawom” dożył profesor bardzo sędziwego wieku. Po wyzwoleniu wrócił z oflagu do swego rybnickiego gimnazjum i swoich „czwórkowych” harcerzy. Nie byli to już ci sami druhowie, bo tamtych przedwojennych porozrzuciły losy wojenne po świecie, a wielu zginęło na różnych frontach i w obozach koncentracyjnych. Po latach wojny byliśmy stęsknieni za harcersko-skautowską przygodą. Nadeszły pierwsze wakacje w 1946 roku i czas na wymarzony obóz harcerski, na który też chciałem pojechać. Jako dziecko bawiłem się w obóz harcerski kolorowymi wycinankami do sklejania, które otrzymywałem jako prezent reklamowy, gdy chodziłem z mamą na zakupy do sklepu kolonialnego u Koziółka, naprzeciw gimnazjum. Teraz i ja chciałem pojechać na swój pierwszy, prawdziwy obóz harcerski. Niestety, trudności jakie stanęły na przeszkodzie wydawały się nie do pokonania. Żyliśmy wtedy w wielkiej biedzie. Mama utrzymywała naszą piątkę z dorywczej pracy i pomocy rodziny. Tata jeszcze nie wrócił z zawieruchy wojennej. Mieliliśmy mgliste wiadomości o tym, że od inwazji w południowej Francji przebywa gdzieś we Włoszech, czy Anglii. Próbowalem sobie radzić jak mogłem. Od kolegi wyhandlowałem złotą - brązową hitlerowską bluzę. Podbarwiłem ją niezbyt trwałą namiastką farby, czyli atramentem na bardziej zielony, harcerski kolor. Wspólnie z mamą uszyliśmy spodnie z szorstkiego płótna marynarskiego z hamaka. Niestety, nosić mogłem je tylko przy ładnej pogodzie, bo w deszczu robiły się sztywne i ciężkie, tak że ocierały mi wtedy nogi. Plecak i inne wyposażenie pożyczyłem od sąsiadów. Pochodziło ono częściowo z polskiego, trochę z niemieckiego i angielskiego wyposażenia wojskowego. Pieniądze na zapłatę za obóz uzyskałem ze sprzedaży zapasowych lamp radiowych do odbiornika, którego już nie posiadaliśmy. Bardzo nietypowe było to moje umundurowanie i sprzęt, podobnie jak wielu innych kolegów w tym

trudnym czasie powojennym. Radość z uczestniczenia w życiu harcerskim i możliwości wyjechania na upragniony obóz bała dla mnie czymś nadzwyczajnym.

Nasza drużyna rozbiła ten pierwszy powojenny obóz w Żybocinie, w Kotlinie Kłodzkiej, dokąd jechaliśmy wtedy koleją aż dwa dni. Do Łądką Zdroju było kilka kilometrów i na niedzielne nabożeństwa docieraliśmy tam w szyku marszowym. Nasz obóz znajdował się nad rzeczką, pod lasem, w dosyć ustronnym miejscu. Mieliśmy tam duże amerykańskie namioty z demobilu, a w nich zbudowaliśmy wygodne prycze z siennikami. Zorganizowaliśmy też kuchnię i wszystko co potrzebne na miesiąc harcerskiego biwakowania. Nastąpił pierwszy apel, było pierwsze ognisko, pierwsze warty nocne, pierwsza noc pod namiotem na wymarzonym obozie. Rano przyszedł do naszego namiotu druh drużynowy. Powitał nas uśmiechem i zwrócił uwagę, abyśmy zapamiętali dzisiejsze sny, bo to, co nam się śniło w tę pierwszą noc w nowym miejscu, zawsze się spełnia. Wszystkich to bardzo ucieszyło, bo mieli najpewniej dobre i radosne sny. Mój był przerażający. Śniło mi się, że tam daleko w Rybniku umarła moja mama. Nie byłem w stanie otrząsnąć się z tego wrażenia, bo wszystko w tym śnie było tak prawdziwe aż do bólu. Teraz nie mogłem tu niczego zrobić, tylko czekać przez cztery tygodnie aż do powrotu do domu. Telefonów nie było, a poczta nie działała. Ból i niepewność pozostały już do dnia wyjazdu. Przy apelu porannym zgłosiłem się na ochotnika do wykonania kapliczki obozowej. Miałem swoją posenną intencję. Starałem się to zadanie tak wykonać, jakby nie tyle o zdobycie nowej sprawności harcerskiej tutaj szło, a o ubłaganie Pana Boga by ten sen o śmierci mamy był tylko senną marą. Spieszyłem się i pracowałem przez cały dzień pełen zapału, że na apel wieczorny kapliczka była już gotowa. Koledzy chwalili, że Matka Boska jest doskonała jak na ryngrafie z AK druha drużynowego. Może i Panu Bogu spodoba się moje dzieło? Na apelu otrzymałem pochwałę, bo moja kapliczka zyskała u wszystkich uznanie.

Następnego dnia, na apelu porannym zostałem znów wywołany przed szereg i ku mojemu zdziwieniu otrzymałem teraz naganę za złamanie prawa harcerskiego. Harcerz kocha przyrodę. Profesor harcmistrz postawił mi zarzut, że ją niszczę, bo oderłem z kory żywe brzozy i olchy rosnące w lesie dokoła obozu. Stąd pochodził materiał na budowę kapliczki. Trudno mi przyszło tak od razu zrozumieć, że cel nie uświęca środków. W trakcie spaceru druh profesor Libura zobaczył te ogołcone z kory drzewa. Otrzymałem rozkaz, aby kapliczkę rozebrać. Odzyskaną korę musiałem przywiązywać na powrót do okaleczonych pni, aby je „obandażować” i zasłonić popełniony gwałt zadany naturze.

Moje pierwsze, „publiczne” dzieło plastyczne miało więc bardzo krótki

życie. Na szczęście sen się nie sprawdził, a nasza mama miała długie życie, bo dożyła aż 84 lat. Nigdy nie miałem żalu do swego profesora za tę niemiłą dla mnie, ale pouczającą lekcję ekologii. Utrzymywałem z moim profesorem częste kontakty aż do jego śmierci. Tematy ekologiczne wracały często w naszych późniejszych rozmowach, gdy odwiedzałem profesora w Rybniku. Gdy podczas pogrzebu druha harcmistrza rozległ się nad jego grobem wieczorny sygnał harcerskiej trąbki: Idzie noc... Bóg jest tuż... miałem okazję by jeszcze raz wspomnieć swego profesora, który przekazywał nam nie tylko wiedzę, ale i uczył jak żyć.

Katowice, wiosną 2005 roku

Nie wiem

Była to dosyć barwna postać w latach powojennych u nas w Rybniku. Kierował małą pracownią dekoracji wystaw okiennych MHD, co znaczyło wówczas MIEJSKI HANDEL DETALICZNY. Miał tak zwane powiązania, czyli dostęp do różnych trudno dostępnych towarów w sklepach naszego miasta. Nie kochał tej pracy dekoratorskiej za bardzo i potrafił się wyręczać innymi. Ja też znalazłem się pośród nich już w okresie maturalnym i potem na początku studiów w ASP. Ta pracownia stała się miejscem spotkań różnych niedoszłych artystów i nieudaczników z branży plastycznej. Dyskutowało się głównie o malarstwie przy kieliszku taniego wina, malując tak zwane „wabiki”, czyli główne landszaftowate akcenty do okna wystawowego w zależności od pory roku.

Gdy już byłem na studiach, zmieniłem swoje myślenie plastyczne i podchodziłem trochę inaczej do wystaw okiennych. Niestety, to nie podobało się dyrektorowi MHD, bo powiedział mi, że Rybnik to nie Paryż, tu należy wszystko tak robić, jak klienci się do tego przyzwyczaili, czyli tradycyjnie. Mój pryncypał nie mieszał się w moje odmienne podejście do reklamy. Po epoce gomulkowskiwej nastąpiła krótka odwilż polityczna i niedługo odszedł z pracy w MHD. Stał się właścicielem swego własnego, prywatnego sklepu z galanterią. Próbował mnie angażować do malowania krawatów, ale nie paliłem się już do tego. Ów pan był o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie. Trochę podziwiałem jego kupiecką zaradność życiową i podobały mi się historyjki jakie zajmująco opowiadał. Miał bardzo barwne życie, które czasem obfitowało także w kłopotliwe incydenty i to już od czasu dzieciństwa.

Było to w Lublińcu, gdzie zaczynał naukę w gimnazjum. Już w pierwszym dniu doszło w klasie do przykrego incydentu. Gdy nauczyciel pytał po kolei uczniów o nazwisko, on odpowiedział: NIEWIEM. Zdenerwowany nauczyciel zapytał go jeszcze raz o imię i wtedy odpowiedział AL. Potem się poprawił i powiedział ALADAR. Nauczyciel na to: jednak wiesz, że nazywałeś się DAR, tylko co to za imię dla polskiego chłopca ALA? No to powiedz jeszcze raz po kolei jak się nazywałeś. Znów padła odpowiedź NIE WIEM. Tego było nauczycielowi za wiele i spoliczkował go, nakazując przyjść następnego dnia z ojcem do szkoły.

Wtedy w obecności ojca nauczyciel zapytał ucznia o nazwisko. Odpowiedź była taka sama: NIEWIEM. Wtedy nauczyciel zwrócił się do ojca: to może pan mi zdradzi swe nazwisko. Odpowiedź była taka sama jak syna: NIEWIEM.

Ostatecznie doszło do nauczyciela, że ów uczeń, mój znajomy nazywa się
ALADAR NIEWIEM, a gdy był mały, mówiono do niego po prostu AL.
Katowice, 22.02.09.

Nowy kościół

Dziś już nie nowy kościół, a wyświęcona przez Jana Pawła II. bazylika pod wezwaniem św. Antoniego. Od wczesnych lat trzydziestych ubiegłego wieku, jak tylko sięgam pamięcią, mówiło się o nim, jako o NOWYM KOŚCIELE, czy po prostu o ANTONICZKU. To już nie wspomnienia, jakie o nim zachowałem, a luźne obrazy, czy nawet obrazki ledwo naszkicowane na kartce, bo próbowałem ten kościół także rysować, czy namalować. Nigdy nie doszedłem w tym do takiej perfekcji jak malarz, który malował wnętrza tego kościoła i zarazem wprawny akwarelista, pan Chromik.

Z tych różnych miejsc, gdzie przed wojną mieszkaliśmy było jakieś piętnaście minut drogi do kościoła. Od wczesnego dzieciństwa wsłuchiwałem się w muzykę dzwonów dochodzącą z tej okazałej neogotyckiej świątyni o najwyższych na Górnym Śląsku, prawie stu metrowych wieżach. U nas w mieszkaniu nie można było zobaczyć kościoła przez okna, bo zasłaniały go dalsze budynki przy ulicy. Jak długo pamiętam, byłem pod urokiem melodii jego dzwonów, których było pięć, czy sześć, jak nieco później mogłem się naocznie przekonać. Wtedy można było tych dźwięków dzwonów wysłuchiwać jak koncertu, bo nie dochodziło tyle hałasu, szmerów cywilizacyjnych zewsząd, jak to się dziś zdarza. To melodyjne dzwonicie niesło się daleko. Gdy chodziłem w dzieciństwie zbierać jagody do lasów za rzeką Rudą, to i te dźwięki aż tam dochodziły. Można je było usłyszeć nawet w odległych dzielnicach dzisiejszego Rybnika jak Paruszowiec i Wielopole. Dopiero później oglądałem różne szczegóły, jaki to wspaniały kościół w przeciągu tylko trzech lat zbudowano w moim mieście na początku dwudziestego wieku. Dla rodziców był on tak okazały jak katedra w Kolonii, którą zobaczyli, gdy w wieku kilkunastu lat opuszczali Westfalię i przenosili się na Górny Śląsk, dokąd z ich rodzicami wracali.

W wieku przedszkolnym bywałem z mamą na niedzielnych nabożeństwach. Choć na co dzień biegałem boso, to do kościoła zawsze mnie mama ładnie ubierała i miałem na tę okazję niedzielne buty. Wszyscy parafianie przychodzili odświętnie ubrani, w to najlepsze co mieli. Nastrój w kościele był uroczysty. W sferze dźwiękowej urzekały mnie wspaniałe organy, które rozbrzmiewały tak, że po plecach jakieś dziwne dreszcze przechodziły. Organistą był pan Zorychta, a często śpiewał także chór Seraf. Przez wysokie okna, wtedy jeszcze bez witraży wlewały się promienie słoneczne od prawej południowej strony i rozświetlały kłby kadzidłanego

dymu. Podniosły nastrój wzmagał zapach tych spalanych wonności.

Najchętniej przebywałem w pobliżu głównego ołtarza w okresie Bożego Narodzenia. Szopka betlejemska, czy jak my ją tu nazywaliśmy, stajenka była bardzo okazale rozbudowana, figury były prawie naturalnej wielkości. Wtedy we wczesnym dzieciństwie śpiewałem z wielkim przejęciem wiele kolęd z pamięci.

Pamiętam jak przed głównym wejściem, na rozległym placu co niedzielę w czasie sumy stała w pełnym szyku paradnym jedna z kompanii rezydującego w Rybniku pierwszego batalionu 75. pułku piechoty. Czasem wołałem stać na zewnątrz i obserwować wojsko w czasie podniesienia, jak stawalo na baczność i prezentowało broń, a sztandar bywał trzykrotnie pochylany. W czasie świąt państwowych poczty sztandarowe wchodziły z orszakami do wnętrza, by potem udać się na pochody.

To moje przedwojenne dzieciństwo skończyło się w dniu pierwszym września 1939. W krótkim czasie po wkroczeniu Niemców do Polski zakazano kazań w języku polskim, jak i polskiego śpiewu. Nie zabrzmiało już pod koniec mszy to podniosłe BOŻE COŚ POLSKĘ... Nauczyłem się teraz śpiewać po niemiecku: Großer Gott wir loben Dich... Na Boże Narodzenie zabrzmiała znów znana melodia kolędy Cicha noc, zapożyczona od Niemców, tak bardzo popularna na całym świecie STILLE NACHT. Zauważyłem, że niektórzy śpiewali ją wtedy nadal po polsku. Z niemieckimi sztandarami nikt nie wchodził teraz do kościoła, ani nie stała tam przed wejściem na baczność żadna kompania wojska niemieckiego. W kościele widziało się co prawda podczas nabożeństw żołnierzy w mundurach niemieckich, ale byli to głównie kalecy bez rąk, czy nóg, obandażowani ranni ze szpitala obok. Niemcy urządzili go w naszej nowej szkole, do której chodziłem przed wojną.

Próbowałem udzielać się wtedy jako ministrant, ale nie wykazałem dostatecznej wytrwałości w opanowaniu znajomości ceremoniału, kiedy wstać, uklęknąć, co podać księdzu. Choć z nauką łacińskiej ministrantury szło mi nieźle, to ministrantem długo nie byłem. Wtedy bardziej przyciągało mnie, by być blisko organów na chórze. Stąd roztaczał się wspaniały widok na całą świątynię. Chętnie obserwowałem organistę, jak posługiwał się w grze także klawiaturą nożną. Zdarzyło się, że poproszono mnie, abym pomógł tłoczyć powietrze do miechów organów. Odbывało się to w pomieszczeniu za organami, gdzie pompowano powietrze potrzebne do wydobycia dźwięków z piszczałek. Myśmy tę czynność nazywali deptaniem, bo naciskało się nogami dźwignie miechów pompując powietrze. Przed wojną wystarczało do tej czynności kilku dorosłych mężczyzn, których teraz

w czasie wojny brakowało, więc robiliśmy to my chłopcy w większej gromadzie. Czasem, gdy nas było za mało, a organista włączał wszystkie rejestry dźwiękowe, organy nagle się krztusiły i dostawały zadyszki. Dźwięki załamywały się nagle płaczliwie i jękały się.

Kiedyś, gdy byłem wyjątkowo wcześniej przed mszą, zaczęło się z góry rozlegać dzwonienie wszystkich dzwonów. Odważyłem się wtedy wejść wyżej tymi spiralnymi schodami na wieżę, niż tylko na chór jak dotąd. Z góry rozlegało się dzwonienie wszystkich dzwonów. Nie tylko się je słyszało, ale i czuło to lekkie drganie murów, bo niektóre dzwony były dość okazałej wielkości. Dotarłem wtedy aż na poziom dzwonnicy. W czasie wojny brakowało dostatecznej ilości dorosłych mężczyzn i starszych chłopców, więc dopuszczono i mnie nastolatka do ceremoniału dzwonienia. Nad tym czuwał kościelny, albo tylko szef ministrantów. Tam na poziomie drewnianej podłogi dzwonnicy, wielu nieco starszych ode mnie chłopców za pomocą długich i grubych lin rozkołysało dzwony, tak by ich serca mocno w nie uderzały. W pojedynkę mogła taka lina chłopaka porwać w górę. Ta czynność wymagała wiele zręczności i sił. Trudno się było porozumieć, bo odgłos dzwonów zagłuszał każdy nasz krzyk. Dzwonikiem na stałe nie zostałem. Ta przygoda skończyła się niedługo. Wojna ciągle trwała. Po prostu nadszedł czas przetapiania dzwonów na armaty. Nie było czym dzwonić, bo Niemcy rekwirowali we wszystkich kościołach dzwony. Te duże zrzucano z wieży na kamienną posadzkę przed portalami kościoła. Dzwony uderzały głośno i żałośnie po raz ostatni o granit i rozbijały się na kawałki. Odtąd już nie zadzwoniły swoimi radosnymi akordami, a odzywała się tylko jękliwie i mało donośnie niewielka sygnaturka pozostawiona w wieżycze nad skrzyżowaniem naw.

Horst Bienek niemiecki pisarz z Gliwic nazwał ten czas ZEIT OHNE GLOCKEN (Czas bez dzwonów). Taki tytuł nadał jednemu z tomów swej tetralogii górnośląskiej. W tym czasie znając już drogę do poziomu dzwonnicy wchodziłem tam czasem przez nikogo niezauważony, aby spojrzeć z góry przez okna dzwonnicy. Mogłem zauważyć w oddali znane mi wieże kościoła w Biertułtowach, gdzie się urodziłem, rozróżnić poszczególne kopalnie w tym rejonie. Widoczność była tak wspaniała, że na horyzoncie zobaczyłem dalekie pasma gór, gdzie jeszcze nigdy nie byłem. Z wysokości prawie siedemdziesięciu metrów wzrok sięga daleko. Rodziła się wtedy jakaś tęsknota, żeby poznać ten daleki świat za horyzontem. Po latach, oglądając śląski film Kazimierza Kutza „Perła w koronie”, gdy jego bohater z wieży wodnej w Szopienicach oglądał stamtąd jeszcze wtedy daleką dla niego Polskę, bo aż hen po Tatry, zrozumiałem, że można tęsknić za czymś, czego

jeszcze nie znamy, a co jest bardzo daleko od nas.

Kościół pod wezwaniem św. Antoniego przetrwał bez znaczniejszych uszkodzeń wojnę, choć mogło być inaczej. Zaraz w pierwszych dniach po wkroczeniu Rosjan, gdy poszedłem do miasta i wstąpiłem przez główny portal do przedsionka kościoła, zobaczyłem olbrzymie sterty dynamitu przygotowane do wysadzenia świątyni. Na szczęście Niemcy tego nie dokonali, a i tak nie zatrzymałoby to szybko posuwającej się na zachód Armii Czerwonej.

Pamiętam jak w 1945 my młodzi pomagaliśmy po nabożeństwie majowym zwozić z lasu pod Przegendzą długie pnie sosen na rusztowania do remontu kościoła.

Dzwonów nie było, sygnaturka dzwoniła za mało donośnie. Wymyślono i tu namiastkę, których w czasie i po wojnie było tak wiele. Zdobyto chyba od Rosjan wielkie gigantofony propagandowe, zainstalowano je na wieży, podłączono do nich patefon z nagraniem na płycie dzwonami. Było to prawie koncertowe nagranie melodii dzwonów. Myśmy jednak twierdzili, że nasze brzmiały nie gorzej, no i nie zacięły się czasem, jak to się działo z szybko zdzierającą się płytą patefonową, że i zgrzyty jakieś było słychać. Niemniej i to można było przeboleć, bo to lepsze, niż w ciszy iść na pasterkę i słyszeć tylko skrzypiący śnieg pod stopami.

Czasem zachodziłem do kościoła ze szkicownikiem rysunkowym i próbowałem ćwiczyć rysunek na wielkiej drewnianej rzeźbie ukrzyżowanego Chrystusa przy wejściu do głównej nawy.

W tych latach powojennych, w czasach naszej biedy, często udawałem się na rowerze do Niedobczyc, czy do Biertułów do rodziny, która nas wspomagała żywnością, jarzynami, czy owocami. Stamtąd z daleka zawsze widziałem na horyzoncie nie tylko wieże, ale całą sylwetkę kościoła. W drodze powrotnej przy odczuwanym już zmęczeniu, cieszyło przybliżanie się kościoła, do momentu, aż wyrastał tuż przede mną, skąd nie było już daleko do domu. Później robiło się także różnie przy powrotach pociągami z Krakowa do Rybnika, gdy z okna patrzyłem już przed Paruszowcem na zbliżającą się sylwetkę kościoła.

Z czasem zaczęły się pojawiać nowe, prawdziwe dzwony. Nie tak dawno bazylika otrzymała jeden z największych dzwonów w Polsce, jakiego przed wojną kościół nie posiadał. Dzwon ten przybył do nas z austriackiego warsztatu ludwisarskiego. To radość, bo przecież tamte dawne Niemcy zabrali, to teraz coś od mówiących po niemiecku Austriaków do rybnickiego kościoła przybyło. Pamiętam, gdy w gimnazjum przerabialiśmy styl gotycki, pan profesor Libura zabrał nas przed kościół i objaśniał nam co to fiale, kraby, łuki odciążające, maswerki i rozety, to

co potem po latach mogłem oglądać na historycznych przykładach katedr francuskich. Zapamiętałem, jak profesor nam tłumaczył, że gotyk to styl, poprzez który człowiek próbował wznosić się wysoko, strzelić ku górze, ku Bogu.

Dziś ten nasz nowy kościół, Antoniczek, bazylika ma w oknach witraże, które są bajecznie kolorowe i filtrują światło przez wszystkie barwy tęczy. Wnętrze jest może nieco inaczej pomalowane, aniżeli to kiedyś wykonał ów akwarelista i malarz kościelny pan Chromik. Rzadziej tam bywam teraz, chyba że jakaś okazja specjalna, jak uroczystości żałobne z okazji śmierci mego ulubionego profesora w 1993 roku.

Nowy kościół, Antoniczek, dziś bazylika pod wezwaniem św. Antoniego pozostanie już na zawsze kościołem mej pamięci. Żal mi tylko, że ząb czasu nadgryza te klinkierowe cegły, wykrusza je. Tu i nasze rybnickie powietrze daje się nie tylko ludziom we znaki, ale i cegłom i kamieniom. Ten kościół ma już ponad sto lat, i staje się powoli drugim STARYM KOŚCIOŁEM w Rybniku.

Katowice, 25.10.2010.

P.S. Ostatnio dowiedziałem się, że oddana zostanie wkrótce do użytku platforma widokowa na wieży. Już wiem, ile stopni trzeba pokonać, by tam dotrzeć. Może mi się to jeszcze uda, mimo dawno przekroczonej osiemdziesiątki? Jeszcze raz zobaczyć z góry ten świat krainy dzieciństwa, choć nie będzie już tym, który zapamiętałem.

Nowy York

W czasie studiów na ASP w Krakowie poznałem Andrzeja Samulowskiego. Był nieco starszy ode mnie i studiował już od dwu lat na wydziale malarstwa. Należał do tych, którym wojna zabrała parę lat życia, choć nie samo życie jak wielu jego rówieśnikom.

Andrzej zachodził od czasu do czasu do naszego pokoju w domu akademickim. Kiedyś zauważył, że uczyłem się historii sztuki z niemieckiego podręcznika i z doskonałym niemieckim akcentem przeczytał tytuł rozdziału. Zapytał mnie skąd pochodzę, skoro znam dobrze język niemiecki. Powiedziałem, że z Górnego Śląska, na co on, że pochodzi z Warmii. Tak jak ja w czasie wojny, musiał uczęszczać do niemieckiej szkoły, tyle że znacznie dłużej niż ja, bo już przed wojną. Polskich szkół u nich w ogóle nie było, bo ziemie te należały do Niemiec. Andrzej powiedział mi bardzo zdawkowo, że Niemcy pod koniec wojny powołali go do marynarki, ale wyczułem, że nie chce się o tym rozwodzić. W tamtych czasach, krótko po wojnie wołało się takie sprawy przemilczeć. Andrzej pochodził z polskiej rodziny, jego dziadek był jednym z najwybitniejszych działaczy polskich przed i w czasie plebiscytu na Warmii. Kiedyś, gdy byliśmy sami, przyznał mi się, że odbywał służbę w niemieckich łodziach podwodnych (U-Boote), a po zakończeniu wojny spędził trochę czasu w niewoli angielskiej. Zetknął się tam z żołnierzami polskimi od Andersa i szybko się z nimi dogadał. Uznali go za Polaka przymusowo wcielonego do niemieckiego wojska. Nawet przyjęli go do polskiej armii, ale Andrzej starał się po krótkim czasie wrócić do kraju. Na należących teraz do Polski Mazurach szybko uzupełniał wykształcenie szkolne, a równocześnie dużo rysował i malował, bo postanowił studiować malarstwo. Podobnie jak kiedyś mnie, podczas wycieczki szkolnej do Krakowa, urzekło to miasto także jego. Postanowił tam na ASP studiować. Zetknęliśmy się więc na tej samej uczelni. Andrzej skończył studia dwa lata wcześniej niż ja i potem się nasze drogi rozeszły już na zawsze. Coś o nim od kolegów słyszałem, że udziela się w Związku Plastyków w Olsztynie, że sporo wystawia. Czasem wpadł mi w ręce jakiś katalog. Uderzyło mnie, że w jego malarstwie powtarza się jakby ten sam temat. Wodne pejzaże z żaglami, Warmia i Mazury.

Niedawno odezwał się do mnie kolega aktor ze Śląska, który sporo lat spędził w teatrze w Olsztynie. Zapytałem go, czy przypadkiem nie poznał tam Andrzeja S. Dowiedziałem się, że znali się dobrze, nawet leżeli przez jakiś czas razem w szpitalu, spotykali się w pracowni Andrzeja, gdzie mógł podziwiać jego pejzaże

z nad jezior. Kiedyś pokazał mu Andrzej zupełnie inne obrazy, których nigdy nie wystawiał. Zobaczył na nich jakby różne wersje panoramy Nowego Yorku widziane z morza o różnych porach dnia i nocy, także we mgle, ledwo rozpoznawalne. Andrzej traktował temat bardzo impresyjnie i z dużą dawką ekspresji. Niektóre obrazy robiły na moim koledze aktorze wrażenie jakby były projektami do dekoracji teatralnych. Gdy pytał, Andrzeja, czy był kiedyś w Nowym Jorku, ten mu odpowiedział, że nigdy. Oglądał to miasto dawno temu, ale tylko z morza. Od tego czasu minęło już ponad 50 lat. Maluje te obrazy, bo chciałby wyrzucić z pamięci swe dawne traumatyczne przeżycia osiemnastolatka, najmłodszego członka załogi niemieckiej łodzi podwodnej. Wojna zbliżała się ku końcowi, ale ich okręt pod dowództwem młodego fanatycznego kapitana zapuszczał się daleko na zachodni Atlantyk aż na wody przybrzeżne USA, pod Nowy York. Kilka razy kapitan polecił mu obserwować przez peryskop amerykański brzeg. Z takiej dziwnej perspektywy oglądał właśnie to miasto. Zwłaszcza nocą robiło ono ogromne wrażenie na przyszłym malarzu. Drapacze chmur były rozświetlone, jakby wojna się już skończyła. Amerykanie nie czuli się zagrożeni, wiedząc, że są zbyt daleko oddaleni od frontów wojny. To, że niemieckie łodzie podwodne zatapiały czasem tuż pod Nowym Yorkiem jakiś statek transportowy nie wywierało u nich większego wrażenia. Pewnego razu, jego kapitan spoglądając przez peryskop w kierunku Nowego Yorku powiedział: „Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak się te dumne drapacze palą i rozpadają, gdy je naszymi V-rakietami zaatakujemy”.

Po wielu latach, całkiem przypadkowo spotkał Andrzej w Niemczech jednego z ówczesnych kolegów marynarzy. Dowiedział się, że ich dawny kapitan zrobił po wojnie wielką karierę w bankowości w Niemczech, a później w międzynarodowych finansach i mieszka w Nowym Yorku. Niedługo po 11 września 2001 roku otrzymał od owego kolegi kartkę z wiadomością, że ich kapitan zginął w drugim z wieżowców zaatakowanym samobójczo przez terrorystów, którzy porwali samolot.

Czy ów dowódca łodzi podwodnej zdołał jeszcze przed śmiercią zobaczyć to, o czym marzył wtedy podczas swego wojennego wypadu pod Nowy York? Przeżył wojnę, nie zginął w głębinach oceanu. Zginął wysoko, na 70. piętrze walącego się drapacza. Stał się świadkiem tej tragedii, a zarazem jedną z ofiar.

Andrzej oglądał to wydarzenie w bezpośredniej transmisji w telewizji, tak jak ja i miliony ludzi na całym świecie. Początkowo nosił się z zamiarem zakończenia tego cyklu obrazem przedstawiającym tę katastrofę. Miał pomysł przeniesienia jej na porę nocną. Byłby to pożar Nowego Yorku. Taki katastroficzny ma-

larski nokturn. Pozostał tylko zamysł, bo Andrzej został od tego tematu na zawsze wyzwolony. Zmarł nagle na serce przed domem rodzinnym swego dziadka na Warmii, gdy przyjechał odwiedzić tak dobrze znane mu miejsce z dzieciństwa. Często tam wracał, tym razem po raz ostatni.

Katowice, 15, września, 2009

Moja pierwsza praca przymusowa

W pierwszych dniach maja, gdy wojna jeszcze trwała, przyszedł po mnie sąsiad milicjant z poleceniem udania się do prac porządkowych w mieście. W dawnym budynku przedwojennego Banku KKO Rosjanie zaczęli urządzać szpital wojсковy, w czym także my, kilku chłopców czternastolatków z naszej ulicy mieliśmy też pomagać. Razem z dorosłymi przyszło mi opróżniać mieszkania na trzecim piętrze. Mieszkali tu do końca wojny wysocy hitlerowscy urzędnicy, więc pokoje były bogato wyposażone. Sposób na szybkie wywiązanie się z zadania narzucił nam komandir krasnoarmiejec: wszystko wyrzucać przez balkon na podwórze. Nie zmęczyliśmy się za bardzo, bo nie musieliśmy ciężkich mebli znosić po schodach na dół. Była to pierwsza lekcja kultury nadchodzącej ze wschodu. Zniszczyć, bo to germańskie. Z meblami jakoś poszło. Na koniec pozostał fortepian, duży koncertowy Steinway. Trudno było się z nim uporać. Musieliśmy wpierw wyłamać nogi i pedały. Klapę fortepianu zrzuciliśmy osobno. Choć niemiecka nazwa tego instrumentu to skrzydło, nie pofrunęło ono gdzieś daleko, a poleciało od razu w dół. Potem udało nam się wypchnąć fortepian poza balkon i reszty dokonało prawo ciążenia. Przy zetknięciu się z ziemią instrument zadźwięczał po raz ostatni potwornym jękiem wszystkich strun.

Kiedyś po latach usłyszałem podobne odgłosy na koncercie Warszawskiej Jesieni. Tam w akcie twórczym artysta dobijał siekierą instrument. Rozlegające się dźwięki oznajmiały przez dłuższy czas dogorywanie fortepianu, a może nawet śmierć harmonii i piękna. Po takim wykonaniu dzieła rozległy się jednak po chwili oklaski. Nas wtedy nie oklaskiwano, a tylko poganiano: bistro rybiata! Gdy to sobie przypominam, rozumiem, dlaczego w moim zbiorze płyt posiadam głównie koncerty na niezbyt ciężkie instrumenty, takie jak skrzypce, wiolonczela, róg czy klarnet.

Dziś już wiem, że ten rodzaj defenestracji fortepianowej ma analogie w naszej historii. Po upadku Powstania Listopadowego i opanowaniu Warszawy przez wojska rosyjskie doszło do płądrowania i grabieży. W domu Chopina żołdacy wyrzucili jego fortepian przez okno na ulicę. Czy wtedy instrument też zabrzmiał tak samo żałośnie w molowej rozpacz, gdy uderzył o ziemię?

Wiosną, 2004.

Po latach dowiedziałem się, że mój kolega z niemieckiego gimnazjum nieco wcześniej, bo już w marcu 1945 roku odbył swoją pierwszą pracę przymusową we

Wrocławiu. Znalazł się tam w podczas masowej ucieczki Niemców przed nacierającą Armią Czerwoną. Wraz z feriami świątecznymi przed Bożym Narodzeniem 1944 skończyły się dla mnie lekcje w niemieckim gimnazjum na zawsze. Przyszłe z głębi Rzeszy, jak i rodzina mego kolegi Johannes K. wyjechała z Rybnika w wielkim popłochu. Mój kolega zapowiadał się już w czasach szkolnych na wspaniałego pianistę. Pochodził z rodziny o wielkich tradycjach muzycznych trwających od XIX wieku. W szkole uchodził za wybitny talent muzyczny. Nie musiał uczestniczyć w zbiórkach dziecięcych formacji Hitlerjugend, bo dużo ćwiczył i występował na szkolnych uroczystościach z recitalami.

Na skutek nalotów alianckich i docierającego już nad nasze tereny lotnictwa radzieckiego pociągi kursowały wtedy bardzo chaotycznie. Zaczął się ucieczkowy Drang nach Westen. Johannes dotarł z tym wielkim exodusem uciekających Niemców do Wrocławia, gdzie się zatrzymali u krewnych matki. Miasto wkrótce ogłoszono twierdzą, nie było już możliwości wydostania się z niego, bo Rosjanie podeszli do Wrocławia od zachodu. Rozkazem Gauleitera Hankego, opętanego ideą obrony Festung Breslau za wszelką cenę, zapędzano kogo się dało, nawet tych najmłodszych i najstarszych do budowy umocnień. Tu w mieście przepelnionym wielką falą uciekinierów, Johannes wraz z matką znaleźli swój kąt u rodziny. Był tam wspaniały koncertowy fortepian Bechstein, teraz nieco rozstrojony, bo okna były już bez szyb i po mieszkaniu hulał mroźny wiatr. Johannes próbował mimo to ćwiczyć, choć zmarznięte dłonie były mało elastyczne. Grał właśnie „Marzenie” Schumanna. Dochodzący z ulicy stuk, hałas i niedalekie wybuchy mu nie przeszkadzały, bo tak bardzo teraz uciekał w ten lepszy świat muzycznej łagodności. Dźwięki romantycznego utworu, które docierały do zapędzonych na dole przy budowie barykady ulicznej, zrobiły na nich dziwne wrażenie w tym przyfrontowym zgiełku.

Za chwilę rozległy się gwałtowne uderzenia w drzwi i zaraz wpadł do pokoju rozsierzdony Blockleiter, kierujący budową barykady. Za nim weszło kilka osób pracujących na dole. Johannes usłyszał od Blockleitiera, że jest defetystą, bo w tak ważnej dla narodu niemieckiego chwili gra jakieś tam kawałki, a nie budzące zapal bojowy marsze wojskowe. Wykrzyczał, że to koniec grania, jakby to w ogóle nie był i tak koniec wszystkiego dla tego miasta. Uznał, że ciężki fortepian nadaje się doskonale na budowę barykady. Zaraz otwarto drzwi na balkon i zburzono mur balkonu. Instrument ustawiono na sztorc, wyłamano nogi i zaczęto go przesuwąć do balkonu. Odtąd i Johannes na rozkaz krzykliwego fanatyka partyjnego musiał wziąć udział w pracach przy obronie miasta. Zalekniiony, płacząc skrycie wypychał

fortepian razem z innymi. Była to muzyczna defenestracja, która nastąpiła nieco wcześniej, niż ta, w której ja brałem udział. On robił to na rozkaz niemiecki, a ja na rozkaz rosyjski. Oba fortepiany spadły z trzeciego piętra i w zetknięciu z ziemią zagrzały całą symfonią dysonansowych dźwięków wojny.

Nie wiem, czy owego „pianistę” z Warszawskiej Jesieni też ukształtowały przeżycia z dzieciństwa, bo koncertowo dobijał siekierą fortepian, przekonany, że prawdziwe piękno melodyczne umarło na zawsze w czasie wojny?

Katowice, styczeń, 2007

Początek wojny

Miesiąc był upalny, często burzliwy, ale nie burze zagrażały nam tak, jak burzliwe wydarzenia w polityce. Wydawałoby się, że w moim wieku nie byłem w stanie zbyt wiele zrozumieć. Od pierwszego września miałem pójść do drugiej klasy szkoły powszechnej, jak się wtedy szkoła podstawowa nazywała. Jak na mój wiek, byłem już nieco odczytany. Swoją wiedzę czerpałem z Tygodnika Katolickiego, ale zawsze z pewnym opóźnieniem, bo były to już przeczytane egzemplarze naszych sąsiadów, państwa Brodalów. Prenumerowali ten właśnie poznański tygodnik, bo sami przybyli na Śląsk z Poznańskiego. Rodzice kupowali też bardzo popularną gazetę codzienną SIEDEM GROSZY, choć dziennik tę cenę już dawno przekroczył. Mnie najbardziej interesowały w tej gazecie historyjki obrazkowe o Froncku bezrobotnym

Innym źródłem informacji była przyjaciółka naszej mamy, pani Spryszowa, trochę przyszywana ciocia, bo była chrzestną matką mego brata Bolka. Pan Sprysz był urzędnikiem magistrackim, stąd to jej dobre poinformowanie. Były też wiadomości od jej rodziny, mieszkającej po niemieckiej stronie w Zabrze, czyli ówczesnym Hindenburgu, jak to miasto na początku lat dwudziestych przechrzczono. Nieoficjalne wiadomości z jednej i drugiej strony granicy mówiły o grożącej wojnie, podobnie jak i wszystkie oficjalne wiadomości. O tym mówił mi i nasz dziadek Jan, który później został przez Niemców zamordowany w obozie koncentracyjnym w Dachau. Wieści były zawsze nieco spóźnione, więc wojna nadchodziła do Rybnika jakby z małym opóźnieniem.

Miesiąc się kończył, zbliżały się urodziny mego brata Bolka. To w piątek 31 sierpnia. U rodziców zauważyłem większą nerwowość niż zwykle. Oni przeżyli już jedną wojnę, tę pierwszą światową w Niemczech, w Westfalii, gdzie się urodzili. W trakcie tamtej wojny poznali wielki głód i jej okrucieństwa. Tu z Rybnika, gdzie mieszkaliśmy, było zaledwie kilkanaście kilometrów do granicy niemieckiej. Najbardziej bali się rodzice ataków gazowych, w czym utwierdzał ich nasz gospodarz pan J. który spędził sporo czasu w poprzedniej wojnie w okopach nad Sommą we Francji, gdzie ataki gazowe czyniły wielkie spustoszenie pośród żołnierzy obu stron.

Syn naszych gospodarzy Ryszard, odbywał służbę wojskową w 1939 w oddziałach podhalańskich na wschodnich rubieżach RP. Gdy przyjechał na urlop opowiadał o niepokojach i zbrojnych zatargach tam na wschodzie z Ukraińcami.

Ci zaczęli myśleć o odłączeniu się od Rosji Sowieckiej i utworzeniu niepodległej Ukrainy także na części ziem polskich. Liczyli w tym na pomoc Niemców. W czasie swego urlopu wczesnym latem zbudował na naleganie swego ojca szczelne drzwi wejściowe do piwnicy, która miała być naszym schronem w razie ataku gazowego. Zrobił to bardzo fachowo, bo był z zawodu stolarzem. Sam też był przekonany o tym, że niedługo wybuchnie wojna. Na początku sierpnia żołnierze z 1. batalionu 75 pułku piechoty, który stacjonował w koszarach przy ul. Gliwickiej rozpoczęli kopanie umocnień na ugorach za naszym ogrodem i polem naszego gospodarza. Powstały tam okopy, które były usytuowane na północ, w kierunku lasu i rzeki Rudy, w kierunku Gliwic. Stamtąd spodziewano się ewentualnego niemieckiego ataku. Nad lasem ukazywały się często niemieckie balony na uwięzi podobne do Zeppelina, z których Niemcy najwyraźniej wszystko obserwowali, co dzieje się po polskiej stronie.

Dziś można by określić te wiadomości, które przekazywała pani Spryszowa naszym rodzicom za bardzo defetystyczne. Były to wieści powtarzane przez jej rodzinę, mieszkającą po niemieckiej stronie w Zabrze. Kilku mężczyzn z jej rodziny powołano już do wojska. Niemiecka propaganda liczyła na to, że jej treści będą przekazywane dalej i dotrą na polską stronę. Nastąpiło wielkie nagromadzenie wojsk niemieckich wzdłuż całej śląskiej granicy. Mówiło się, że ta siła pozwoli już w pierwszym dniu walki zająć cały Śląsk. Wszystko to wpływało na to, że rodzice byli mocno zaniepokojeni.

Ja byłem przez mego dziadka Jana, powstańca śląskiego nastawiony bardzo hurra patriotycznie. W tym roku także przez część wakacji przebywałem w Biełtówkach, czyli na Emie u dziadków. Dziadek zabierał mnie na długie spacery, w trakcie których przekonywał mnie, a może bardziej siebie samego o sile naszego oręża w myśl głoszonych haseł, że JESTEŚMY SILNI, ZWARCI I GOTOWI i że NIE ODDAMY ANI GUZIKA. Dziadek był pod wpływem naszej oficjalnej propagandy, a ja byłem odbiorcą jego antyniemieckich poglądów.

W Bolka urodziny, a był to dla mnie ostatni dzień wakacji i byłem przekonany, że jutro, czyli 1. września pójdę do szkoły, do drugiej klasy, na co się już bardzo cieszyłem. Nowe podręczniki już czytałem i znałem, bo je pożyczałem od starszego o rok kolegi. Urodziny były dość skromne, przyszła tylko pani Spryszowa, matka chrzestna Bolka. Nikogo z kolegów Bolka nie było, bo mama była bardzo zajęta opieką nad zaledwie półtora roczną Małgosią i jakąś dla mnie niezrozumiałą krzątaniem. Mama myślała inaczej niż ja o nadchodzącej wojnie, bo wieści o niej nasilały się coraz mocniej, była już mowa o mobilizacji, o potyczkach

nad granicą. Nie zwracałem uwagi na to, co mówiła pani Spryszowa, bo bardziej ufałem dziadkowi. Nie siedzieliśmy z Bolkiem w domu, aby świętować jego urodziny, tylko szybko wybiegliśmy na podwórze pobawić się nową zabawką, jaką dostał od swej chrzestnej.

Przy okopach nie widzieliśmy dziś żadnych żołnierzy, tylko starszych chłopców, którzy próbowali skoków przez okopy. Nasz sąsiad krzyczał na nich, że zasypią okopy i żołnierze nie będą mieli gdzie nas obronić. Dla nas wojna była jeszcze gdzieś daleko. W pokoju sypialnym tata ćwiczył jak zwykle jakieś marszowe melodie na rogu. Przygotowywał się, bo orkiestra dęta szpitala, gdzie pracował, miała mieć jakieś nowe występy z okazji nadchodzących uroczystości. Wydawało mi się, że tata mniej się wojną przejmował niż mama.

Gdy z Bolkiem wróciliśmy do domu, zastaliśmy mamę kończącą pakowanie się jak na większy wyjazd. Nawet mój szkolny tornister mama zarekwirowała i był spakowany jak na jakąś długą wycieczkę. To mnie wprowadziło w stan krnąbrnego zachowania, bo ja nie kwapiłem się do żadnej wojennej ucieczki. Byłem nastawiony na jutrzejsze pójście do szkoły.

Jak się niedługo okazało, nie było ani wycieczki, ani ucieczki. Tata mniej się wypowiadał na temat wojny, był raczej małomówny z natury. Codziennie, w drodze do szpitala widział co dzieje w koszarach, na razie nie zauważył niczego, co mogłoby świadczyć o szybkim wybuchu wojny. Budynki koszar przylegały do pawilonów Szpitala Psychiatrycznego w Rybniku, a właściwe były nawet dawniej jego częścią. Tata uspakajał mamę, że nic złego się nie dzieje. Przekonywał mamę, że nie trzeba uciekać do rodziny do Biertułów, czy Niedobczyc.

Przy naszej ulicy Wodnej, gdzie było blisko rzek i lasu, nie działo się nic nadzwyczajnego. My chłopcy graliśmy w swoje gry, czy to w piłkę nożną, klipę czy w palanta. Mężczyźni wychodzili do pracy, kobiety jeszcze dziś wyszły do lasu na grzyby, czy brusznicę. Tak toczyło się życie ludzi, którzy o wojnie woleli nie myśleć, sądząc widocznie, że przez to nie nadejdzie.

Co prawda kolejarze z naszej ulicy mówili, że więcej ludzi niż zwykle wyjeżdża z wielkimi tobołami, choć to już koniec wakacji. Na naszej ulicy nie było wielu osób, które posiadały radia, czy abonowały gazety. niedzielę Gość Niedzielny, nabywany w niedzielę w kościele był głównym źródłem informacji. Kontakty z rodziną na Emie, gdzie posiadali radio też były rzadkie, raczej od święta. Nikt nie posiadał telefonu. Tu na ul. Wodnej nie odczuwało się gorączki wojennej, na pewno mniej, niż w samym mieście. Mieszkaliśmy przecież w ostatnim domu przy naszej ulicy Wodnej, na granicy miasta, blisko lasu. Mnie najbardziej interesowało,

czy jutro będę mógł zacząć nowy rok szkolny w drugiej klasie.

1. września obudziłem się wyjątkowo wcześniej, gdy mama szykowała tacie śniadanie. Tata wyjeżdżał do pracy rowerem na godzinę 6.00. Teraz było już po 5.00. Rodzice byli trochę zaniepokojeni i często wyglądali z okna sypialni, bo słychać było od strony Wielopola i lasu dalekie wybuchy. Tymczasem były one jeszcze dość głucho, podobne do odległej burzy. Od jakiejś chwili stały się wyraźniejsze, jakby bliższe i dochodziły gdzieś od strony kąpieliska Rudy. Od czasu do czasu już coś zabłysło. Mama chciała teraz młodsze rodzeństwo budzić, aby zejść do schronu, ale tata uspokajał, że to może jakieś niemieckie manewry nad granicą. Ja pozostałem przy oknie, podczas gdy tata szykował się do wyjścia do pracy. W pewnym momencie zobaczyłem samolot bardzo nisko lecący w rejonie ulicy Gliwickiej, a potem zaraz silne wybuchy. Domyśliłem się, że to bomby, bo samolot był nad naszym terenem i na pewno był niemiecki. Potem zaraz nastąpił silniejszy wybuch. Później okazało się, że nasi żołnierze wysadzili most nad rzeką Rudą, aby uniemożliwić wjazd niemieckich czołgów od strony Gliwic. Tata już jakiś czas temu odjechał na rowerze do służby w szpitalu, obok koszar, gdzie chyba już trwała wojna. Dziś rano mama prosiła bardzo tatę, aby nie szedł do pracy, ale tata powiedział, że musi do służby, bo chorzy czekają. Zaraz obudziła Małgosię, ubrała ją i zeszliśmy na dół do sieni, gdzie była już nasza gospodyni pani Jaroszowa ze Stefą, jej nieco starszą ode mnie córką. Mama nie pozwoliła mi już przyglądać się przez okno w sypialni wojnie toczącej się tam w okolicach stadionu przy ul. Gliwickiej. To była teraz prawdziwa wojna, choć dla mnie jak dotąd tylko ciekawe, nieznane mi jeszcze okrutne widowisko. Pani Jaroszowa ze Stefą i mama z naszą trójką tkwiliśmy na dole w sieni, nie zdecydowani jeszcze, czy zejść już do piwnicy, do schronu. W pewnym momencie domyśliłem się, że teraz to już prawdziwy front się przybliży, bo słychać było gdzieś blisko karabin maszynowy. Wcześniej rano było jeszcze pochmurnie, trochę mgły, ale z wolna się wypogodziło i zaczęło świecić wrześniowe słońce. Nagle usłyszeliśmy stukot kroków podbitych butów wojskowych. Jeszcze nie wiedzieliśmy którzy to, Polacy, czy już Niemcy? Usłyszeliśmy bliskie strzały i warkot samolotu. To byli polscy żołnierze. Wpadli zziębnięci do nas do sieni, jakby chcieli się u nas schować. Niektórzy mieli broń, inni byli niekompletnie umundurowani i bez broni, bez hełmów. Zachowywali się bardzo nerwowo, widać było, że są głodni, bo kilku z nich zaczęło zrywać winogrona rosnące na ścianie domu naszych gospodarzy. W tym roku były wyjątkowo dorodne i wcześniej dojrzewały. Zapytałem jednego z żołnierzy, czy teraz pójdą do okopów bronić nas przed Niemcami. Odpowiedział mi, że nie, że się wycofują, bo Ryb-

nik jest już prawie całkowicie w rękach Niemców. Któryś powiedział, że Niemcy mogą być blisko. Muszą się wycofywać na wschód w kierunku Żor, gdzie może uda się zatrzymać front. Żołnierze sięgali chciwie po winogrona, które pozrywali i wyglądało na to, że było to ich śniadanie na pierwszy dzień wojny. Na podwórzu mieliśmy studnię i żołnierze nabrali wody, którą pospiesznie popijali i nabierali na zapas do manierek. Po chwili wybiegli poprzez ogród w kierunku Paruszowca. Oni uciekali! To byli ci sami żołnierze, których zawsze podziwiałem, gdy w paradnym szyku maszerowali na defiladach, czy stali w szeregu ze sztandarem podczas sumy przed wejściem do kościoła św. Antoniego. Miałem nadzieję, że zobaczę jak będą dzielnie walczyć w okopach za naszym domem. Byłem rozczarowany. Dziadek nie miał racji. Nie wiedziałem, że teraz o tej porze też już uciekał na wschód. Wybuchów było coraz więcej, nie wiedzieliśmy, czy zejść do piwnicy czy nie, czy należy się chronić przed gazem. Ja wychodziłem od czasu do czasu na podwórze, rozglądałem się, ale przy okopach nie było widać żadnych żołnierzy. Nie pojawili się, aby od tej strony bronić Rybnika, nas.

Siedzieliśmy już od jakiegoś czasu w sieni. Pana Jarosza nie było, bo od wczoraj miał służbę gdzieś na trasie jako kierownik pociągu i dotąd nie wrócił. Pani Jaroszowa ze Stefą i moją mamą zaczęły się głośno modlić. Po chwili usłyszałem pomruk samolotów, które bardzo szybko nadlatywały od strony lasu. Leciały bardzo nisko i zbliżały się z coraz silniejszym rykiem. Było ich kilka. Nie miały na skrzydłach białe czerwonych szachownic, a czarne krzyże. Wiedziałem już, że to Niemcy i bardzo się przeraziłem. Jeden leciał szczególnie nisko, tak że zobaczyłem w kabinie twarz pilota. Bałem się, że teraz będzie strzelał, czy może zrzuci bombę. Nim o tym pomyślałem, był już daleko i pomachał skrzydłami. Był to przyjazny gest. Gdy po chwili wszystko się uspokoiło, wyszedłem na ulicę i zobaczyłem na dwu domach naszych niemieckich sąsiadów flagi z hitlerowską swastyką. Pewno dlatego nikt nas nie atakował.

Ta oczekiwana od jakiegoś czasu wojna dotarła szybciej, niż myśleliśmy. Było już dawno po godzinie ósmej i domyśliłem się, że chyba do szkoły dziś już nie pójde.

Tata wrócił z pracy dużo później niż zwykle. Opowiadał, że miał wielkie szczęście, bo słyszał blisko siebie świst kul, które go jednak nie drasnęły. Gdy wracał z pracy, zobaczył jak Niemcy zajmują opuszczone polskie koszary. Szpital również wszedł w niemieckie posiadanie, już pojawili się nowi zarządcy. Niektórzy psychicznie chorzy nigdy nie pojęli już, że coś się zmieniło, że istnieją wojny, bo oni żyli w swoim odmiennym świecie, gdzie wszystko bywa inne, ina-

czej pojmowane. Wielu chorych wojny nie przeżyło, gdyż zostali przez niemieckich lekarzy zaliczeni do osób o małej wartości biologicznej i wywieziono ich, aby przeprowadzić na nich tak zwaną eksterminację biologiczną, czyli dostawali śmiertelne zastrzyki trucizny. Następnego dnia wrócił pan Jarosz, zdrowy i szczęśliwy do domu. Nie miał już na czapce kolejarzkiego munduru polskiego orzełka, zdjął go na polecenie Niemców. W domu przechowywał jeszcze tę dawną oznakę, gdy był w niemieckim wojsku podczas pierwszej wojny światowej. To jednak nie był orzełek ze swastyką, więc ta oznaka się teraz też nie nadawała do noszenia, mimo że niemiecka, bo nie hitlerowska. Polskiego orzełka też przechowywał aż do zakończenia wojny. Potem również i tego nie mógł nosić, bo te nowe ludowe orły nie miały już korony. Przechowywał go dalej, ale gdy po zmianach ustrojowych można było takie orzełki z koroną nosić na czapkach, nasz gospodarz pan Jarosz już nie żył.

Nasi sąsiedzi, którzy tak gorliwie witali wkraczających Niemców na Śląsk uciekli pod koniec 1944 roku już na stałe z Rybnika i nigdy tutaj nie wrócili. Mój dziadek po powrocie ze swojej ucieczki na wschód został natychmiast przez Niemców aresztowany i umieszczony w obozie koncentracyjnym w Dachau, skąd też już nie wrócił, bo został zagazowany.

W Katowicach w 2009 r.

Pod koniec wojny

Rok 1944 miał się ku końcowi. Nie mieliśmy już lekcji szkolnych, skończyły się bez żadnych zapowiedzi z dnia na dzień tuż pod koniec tego roku, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Od wschodu zbliżał się front. Z nasłuchu w radiu o ograniczonym zasięgu odbioru, jakie posiadaliśmy (Volksempfänger), można już było odebrać amerykańską stację radiową Soldatensender West, która nadawała z terenu Francji w pobliżu granicy niemieckiej. Odbiór BBC z Londynu był gorszy. Dochodził też bardzo słaby sygnał polskiej stacji z zajętego przez Rosjan Lublina. Ten mały odbiornik niemiecki był dla kamuflażu, bo mieliśmy wysoką i długą antenę, aby móc odbierać Londyn na ukrytym dużym odbiorniku radiowym, który tata przechowywał w piecu kaflowym. Tak przechowywaliśmy wspaniałe radio marki Philips. Należało ono przed wojną do dziadka Jana, który zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau. Byłem dobrze poinformowany o sytuacji na frontach. W moim atlasie szkolnym zaznaczałem miejscowości zajęte przez Rosjan, którzy byli już w Prusach Wschodnich, ale ciągle jeszcze stali przed Warszawą, czekając aż się powstańcy wykrwawią. Niedługo potem przekroczyli Wisłę pod Sandomierzem i zbliżali się w kierunku Krakowa. Niemcy, którzy przybyli na Górny Śląsk w celu pełnienia misji urzędniczych i zarządzających, zaczęli szybko opuszczać nasz teren. Pociągi na zachód były teraz bardzo przepełnione uciekinierami. Z kilku domów na naszej ulicy wyjechali także i ci niemieccy sąsiedzi, którzy 1 września 1939 witali wkraczających Niemców hitlerowskimi flagami. W Rybniku żyło przed wojną wielu Niemców. Istniała tu wtedy niemiecka szkoła podstawowa i średnia. Widocznie uznali, że niedługo wkroczą Rosjanie i pełni lęku zostawiali prawie wszystko, co posiadali, byle wydostać się stąd w głąb Niemiec.

My wolelibyśmy, aby naszymi wyzwoliciełami była nie Armia Czerwona, a Amerykanie, ale ci byli jeszcze daleko na zachodzie, uwikłani w walkach w Ardenach, podczas ostatniej ofensywy Hitlera w tej wojnie. Dzięki osłabieniu niemieckich sił na wschodzie, Rosjanie posuwali się szybko na zachód w naszym kierunku.

Do mamy przychodziła wtedy bardzo często pani W. Była to jej koleżanka z czasów szkolnych w Bottrop. Wiedziała dużo o tym, jak wygląda w Rosji komunistycznej od jej męża, który przed wojną był policjantem. Interesowałem się teraz tym, czy w wyzwolonej Polsce będą darmowe szkoły średnie, a potem studia. Nie myślałem o tym, że nastąpi zamiana jednej dyktatury na inną. Nie było to ważne

dla mnie, że władzę obejmą komuniści potępiani przez kościół. Ja chciałem się uczyć. Zdawałem sobie sprawę, że nadejdą dla nas trudne czasy, bo zostaliśmy sami bez taty. Te opowieści o powszechnej i darmowej oświacie, jaką zapewnia ustrój socjalistyczny podobały mi się. Było o równości wszystkich, ale jeszcze nic o równym dzieleniu biedy w komunizmie. Jeszcze nie przeczuwaliśmy, że ta czerwona dyktatura potrwa znacznie dłużej, bo aż siedem razy dłużej niż dotychczasowa hitlerowska. Mimo zbliżającego się coraz szybciej frontu wschodniego, nasze życie codzienne zachowało dotychczasowy rytm. Wtedy malowałem już trochę. W ogrodzie zerwałem gałązki z drzewa czereśni i włożyłem do wazonu, aby rozkwitły. Chciałem namalować przedwiosenny obrazek, takie przecucie wiosny, czegoś nowego, co dopiero nadchodzi, a czego nie byłem całkiem świadom. Gałązki z pączkami przyszłych kwiatów. Miałem wtedy trzynaście lat. Dojrzywałem.

. Z oddali było słychać jakieś dudnienie, choć nie mogła to być burza o tej porze roku. Rosjanie byli coraz bliżej. Powoli rozróżniało się pojedyncze, ale jeszcze dość dalekie wybuchy. Wychodziliśmy nadal na sanki, czy łyżwy, bo zima była śnieżna. Byliśmy beztroscy i nie zdawaliśmy sobie sprawy z nadchodzącej grozy wojny. Nasi gospodarze zaczęli powoli, podobnie jak w roku 1939 przygotować piwnicę na miejsce przetrwania nadchodzącego frontu. Pan Jarosz przeżył pierwszą wojnę pod Verdun i bał się ostrzału artyleryjskiego. Najbardziej groźnie wypadały w jego wspomnieniach wybuchy szrapneli, które rozrywały się nad głowami i rozsiewały śmiertelne odłamki. Tylko piwnica mogła stanowić bezpieczne schronienie.

Front zbliżał się i do nas. Z ostatnich wiadomości dowiadywałem się, że na północ od nas Rosjanie dotarli już na południowy zachód od Częstochowy. Mama spakowała niezbędne rzeczy i znosiliśmy je do piwnicy. Nadszedł dzień 26. stycznia. Wokół ostatnich domów od strony łąk snuli się w białych, ochronnych kombinizonach niemieccy żołnierze na nartach i rozwijali linie telefoniczne. Coś się szykowało. W 1939 roku polscy żołnierze spodziewali się od strony łąk i lasu ataku wroga i za naszym domem powstały okopy obronne. Teraz Niemcy oczekiwali z tej strony Rosjan. Widocznie Rybnik trzeba atakować zawsze od tej samej strony, obojętnie, czy byłyby to wojska z zachodu, czy ze wschodu.

Późno popołudniu usłyszałem jeszcze w radiu, że Rosjanie są już w Gliwicach - Łabędach. Gdy wszyscy siedzieliśmy w kuchni, a tylko Małgosia spała w pokoju obok, rozległ się w domu potworny wybuch, domem wstrząsnęło, jakby się wszystko waliło. Cały budynek drżał przez chwilę. Drzwi z kuchni do pokoju otwarły się i usłyszeliśmy płacz przerażonej Małgosi, a do kuchni zawiało

tumanem pyłu ceglanego. Mama zerwała się i przyniosła ją na rękach do kuchni. W pokoju były otwarte drzwi do sypialni i przez nie snuła się gęsta chmura pyłu. To tam uderzył granat. W narożniku domu powstała olbrzymia wyrwa, przez nią widać było nocne niebo. Nasza sypialnia była w ruinie. Rozsypane pierze mieszało się z płatkami śniegu. Tyle jeszcze zdołałem zobaczyć, bo zaraz zgasło światło. W pobliżu słychać było dalsze wybuchy. Mama sprowadziła nas wszystkich pięcioro do piwnicy i tam zaczęliśmy się urządzać na długie dni przy świetle świec. Elektryczności już nie mieliśmy do końca wojny. Radio, które przeniosłem do piwnicy okazało się bezużyteczne. Skończył się nasłuch radiowy. Jak się okazało, Rosjanie już dotarli z Gliwic pod Wielopole i zajęli stanowiska wzdłuż rzeki Rudy na skraju lasu. W następnych dniach obserwowaliśmy, jak wzdłuż lasu przesuwiała się w jasna linia. Nasz gospodarz stwierdził, że to Rosjanie kopią okopy. Potem linia szybko zniknęła, widocznie zamaskowana gałęziami, co znacznie później dopiero naocznie stwierdziliśmy na miejscu. Tu wzdłuż rzeki Rudy zatrzymał się rosyjski front prawie do końca marca. Niemcy zajęli domy najbliższej łąki. Do naszego nie weszli. Zaczęło się nasze frontowe trwanie, nasza próba przetrwania na pierwszej linii frontu. W następnych dniach Rosjanie urozmaicali nam wieczory patriotycznymi pieśniami i propagandowymi odezwaniami poprzez bardzo głośne megafony. Zaczęliśmy się zapoznawać z rosyjskimi piosenkami, z „Kalinka, Kalinka maja” na czele. Wzywali nas nawet do przechodzenia, na ich stronę. Niektórzy tego próbowali, ale często zdarzało się, że wchodzili na miny. Żołnierze niemieccy wychodzili z ukrycia tylko nocą. Przychodzili na nasze podwórze do studni po wodę. Z nastaniem ciemności Rosjanie ostrzeliwali się z Niemcami. Nikt nie szykował się do ataku. My chłopcy wychodziliśmy w dzień bez obaw na ulicę, bo Rosjanie do nas nie strzelali. Nawet urządzaliśmy jakieś podrzucania piłeczką. Ja już bardzo czekałem na Ruskich. Niestety, życie piwniczne trwało nadal. Dosyć długo przeciągała się ta wojna pozycyjna, o której mi opowiadał pan Jarosz. Z jedzeniem było już bardzo krucho, zapasy kończyły nam się powoli. Piekarnia zięcia naszych gospodarzy wypiekała jeszcze od czasu do czasu chleb dla Niemców i czasem coś się nam dostało. Mogliśmy tam dotrzeć, bo nie byliśmy zbyt na ostrzał narażeni. Przynajmniej Mieliśmy chleb. Od czasu do czasu, nasza kura jedynaczka zniosła jajko. Gdy mama dostała od pani J. trochę koziego mleka, była na obiad prawdziwa zacierka, zupa mleczna. Teraz nikt nie grymasił. Mieliśmy jeszcze zapas kartofli i kiszzonej kapusty, trochę stopionej słoniny i masła w słoikach. Na desery były jeszcze kompoty.

Do naszej piwnicy sprowadzili się jeszcze państwo Brodalowie z sąsiedniej

ulicy, skąd ich Niemcy przepędzili. Miałem więc o rok ode mnie starszego, bliższego kolegę Zenka, więc było mniej nudno. Pan Brodala, choć zwykły kolejarz, potrafił nam opowiadać ciekawe rzeczy. Moje radio nie działało, więc próbował zmajstrować odbiornik detektorowy, który działa bez prądu. Niestety, miał za mało drutu i nic z tego nie wyszło. Opowiedział nam za to jakie to radia będziemy mieć w przyszłości, bo w Ameryce już takie mają: radia z okienkiem, w którym wszystko widać jak w kinie, tylko dużo mniejsze. To było o telewizji, z którą się miałem później na prawie całe życie związać, ale teraz o tym jeszcze nie wiedziałem. W międzyczasie byłem nawet raz w mieście. Koledzy z sąsiedztwa chodzili tam często, aby zdobyć coś do jedzenia. Dotarłem z nimi do fabryki likierów Soblika, gdzie miał być cukier. Zenek był ze mną, ale się po drodze pogubiliśmy. Droga prowadziła przez miasto w czasie walk. Można było oglądać to, na co w moim wieku było za wcześnie, okrutne skutki wojny. Niemcy zwozili na dziecięcych sankach swoich zabitych pod Nowy Kościół. Byli już sini, martwi, poszarpani i okrwawieni. Martwi żołnierze powłóczyli nogami po śniegu, bo sanki były za krótkie. To byli pierwsi zabici, których oglądałem z bliska.

Z magazynów u Soblika pozostało już niewiele do zabrania. Udało mi się trochę cukru odsypać do dużego papierowego worka, a potem poszedłem za innymi na dół, do piwnic. To, co tam zobaczyłem, robiło przerażające wrażenie. W dużej hali znajdowały się ustawione w rzędach beczki dwumetrowej średnicy, z których silnymi strumieniami lała się alkoholowa ciecz. Musiało się sporo płynu wylać, bo jego poziom był taki, że kilku mężczyzn unosiło się już bez ruchu na powierzchni tego rozlewiska i widać było, że chyba odpływają w alkoholową wieczność. Jakiś pijany niemiecki podoficer strzelał ciągle w kolejne beczki z pistoletu, tak że nowy strumień wytryskiwał od razu kolejną fontanną. Potem próbował palcem i krzyczał: pfuj, schmeckt nicht! Dobrze, że nosiłem wtedy taty wysokie buty z cholewami, więc do nich mi się jeszcze nie nałało. Alkohol, który rozlewał się jak w basenie i sięgał ml już do połowy łydek. Postanowiłem zrobić prezent panu J. i nabrałem do kilku butelek jakiegoś alkoholu. Pochwalił mnie, że przyniosłem mu bardzo dobry wermut. Wszystkie moje zdobyczne trofea załadowałem do drewnianej skrzynki na butelki i dociągnąłem ten ładunek po śniegu do domu. Na kolejną wyprawę już na szczęście nie poszedłem, mimo że miało być mięso u rzeźnika. Romek Klimek, mój kolega z sąsiedztwa poszedł z matką i ciocią. Niestety, gdy stali w kolejce przed sklepem, nastąpił wybuch granatu. Dużo osób zginęło. Ciočia mego kolegi też. On i jego matka zostali ranni. Jego mamie urwało nogę. To zdarzyło się 14 lutego. Jego bracia zawieźli go na taczce do dość

odległego punktu sanitarnego i powiedzieli, że był ranny w Volkssturmie. Niemcy wywieźli go do szpitala aż do Morawskiej Ostrawy. Opowiadał, że mało co nie zostałby odznaczony jako dzielny, ranny członek Volkssturmu, ale wymówił się, że żelazny krzyż należy się tylko prawdziwym żołnierzom. Miał zostać wywieziony transportem sanitarnym do Austrii. Razem z ranną matką udało im się tego transportu uniknąć i wrócić jednym z ostatnich pociągów do Wodzisławia, a stamtąd zabrała ich rodzina do Niedobczyc.

My przetrwaliliśmy jeszcze przez cały luty w piwnicy. Rozniosło się, że nocą przychodzą teraz Niemcy i wyrzucają cywilów z piwnic. Każą im się udać do wyznaczonego punktu ewakuacyjnego w rzeźni za dworcem kolejowym. Nie było wiadomo jak się w nocy odezwać, gdy ktoś zapuka, bo mogli to także być Rosjanie. Więc ani po polsku, ani po niemiecku, więc chyba tylko jakieś halo, halo.

Trzeciego marca, w dzień urodzin taty, rozległo się nad ranem głośnie stukanie i usłyszeliśmy niemieckie głosy, więc wiedzieliśmy, że przyszli nas wyrzucić. Dostaliśmy polecenie udania się na punkt zborny do owej rzeźni przy ulicy Żorskiej, skąd miano nas ewakuować w głąb Niemiec. Było bardzo zimno, wiał mroźny wiatr ze śniegiem i nasza piątka musiała z mamą ruszyć w drogę. Mieliśmy sportowy wózek dziecięcy, w którym zmieścił się półtora roczny Piotrek, trzyletni Hubert i sześciolatnia Małgosia. My z Bolkiem dźwigaliśmy nieco bagażu i z wielkim wysiłkiem pomagaliśmy mamie pchać wózek z młodszym rodzeństwem. W rzeźni był już tłum. Niedługo miały zostać podstawione wagony do wywozu w głąb Niemiec. Mama postanowiła, żeby się stąd wydostać do rodziny w Niedobczycach. Wypróbowała starego sposobu przekupienia żołnierza paczką tytoniu, którą miała ze sobą. Tytoń to najlepszy pieniądz na czas wojny. Poskutkowało i niedługo byliśmy znów w drodze. Jeszcze było ciemno, gdy wyruszaliśmy. Była to męcząca droga po wertepach, wzdłuż nasypu kolejowego w śniegu z wózkiem w kierunku Niedobczyc. Dotarliśmy tam na miejsce około południa, zmęczeni i głodni, z płaczem małych przemarzniętych dzieci. Znaleźliśmy się u rodziny, u siostry mamy i u babci. Po chwili zrobiło się prawie normalnie, usiedliśmy razem do stołu. Był to po dłuższym czasie pierwszy normalny, gorący obiad, co prawda tylko kartoflanka, ale jaka pyszna. Zjadłem aż trzy talerze. Po kilku dniach udało nam się uzyskać u Niemców furmankę z zaprzęgiem i woźnicą z zezwoleniem podjechania w okolice naszego domu w Rybniku, by przywieść nasz niezbędny dobytek, co nam się nie bez trudu i przygód udało, bo inna grupa żołnierzy chciała naszą furmankę zarekwirować do przewozu amunicji. Niedługo dopadła nas i tutaj wojna. Zaraz na polu za domem cioci ulokowała się niemiecka bateria artylerii

i zaczęła ostrzał w kierunku rosyjskich linii pod Rybnikiem. Mama się przeraziła, że i tu może być niebezpiecznie, więc znów zaczęliśmy nową wędrówkę do jej siostry Marii, która mieszkała na Emie, w familokach osady górniczej, gdzie się urodziłem. Tu dotarły jeszcze dwie inne zaprzyjaźnione z cicią rodziny z Rybnika. Powstał istny kolchoz, choć wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co to takiego. Jakoś trwaliśmy, koczowaliśmy śpiąc na podłodze, ale mieliśmy sienniki wypchane słomą. Nasłuchiwalismy zachodnich stacji radiowych, bo zabrałem to małe radio ze sobą i wiedzieliśmy, że wojna ma się ku końcowi. Raz odebrałem nawet transmisję mszy z niemieckiej stacji radiowej. Hitlerowska propaganda mówiła, że to „ze zbombardowanej przez amerykańskich terrorystów” katedry w Kolonii. Teraz była dla hitlerowców także religia dobra, aby podnosić podupadające morale narodu niemieckiego w obliczu przegranej wojny. Racje żywnościowe stawały się bardzo skąpe, ale jeszcze można było przetrwać. Czekaliśmy. Radio alianckie donosiło, że trwają już walki na przedmieściach Berlina, dokąd dotarli pierwsi Rosjanie, a Amerykanie i Anglicy posuwali się teraz coraz szybciej w głąb Niemiec. Do nas dotrą szybciej Rosjanie.

Powoli zadomowiłem się tu całkiem dobrze podczas kończących się dni wojny. Dawniej bywałem tu często na wakacjach u dziadków Porembskich. Dziadek Jan poświęcał mi wtedy sporo czasu, dużo mi opowiadał i pobudzał mój patriotyzm dziecięcy. Był wielkim Polakiem, powstańcem śląskim, i znalazł się na liście specjalnej, bo zaraz po powrocie z ucieczki w 1939 został aresztowany. Najbardziej naraził się Hitlerowcom tym, że w 1939 spalił publicznie kukłę Hitlera.

Na Emie było mi wszystko dobrze znane. Miałem tu kolegów, kuzynów i kuzynki i nie nudziłem się nigdy. Życie wokół familoków miało swój urok. Ciągnęło mnie do starszych kolegów i koleżanek, bo byłem w tym wieku dojrzewania i szukałem już nowej nieznaney mi dotąd wiedzy życiowej, ale jeszcze nie doświadczenia. Rodziła się chęć wyjścia z dzieciństwa, a wejścia w wiek młodzieńczy.

Któregoś dnia pod wieczór wylądował na boisku piłkarskim, ogrodzonym wysokim płotem, niemiecki samolot Fieseler-Storch. Po chwili równie sprawnie wystartował na tej ograniczonej powierzchni. Zrozumieliśmy, że zaczyna się coś dziać. Następnego dnia już od rana pojawiały się tylko radzieckie samoloty szturmowe i atakowały niemieckie transporty, oraz jakieś cele w Wodzisławiu. Stąd było widać jak latają w kółko i co chwilę się jakiś samolot obniżał i zrzucał bomby. Potworny huk docierał aż do nas. Niemcy próbowali się wydostawać, czy to transportem drogowym, czy kolejowym w kierunku Ostrowy. Górnośląski kocioł był zamknięty i taką możliwość zostawiono Niemcom, aby mogli wyjść z okrążenia.

Śląski okręg przemysłowy miał zostać nienaruszony. Rosjanie panowali już całkowicie w powietrzu. W ciągu dnia pojawiła się na ulicy wzdłuż boiska długa kolumna wozów z zaprzęgami konnymi. Nagle pojawiły się rosyjskie samoloty i zaczęły ostrzalać, spadały bomby. W mgnieniu oka kolumna rozjechała się na boki. Furmanki wjeżdżały w podwórza i ogródki, gdzie się tylko dało. Zobaczyłem nagle coś niepojętego. Do drzwi wejściowych sąsiedniego familoka powożący żołnierz błyskawicznie wjechał z parą koni przy dyszlu do środka, tak że tylko sam wóz pozostał na zewnątrz. Właściwie i mnie groziło niebezpieczeństwo jako obserwatorowi, bo w pewnym momencie widziałem jak od samolotu odrywa się bomba i leci wprost na mnie. Zdołałem wskoczyć do chlewika, ale wybuch nastąpił gdzieś dalej. Byłem bardzo przerażony, bo myślałem, że to już koniec. Gdy po chwili wyszedłem z chlewika, zobaczyłem, że zaprzęg konny tkwi jeszcze w sieni. Żołnierz musiał teraz wyzwolić konie z zaprzęgu, a potem je osobno wyprowadzać na zewnątrz, choć tak szybko znalazły się razem w zaprzęgu w środku sieni.

W szlafhauzie (hotelu robotniczym) obok, nie było już jeńców rosyjskich, ani robotników przymusowych ze wschodu, którzy pracowali na kopalni Emma. Myśmy gromadnie weszli do środka poszperać, czy nie znajdziemy czegoś do jedzenia. Okazało się, że na najwyższym, trzecim piętrze ulokowali się w oknie Niemcy. Zawiesili dużą ciemną zasłonę, zostawiając tylko mały otwór do obserwacji. Za oknem ustawili karabin maszynowy. Obserwowali teren pod lasem od strony Markłowic. Nagle rozległy się strzały i zdołaliśmy zobaczyć wybiegające z lasu małe brązowe ludziki. Niemiecki oficer krzyknął do nas: Haut ab, die Russen kommen i zaczął telefonować. Gdy pędem pobiegliśmy i znaleźliśmy się na ulicy, zaczęły nad naszymi głowami świstać kule. Udało mi się dobiec do domu. Jeszcze chwilę trwała strzelanina karabinowa, kilka wybuchów granatów i byliśmy „wyzwoleni”. Poszło łatwiej, niż się wszyscy obawiali. Strzały i wybuchy było słychać już z oddali. Po chwili zobaczyliśmy kilku żołnierzy radzieckich z bliska. Oni pomachali do nas, a my do nich. Zrobili na nas wrażenie obdartego, biednego wojska, które nie miało nawet uczciwych plecaków, a tylko jakieś worki powiązane sznurami. To byli wyłącznie piechurzy. Biedni, ale zwyciężający. Było to 27 marca. Zaraz zrobiło się cicho i jakby już po wojnie.

Po chwili zebrała się na ulicy grupa miejscowej młodzieży, do której zaraz dołączyłem. Widzieliśmy jak ludzie wynosili z magazynów szlafhauzu jakieś zapasy. Zaczęło się tam plądrowanie wszystkiego, co się dało. My też tam pobiegliśmy, ale zastaliśmy już resztki. Udało mi się zarzucić na plecy dużą poćkę wieprzowej tuszy i popędziłem z tym do domu. Wszyscy mnie pochwalili za zapobiegliwość.

Nie było co jeść, więc nie było i wyrzutów sumienia. Moralność czasu wojny jest tolerancyjna. Potem jeszcze raz poszedłem tam na górę do budynku, skąd przepędzili nas Niemcy. Zrozumiałem, dlaczego chowali się za zasłoną, aby ich Rosjanie nie zauważyli, którzy bardzo celnie strzelali. W okno trafił granat i pozabijał Niemców. Spustoszenie było ogromne. Zdążyliśmy na czas uciec. Zwiedziłem potem niektóre pomieszczenia, znane mi z czasów, gdy dziadkowie tu przed wojną mieszkali, a dziadek już jako emeryt pełnił funkcję gospodarza w tym olbrzymim pustym gmachu. Wtedy był kryzys i hotel robotniczy stał pusty. W czasie wojny mieszkali tu robotnicy przymusowi ze wschodu. W pomieszczeniach stały po cztery piętra łóżek, jedno nad drugim. W jednym pomieszczeniu zobaczyłem na ścianie urzekające malowidło. Przedstawiało romantyczny krajobraz z bogatą, egzotyczną roślinnością i rozległy widok na brzeg morza. Później po latach wiedziałem, że był to najpewniej pejzaż z nad Morza Czarnego, może z okolic Soczi, który wyczarował tu jakiś Gruzin, tęskniący za ojczyzną. Zrozumiałem, że tęsknotę można stłumić malując obrazy, co dużo później już sam sprawdziłem. Naszej gromadce przewodziła dziewczyna o imieniu Berbla. Dla nas dorastających chłopców była postacią budzącą męskie tęsknoty i ulegaliśmy jej dość obcesowemu czarowi. Postanowiliśmy pójść do centrum Emy przy kopalni, do głównej ulicy. Dużych zniszczeń nie było widać. Pod murem jednego budynku leżały zwęglone zwłoki Rosjan. Widocznie szli wzdłuż muru i zaczajony Niemiec zaatakował ich miotaczem ognia. Wybuch ładunków w ich pepeszach dokonał reszty spustoszenia, ciała były popalone i porozrywane. Zaszokowała nas Berbla. Wzięła na kij spalone genitalia jednego z żołnierzy i uniosła je wysoko w górę z sarkastycznym uśmiechem seksualnej wiedzy. My chłopcy byliśmy zaszokowani. Zbyt okrutne było to obnoszenie się tego rodzaju bestialskim erotyzmem. Tym samym urok Berbli nieco prysnął. Lektura „Germinal” E. Zoli nie szokowała mnie już potem w czasach szkolnych, po tak drastycznym wyczynie bezczeszczenia zwłok na zakończenie wojny.

W kwietniu, po powrocie do domu, zastałem w wazonie rozkwitnięte gałązki czereśni, które pozostały tam od końca stycznia. Powitały nas wiosennie. Nadzieją na lepszy czas po wojnie, która trwała jeszcze, ale już daleko od nas i skończyła się 8 maja w Berlinie. Byliśmy wyzwoleni spod niemieckiej okupacji. Rosjanie, którzy wyzwolili nas zamiast Amerykanów, okazali się nie tymi, którym chcieliśmy być wdzięczni za wolność. Trafnie to określił w trakcie wkraczania Armii Czerwonej do Wodzisławia, wówczas jeszcze kapelan, a później biskup Wrocławia i kardynał, pochodzący z Radlina Bolesław Kominek, pierwszy maturzysta mojego gimnazjum w Rybniku, gdy oglądał zachowanie się wyzwolicielei:

Chyba nie na nich przez pięć lat czekaliśmy. Opowiadał mi później o tym Antoni B, mój kolega szkolny, który parę domów dalej przy tej samej Ul. Wodnej spędzał przyfrontowy okres piwniczny, a potem w Wodzisławiu doczekał się wkroczenia Rosjan. Powoli przyzwyczajaliśmy się do nowego życia. Szkoły były jeszcze nieczynne, mieliśmy dużo wolnego czasu. Pomagaliśmy porządkować kościół na nabożeństwa majowe. Choć wojna już minęła, dotykała nas młodych jeszcze wielokrotnie swoimi skutkami. Pozostały miny, które czyniły wielu kolegów kalekami, a niektórzy przypłacali chłopięcą lekkomyślność życiem, bo stępiony został nasz instynkt samozachowawczy. Zachowaliśmy na zawsze Pamięć Wielkiego Zła Czasu Wojny.

Katowice, w styczniu 2003 r.

Przedwojenne dzieciństwo

Lato tego roku było cieplejsze, a może nawet gorętsze od innych. Wtedy nie mówiło się jeszcze o ociepleniu klimatu, po prostu zimy były bardzo zimne, z mrozami jakich dziś już nie pamiętamy, a lata bardzo upalne. Wszystko o swej porze.

Tego roku, a chyba było to w 1936, nastąpiła na wiosnę wielka powódź, bo obie rzeki wylały i tam gdzie rozciągały się bujnie porastające trawą łąki powstało rozległe jezioro, większe niż stawy starej Rudy, które w znacznej części były zarośnięte szuwarami. Pamiętam, że kiedyś poszliśmy z tatą ku łąkom, mogłem nawet wchodzić do wody, sięgała mi prawie po pas. Tata pozwolił mi się wykąpać. Woda była ciepła, i z przyjemnością się wytaplałem, brodząc na czworakach udawałem, że pływam. To była moja pierwsza kąpiel w otwartej wodzie poza dotąd znanej mi kąpieli w wannie ustawionej na dworze. Po jakimś czasie woda opadła i łąki zakwitły bardziej kolorowo, niż w innych latach. Wieczorami dochodził stamtąd żabi koncert aż do naszych okien. To głośnie rechotanie trwające do późnego wieczora wpływało na moje i mego brata Bolka szybsze zasypianie.

Nie tylko łąki zakwitły tego roku tak obficie, ale i pobliskie pola porośnięte były przyozdobione kwiatami w kolorze czerwonym i niebieskim, makami i chabrami. Takie widoki mieliśmy wprost z okna na pola „ciotki Klary”, jak nazywali wszyscy właścicielkę, która często chodziła z fajką w ustach. Nie tylko paliła jak mężczyzna, ale też wykonywała sama najtrudniejsze prace w polu. Szybko skosiła dojrzałe żyto, a ja próbowałem też pomagać przy zbieraniu żętego zboża. Na ściernisku pojawiły się szybko nowe kwiatki. Były to polne bratki, które my zbieraliśmy, suszyliśmy i potem mieliśmy smaczną herbatę ziołową. W tym roku zabrał mnie tata po raz pierwszy na kąpielisko Ruda. Nie były to wtedy takie baseny jak dzisiejsze, a olbrzymi staw kąpielisko z dużą plażą z nawiezonego piasku. Była tam ogrodzona część do kąpieli, na brzegu stały zbudowane na palach kabiny przebieralnie, była olbrzymia skocznia wysoka na 10 m. Znajdowało się też miejsce na przystań kajaków i łodzi do wynajęcia. Było sporo miejsca, bo całą przestrzeń dzisiejszego kąpieliska stanowiło lustro wody. Tata był świetnym pływakiem i zabierał mnie na plecy pływając żabką po całym zbiorniku. W ten sposób wyzbyłem się lęku przed wodą, i już po roku nauczyłem się sam pływać w rzece Rudzie, gdzie my chłopcy z ul. Wodnej mieliśmy swoje miejsca do kąpiei. Woda była wtedy naprawdę pierwszej czystości. Łapaliśmy wtedy raki w obu rzekach. Gdy byłem nieco starszy, pojechałem koleją na szkolną wycieczkę do

Szymocic, gdzie kąpałem się pierwszy raz na basenie pływackim. Kiedyś podczas wojny wybrałem się na inny basen z kolegą Antkiem B. autobusem do Jastrzębia Zdroju. Podkreślam w jakim czasie to było, bo podróż zajmowała prawie dwie godziny. Niemcom brakowało już wtedy paliwa do autobusów i te poruszały się silnikami napędzanymi gazem z drewna. Na trasie do Jastrzębia są liczne pagórki i autobus miał zwyczaj przed każdą większą górka na chwilę odsapnąć, by zdążyć spalić dodatkową porcję drewnianych klocków. Z tyłu na autobusie był w tym celu zamontowany odpowiedni kocioł z piecem. Pod górę młodszy pasażerowie musieli iść piechotą. Tuż przed Jastrzębiem zabrakło paliwa drewnianego, czyli tych klocków i kierowca wysłał nas, kilku chłopców do pobliskiego lasu nabierać suchych gałęzi. Szybko je potem pociął toporkiem na mniejsze części i załadował do paleniska. W ten sposób autobus jakoś dojechał do ostatniego przystanku a my dotarliśmy zmęczeni i umorusani na basen.

Wstęp na kąpielisko na Rudzie był płatny, więc we wczesnym dzieciństwie nie często tam bywałem, raczej łatwiej o kąpiel było w jednej czy drugiej rzece. Było bliżej i raźniej, bo w gromadzie kolegów z okolicznych domów z ul. Wodnej. Później znaleźliśmy już sposób by przedostać się na Rudę bez biletu ukradkiem wzdłuż rzeki. Trzeba było już być w kąpielówkach i tak też wychodziło się z domu na kąpielisko. W razie wpadki było tłumaczenie, że wyszło się tylko za potrzebą poza ogrodzenie. Zaraz po wojnie wstęp był darmowy. Taka drobna zdobycz socjalizmu. W obu rzekach nie można się już było kąpać, bo woda stawała się bardzo zanieczyszczona, z rzek znikały raki i ryby. Przy stawie Huty Silesia na Paruszowcu powstał piękny murowany basen, a na przystani stawu obok można było wynajmować kajaki. Często tam pływałem i podjadałem tam rosnące orzechy wodne, kotewki. Tej rośliny będącej pod ochroną, która została umieszczona na herbie Rybnika wokół szczupaka. Z biegiem czasu, tak zwana pierwsza rzeka stała się zwykłym rowem melioracyjnym, prawie bez wody. Okolice mego dzieciństwa zaczęły jak wszystko dokoła się zmieniać, w 1951 wyjechałem na studia, moje pobyty tutaj stawały się coraz bardziej sporadyczne.

Przygody scenografa na planie zdjęciowym

Zdarzyło mi się to przy programie rozrywkowym reżyserowanym przez Jerzego Michotkę na scenie Pałacu Młodzieży w Katowicach. Program nie szedł na żywo, a był rejestrowany, czyli ciągle przerywany. Publiczność była z konkretnego zakładu pracy, który władze uważały za godny uhonorowania programem rozrywkowym. Poza występami piosenkarzy, czy baletu, przedstawiano tak zwanych zasłużonych przodowników, jak to było wówczas w zwyczaju. Pracownik mógł sobie życzyć jakiegoś konkretnego wykonawcę, piosenkarza czy nawet numer cyrkowy. Był ktoś, kto prosił o jakieś groźne zwierzę w występie cyrkowym na scenie. Trudno było sprowadzić w tych warunkach naprawdę duże zwierzę, jak na przykład lwa, czy tygrysa. Skończyło się na dużym zwierzęciu, ale tylko jeśli o długość chodzi, choć też bardzo groźnym. Był to wąż boa. Okaz prezentował się wspaniale. Został przed programem dobrze wykarmiony, co było widać, bo boa był szczególnie gruby i leniwy, zajęty najwidoczniej trawieniem. W trakcie niemrawego popisu z leniwym wężem uniesionym wysoko w górę, nastąpiło tak zwane wypróżnienie się zwierzęcia, czynność fizjologiczna nie mieszcząca się w scenariuszu widowiska. Wyglądało to, jakby ktoś wyciskał z długiej olbrzymiej tuby całą jej zawartość. Urodziwa asystentka pogromcy boa poślizgnęła się i prawie że nie wpadła w tę masę gigantycznych odchodów. Występ został zaraz przerwany, ale brawa były niesamowite pomimo niedokończonego występu. Nastąpiła teraz konsternacja, reżyser krzychał: niech ktoś z tym g... zrobi porządek, ale jakoś nikt się nie kwapił. Jurek Michotek wyszedł na scenę i zaproponował, że może on w międzyczasie coś zaśpiewa, aż tamto zniknie. Stwierdziłem, że do dosłownie gównianej pracy naprawdę nie ma w ekipie telewizyjnej nikogo, więc sam wyszedłem przy otwartej kurtynie na scenę z łopatą i workiem ze sprzętu przeciwpożarowego, jaki się w przy każdej scenie znajdować musi. Przed swoją czynnością sceniczną ukloniłem się publiczności i szybko uwinąłem się z tak zwanym mało higienicznym zagrożeniem. Ja też dostałem obfite brawa i zaraz po nich odezwał się reżyser do publiczności, aby jakoś skomentować przykry incydent i mnie wytłumaczyć. Jurek powiedział, że to ja jestem od projektowania i nadzoru dekoracji jako scenograf. Wiadomo, że w trakcie spektaklu trzeba zawsze coś w dekoracjach zmienić, coś wynieść, usunąć. On lubi ze mną pracować, bo wie, że w każdej, nawet takiej gównianej jak ta sytuacji, może zawsze na mnie liczyć. Cały ten incydent nie wszedł do programu i nie zyskałem gównianej sławy.

Ruska kura

W maju 1945 roku do domu naszych gospodarzy, gdzie wynajmowaliśmy mieszkanie dokwaterowano do jednego pokoju kilku radzieckich żołnierzy. My, piątka rodzeństwa od dwu do 14 lat byliśmy ciągle głodni. Tata zaginął w wirze wojny gdzieś na zachodzie i mama z trudem mogła nas wykarmić. Zarabiała to praniem, to innymi dorywczymi pracami u ludzi, a rodzina też często pomogła czym się dało. Czasem nawet rosyjscy żołnierze dali kawałek boczku i chleba.

Wtedy mieliśmy już leciwą kurę, która nam od czasu do czasu złożyła jajo i było na makaron czy naleśniki. Jako że kura była stara, to pewnego dnia przestała po prostu żyć. Mama chciała ją ugotować, ale nie mogła się od razu zdecydować. Cóż to był za zbieg okoliczności, gdy nazajutrz żołnierze przynieśli mamie żywą białą kurę i poprosili o ugotowanie jej. Żołnierze, mimo że chłopcy biegli w zabijaniu wrogów, ptaka nie zarżnęli. Mama wtajemniczyła mnie, że ruskim ugotuje tę naszą martwą kurę, a ja mam schować tę żywą kurę w naszej sypialni. Została ona częściowo zburzona od wybuchu rosyjskiego granatu zaraz na początku stycznia, gdy front dotarł do nas. Przywiązałem ją za nogę pod łóżkiem i tam ją dokarmiłem chlebąszczami i czym tylko się dało. Chyba dobrze o nią dbałem, bo za dwa dni odkryłem pierwsze jajo, które wdzięcznie zniosła za uratowanie życia. Ruskim nasza ugotowana kura bardzo smakowała, bo choć stara, to mięso długo gotowane już dobrze zmiękło. Posiłek zakropili obficie spirytusem i potem mamę chwaliли. Następnego dnia wyjechali. Kurę mogliśmy wypuścić swobodnie na podwórze i wszyscyśmy ją wołali: cip, cip, „ruska”. Za bardzo to ona ruską kurą nie była. Jak to na wojnie, zarekwirowali komuś białą kurę rasy Leghorn, która odtąd pilnie zносиła nam jaja. Młodsze rodzeństwo się tylko dziwiło, dlaczego mama zamieniła się z żołnierzami na kury, skoro nasza była większa i taka bardzo kolorowa.

Początki rysowania

Z najwcześniejszych sukcesów mych plastycznych działań zapamiętałem coś, co było moim pierwszym rysunkowym odkryciem. Chyba miałem wtedy nie więcej niż 3 lata. Dotąd zapełniałem puste kartki jakimiś miazmatami abstrakcyjnych układów linii. Któregoś dnia zaczęło się moje twórcze widzenie świata. W kuchni mieliśmy leżankę, czyli tak zwany szezlong. Patrząc nań z profilu, zobaczyłem duże podobieństwo do jakiegoś koniokształtu. Gdy do podwyższonej części, która mi się kojarzyła z głową, dorysowałem oko, zaznaczyłem pysk i dodałem uszy, to zabrakło tylko na drugim końcu ogona. Powstał z tego kształt konia o dość niskim kłębie, bo nasza leżanka miała dość krótkie nogi. W dalszych rysunkach wydłużałem już nieco nogi, nawet dodawałem te dwie niewidoczne. Rysowałem odtąd dużo koni, ale do kossakowskiej wprawy w tej dziedzinie nigdy nie doszedłem.

Gdy przed wojną chodziłem do pierwszej klasy, nasz nauczyciel, pan Mocalek zwrócił uwagę na moje uzdolnienia plastyczne. Jakiś instytut pedagogiczny prowadził w tej dziedzinie badania nad dziećmi. Dostawałem mnóstwo różnych zadań testowych. Otrzymywałem kolorowe ołówki i najczęściej polegało to na wypełnianiu zaznaczonych przestrzeni na gotowych kartkach z narysowanymi wzorami. Uważałem to za dość nudne zajęcie, ale przebywanie na lekcjach z innymi dziećmi też mnie trochę nudziło, bo cały elementarz Falskiego już przeczytałem, zanim poszedłem do szkoły. Jediną rzecz jaką zapamiętałem z tego czasu, to że lubiłem kolorowe ołówki dobierać parami według jakichś ulubionych zestawień kolorów. Po pierwszej klasie te zadania się skończyły, bo wybuchła wojna i przestałem uczęszczać do polskiej szkoły. Czy ktoś analizował moje uzdolnienia nie dowiedziałem się nigdy. Po prostu uważano mnie za zdolnego, tylko nikt mi nie potrafił powiedzieć jak bardzo i czy tych zdolności wystarczy na późniejsze rozwinięcie ich. Może dowiedziałem się o tym o wiele za późno. Nie wiem jednak, co bym innego robił w życiu, niż to, co usiłowałem dotąd.

Od wczesnego dzieciństwa zawsze dzieliłem swój czas i zainteresowania pomiędzy muzyką, zajęciami plastycznymi, czyli malowaniem i rysowaniem. Raz pochłaniało mnie bardziej jedno, a raz drugie. Tata uczył mnie od piątego roku życia gry na skrzypcach. Chyba nie wykazywałem nadzwyczajnego talentu, ale mój tata bardziej kierował się chęcią zrobienia ze mnie muzyka tak na wszelki wypadek. Potrafiłem już razem z tatą zagrać niektóre kolędy na dwoje skrzypiec. Gdy

rodzeństwa dorastało, tata marzył o powiększeniu zespołu początkowo co najmniej do tria, więc skrzypce przejął po mnie mój młodszy brat Bolek, a ja zacząłem się uczyć gry na wiolonczeli. Taty życzeniem było, abym został czelistą. Moim mniej, bo nadal jak dawniej lubiłem malować.

W niemieckiej szkole podstawowej było nas dwu wykazujących talent plastyczny. To był Antek Tomala i ja. Antek był perfekcjonistą w kopiowaniu. Tego mu zawsze bardzo zazdrościłem. Później został Antek znakomitym portrecistą. Mnie zaś bardziej pochłaniały własne pomysły kompozycyjne, a mniej rysowanie i malowanie z natury. Gdy miałem dziesięć lat, namalowałem pejzaż kredkami świecowymi. Przedstawiał jakieś jezioro z górami w tle. Widziałem taki rysunek, ale postanowiłem namalować podobny pejzaż przy księżycu. Moja niemiecka nauczycielka zachwyciła się tym, choć według mnie było wszystko na nim takie niewyraźne, nie takie konkretne, prawdziwe jak u Antka.

Pani powiedziała, że to jest bardzo impresjonistyczne, ale ja nie wiedziałem wtedy jeszcze co to znaczy. Zapytała, czy mogę jej ten rysunek dać, na co się oczywiście zgodziłem.

Niedługo potem, po czwartej klasie niemieckiej szkoły podstawowej, zostałem przyjęty do niemieckiego gimnazjum. Większość kolegów to byli chłopcy, którzy na Śląsk przybyli gdzieś z głębi Niemiec. W mojej klasie był kolega, który według mnie świetnie rysował i malował nieosiągalnymi dla mnie farbami firmy Pelikan i miał jeszcze do tego dobre pędzle. Zawsze rywalizowaliśmy ze sobą, choć dysponowaliśmy całkiem różnymi środkami. Ja najczęściej rysowałem ołówkiem. Naszym nauczycielem przedmiocie sztuka był niemiecki artysta malarz o nazwisku Riess, który miał przylegającą do klasy pracownię malarską. Staraliśmy się podglądać jak maluje swoje obrazy z nagimi paniami, choć je starannie przed nami zasłaniał. Pan profesor ku mojemu zdziwieniu zawsze dawał Wolfgangowi i mnie takie same stopnie, zawsze bardzo dobry. Trochę się zastanawiałem, bo moje prace były tylko zwykłymi rysunkami przedstawiającymi jakieś wymyślone pejzaże, a Wolfgang malował kompozycje o tematyce wojennej. Były na nich najczęściej niemieccy żołnierze dzielnie atakujący radzieckie czołgi. Mnie po prostu takie tematy mniej interesowały. Wtedy miałem już czas podzielony na zajęcia z muzyki, bo chodziłem do szkoły muzycznej na lekcje gry na wiolonczeli, a dodatkowo miałem jeszcze próby chóru. Na malowanie pozostawało więc nieco mniej czasu.

Po wojnie, w wieku czternastu lat zapisałem się do nowo otwartego polskiego gimnazjum. Tam mieliśmy również nauczyciela rysunku, artystę malarza, profesora Sobeckiego, którego nazywaliśmy bryłą. Pan profesor nie rozwijał na-

szej fantazji, a uczył nas WIDZENIA jak mówił, bo ciele patrzy, a człowiek widzi. Przynosił na lekcje te swoje podstawowe bryły, jak sześcian, kulę i walec. Próbowaliśmy pokazać cienie, światła odbite, refleksy, skróty, zbiegi linii, co bardzo wielu kolegów po prostu nudziło. Dla mnie były to bardzo pouczające lekcje, dopiero po latach rozumiałem ich sens i potrafiłem tu nabyte umiejętności wykorzystać nawet na studiach i później w pracy zawodowej.

Kiedyś narysowałem karykaturę profesora. Myślałem, że zostanę zbesztany, ale profesor mnie pochwalił dwoma słowami: jesteś zdolny.

Później, jeszcze przed maturą zacząłem uczęszczać na zajęcia malarskie do Domu Kultury Rybnickiej Fabryki Maszyn. Gdy tam pierwszy raz przyszedłem, trwały zajęcia z malowania martwej natury, w tym wypadku donicy z kwitnącą pelargonią. Nie miałem przygotowanych farb, ani palety, więc wykonałem bardzo swobodny rysunek ołówkiem na dużym kartonie. To spodobało się prowadzącemu zajęcia artyście malarzowi, panu Węglorzowi i zachęcił mnie do przychodzenia na zajęcia do pracowni. W tym czasie grałem nadal sporo na wiolonczeli, miałem próby w szkolnej orkiestrze z dużym chórem, a nawet jeździliśmy na występy do Radia Katowice. Pochłaniało mnie też pisanie wierszy w stylu Majakowskiego, ale to mi szybko przeszło, choć moja profesor języka polskiego pani P., która te wiersze czytała, zachęcała mnie do pisania i usilnie namawiała na studia polonistyczne. Ja zaś wahałem się pomiędzy studiami plastycznymi, a dziennikarstwem.

Przed maturą zacząłem też przygotowywać prace malarskie do zakwalifikowania się na egzamin wstępny na studia architektury wnętrz w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Namalowałem kilka pejzaży i jedną socrealistyczną kompozycję, której tematem była elektryfikacja kraju. Nie było to zbyt skomplikowane dzieło pod względem kompozycji i tematu, bo pokazałem tylko jednego elektryka siedzącego na słupie i coś naprawiającego przy drutach. Farby olejne robiłem sobie wtedy sam. Zakupione w drogerii różne kolorowe proszki farb mieszałem z olejem lnianym, który mama miała w domu dla całkiem innych celów, choćby pieczenia nam placków ziemniaczanych. Zaraz po wojnie miałem też wymarzone, a uzyskane przez ciocię Melanię od Rosjan farby temperowe firmy Pelikan. Malowałem nimi na masowo wyrzucanych niemieckich książkach wielkoformatowych z płóciennymi okładkami. Robiłem to tak, jakby to były farby olejne. Te grube warstwy malatury pękały potem szybko i odpadały. Już bardzo wcześniej „tworzyłem dzieła”, które nie potrafiły przetrwać próby czasu. Chodziło o samą radość tworzenia, bo to było dla mnie najważniejsze. Takie to były moje początki zawsze interesującego zawodu, a czasem i zawodów twórczych. Muzykę

zaprzystałem uprawiać już na pierwszym roku studiów. Wiolonczelę ojciec sprzedał i mama miała za nią ułatwiająca jej pracę pralkę FRANIĘ. Życia bez muzyki nie wyobrażałem sobie nigdy, słucham jej bardzo dużo. Gromadziłem na różnych nośnikach sporo z utworów, które z pewnością sam grałbym, gdybym wybrał zawód muzyka.

Stary rybak

Przed laty, gdy płynąłem kajakiem po Jeziorze Nidzkim dobiłem niechcący do brzegu w pobliżu wędkującego rybaka. Nie zauważyłem go, bo był przysłonięty szuwarami. Przepraszałem gestami, dając do zrozumienia, że już odpływam. Miałem już wcześniejsze doświadczenia z rybakami i wiedziałem, że się bardzo złością, gdy kajakarze płoszą im ryby. Tym razem starszy człowiek zawołał do mnie i zaprosił, abym się zbliżył. W zachęcie pomachał butelką wina. Dopłynąłem do brzegu kilka metrów od zanurzonego w wodzie wędziska i zbliżyłem się do rybaka. Był to starszy człowiek w słomianym kapeluszu. Dopiero z bliska zobaczyłem jego ogorzałą twarz poraną zmarszczkami. Uśmiechnął się przyjaźnie, przywitał mnie i zapytał, a skąd to w te strony przybywam. On był tutejszy, Mazur. Nabrał do mnie zaufania, gdy mu powiedziałem, że pochodzę z Górnego Śląska. Miał już ponad osiemdziesiąt lat i pozostał tutaj sam, bo cała rodzina wyjechała do Niemiec. On nie mógł się zdecydować na opuszczenie swej małej zagrody. Poczęstował mnie winem własnej roboty. Było ono z jeżyn, które tu obficie porastały brzegi. To było stare wino sprzed kilkunastu lat. Ma go jeszcze spory zapas w piwnicy, a że żyje sam i prawie nikt go nie odwiedza, to butelek nie ubywa tak szybko. Rybak opowiadał o swoim skomplikowanym mazurskim życiu, o tym, że walczył już za kajzera w pierwszej wojnie światowej i został ranny, więc w czasie drugiej wojny nie został już do wojska powołany. Był doskonałym gawędziarzem i czas szybko upływał, a jeszcze szybciej opróżniała się butelka. Gdy była pusta, powiedział, abym zaczekał, popilnował wędek, a on podejdzie do swej piwnicy i przyniesie jeszcze jedną butelkę wina.

Staruszek niedługo wrócił, ale ryby przez ten czas i tak nie brały. Powiedział, że dziś nie liczył na to, aby coś złowić. Często przychodzi tylko z przyzwyczajenia pomoczyć wędkę. Powstał jednak problem z tym przyniesionym winem. W butelce nie było płynu, a coś gęstego. Wyjaśnił mi, że teraz powinna butelka co najmniej na kilka godzin zostać zanurzona w jeziorze, aby galareta winna znów przemieniła się w płyn. Wy tłumaczył mi, że możemy tego wina nie pić, a po prostu je zjeść. Przyniósł nawet w tym celu łyżeczki i dwie miseczki. Sprawnie przewiązał butelkę sznurem przez połowę i podpalił go zapalniczką. Gdy sznur się dobrze palił, polał to wodą z jeziora. Butelka pękła równiutko na dwie połówki o gładkich krawędziach. Ja otrzymałem tę bez szyjki, z większą ilością galarety winnej. By to przysmak tak wykwintny, o tak aromatycznym smaku, jaki po raz pierwszy spróbo-

wałem. Tym razem zajadałem alkohol, a nie piłem go. Rybak opowiadał w trakcie tego delektowania się winną galaretą o swych osiągnięciach wędkarskich. O tym, jak przed laty złapał karpia olbrzyma, prawie metrowego. Myślałem, że to zwykłe przechwałki pobudzone tym smakowitym winnym deserem. Wyjaśniał, jaka to była niezwykła ryba. To największy siłacz pośród ryb. Karp miał w grzbiet wbite szpony orła, z których na kilkanaście centymetrów w górę sterczały jeszcze kości. Zazwyczaj rybacy wypuszczają z powrotem tylko złowione płotki. Tym razem postanowił tak wielką rybę wypuścić na wolność. Niech sama dokończy żywota w głębinach jeziora. To była bohaterska ryba, która choć dotkliwie zraniona, pokonała orła, gdy ją zaatakował. Wbił szpony tak głęboko w za ciężką do udźwignięcia rybę, że nie potrafił jej już wypuścić, gdy karp zaczął go wciągać pod wodę. Na pewno trwało to bardzo długo zanim trzepocącego potężnymi skrzydłami orła zdołał wciągnąć w głębinę i utopić. Pływał dotąd z martwym orłem na grzbiecie, aż proces gnilny spowodował, że korpus orła odpadł. Szpony pozostały już wrosnięte na zawsze w grzbiet ryby. Po jakimś czasie zasnąłem. Rybaka już nie było, gdy się obudziłem. Miałem wrażenie, że zjadłem za dużo jeżyn i trochę nadal morzył mnie sen. Nie byłem pewien, czy o tej walce karpia z orłem śniłem, czy też był tu ktoś, kto opowiedział mi tę historię.

Katowice, 30.05.2007

Traviata

Hankę poznałem na prywatce jeszcze długo przed maturą. Ona nie była z naszego gimnazjum, a chodziła do Urszulanek. Bywało, że się umawialiśmy i chodziliśmy przez jakiś czas ze sobą. Mój rodzinny Rybnik był od zawsze bardzo muzycznym miastem. W tamtych latach bywało, że co jakiś czas organizowano wycieczki na przedstawienie operowe do Bytomia. Jechaliśmy tam specjalnym pociągiem. Na kolejny spektakl, na Traviatę namówił Hankę. Opera podobała nam się bardzo, umierająca kurtyzana Violetta wyśpiewała do ostatniego tchnienia ukochanemu Alfredowi swoje miłosne wyznanie. Gdy spoglądałem na Hankę, zauważyłem jak jej się szklily oczy. Bardzo przeżywała tę przeróbkę Damy Kameliowej Dumasa. W czasie drogi powrotnej byliśmy sami w przedziale. W tamtych czasach pociągi były słabutko oświetlone żarzącymi się lampami gazowymi. Któryś z kolegów wiedział jak można w całym wagonie jeszcze bardziej zmniejszyć natężenie światła. Żaden konduktor się zazwyczaj na całej trasie nie pokazywał i podobnym jak my parom bardzo odpowiadało to nastrojowe oświetlenie. Był to czas zimowy, pociągi nie były zbyt dobrze ogrzewane, więc usiedliśmy z Hanką nieco bliżej, by potem się nawet do siebie przytulić. W pewnym momencie spróbowałem ją pocałować, ale Hanka mnie ofuknęła, że nie chce tak jak owa Violetta. Podróż trwała dość długo, prawie dwie godziny. Gdy doszło do tego, że w końcu zaczęliśmy się całować, Hanka miała znów łzy w oczach. Powiedziała: - to pierwszy i ostatni raz cię całowałam. Wyznała mi, że się leczy, chorowała na gruźlicę i niedawno jeszcze prątkowała. Przepraszała mnie i powiedziała, że pewno też przez nią zachoruję na gruźlicę. Hanka wyjechała z R. i przestaliśmy się spotykać. Po jakimś czasie ja też zacząłem studiować w Poznaniu i dalej w Krakowie. Nasze drogi rozeszły się na zawsze. Nadal lubię tę melodyjną operę, czasem jej słucham i przypomina mi się Hanka, dziewczyna sprzed lat, chora jak Traviata, ale nie taka jak ona.

21.01.2014.

Obawy Hanki, co do zakażenia mnie, nie spełniły się. Dopiero w podeszłym wieku dopadła mnie gruźlica, ale nie płuc jak Hankę, lecz całkiem inną jej odmianą. Trwało to dość długo, nim ją rozpoznano. Lecząca mnie pani doktor powiedziała, że widocznie we wczesnej młodości miałem kontakt z tą chorobą i przechowałem w sobie jej zarodki na późne lata. Może były to jakieś dawne echa związane z tamtą Traviatą? Powiedziałem pani doktor, że nikt w domu na gruźlicę nie chorował. Może zapadłem na tę chorobę dlatego, bo kilka razy byłem w młodości na mym

ulubionym spektaklu operowym Traviata, gdzie główna bohaterka umierała długo na tę chorobę na scenie i wspomniałem też o koleżance, która wówczas na gruźlicę chorowała. Pani doktor powiedziała, że nie należy żartować z poważnej choroby, a przestrzegać reguł leczenia. Zaczęła się półroczna kuracja, ale już bez hospitalizacji jak kiedyś. Przyjmowałem codziennie jeden z niewielu antybiotyków, które jeszcze pozostały do leczenia tej choroby, dziś bardzo uodpornionej na leki. Kiedyś pani doktor opowiedziała mi, a propos Traviaty, że miała na studiach koleżankę, która potem podobnie jak ona wybrała później tę samą specjalizację, bo spotkały się na jakimś kongresie pulmonologów. Owa koleżanka też we wczesnej młodości chorowała na gruźlicę, a potem sama leczyła chorych. Dziwne, bo przed laty pożyczyla jej komplet czarnych longplayów z nagraniem całej opery, które przywiozła z zagranicznego pobytu. Te płyty już nigdy do niej nie dotarły, koleżanka ich nie zdążyła zwrócić. Dowiedziała się, że Hanka chorowała. Miała bardzo osłabione płuca po przechodzonej we wczesnej młodości gruźlicy. Ich kontakty urwały się na zawsze.

Gdy po skończonym leczeniu, okazało się, że jestem wolny od gruźlicy, to skutki choroby jednak pozostały, znikła moja lewa nerka. Pocieszono mnie, że bez niej mogę nadal żyć. Nie przyniosłem pani doktor kwiatów, a kupiłem nagranie opery Traviata na płytach CD. Nie zastanawiałem się nad tym odruchem. Pani doktor się bardzo ucieszyła, zamyśliła się i po chwili zapytała, czy znałem Hankę?

Opowiedziałem w skrócie historię naszej znajomości i to, że się już nigdy potem nie spotkaliśmy. Pani doktor powiedziała, że Hanka o mnie wspominała, że długo jeszcze potem na studiach unikała bliższej znajomości z kolegami. Pozostała samotna, była ofiarnym lekarzem. Pracowała w którymś z sanatoriów dziecięcych. Ale potem znikła jej na zawsze z pola widzenia, nic więcej o niej nie słyszała.

15.01.2016.

Niedawno telewizja transmitowała Traviatę z opery Covent Garden w Londynie. Rola tytułową śpiewała urocza Amerykanka, Rene Fleming Przypomniała mi znowu Hankę. W pewnym momencie zwróciłem uwagę na tekst. Traviata śpiewała pełna uniesienia: „będziemy razem szli przez całe życie.” Tak dalece nie sięgałem wówczas. Hanka nie była moją wielką miłością, ale dziewczyną, z którą chodziłem w którejś klasie gimnazjum. Po oglądnięciu opery wróciłem do tych wspomnień o Hance. Przeczytałem je i opublikowałem w internecie. Zostawiłem oryginalny tytuł z jej imieniem. Może to dotrze do Hanki?

Minęło już od tego czasu kilka miesięcy, gdy otrzymałem przesyłkę z Ka-

nady. W pierwszym momencie myślałem, że to od mego przyjaciela też lekarza, nomen omen też z Rybnika, już od dziesiątków lat imigranta w tym kraju. Gdy się dokładnie przyjrzałem, zobaczyłem, że to inny nadawca. Było imię Hanna, ale nieznane mi angielskie nazwisko. W paczce był komplet płyt DVD z operą Traviata. Główną odtwórczynią była Rene Fleming z zespołem Metropolitan Opera New York. Nie było ani słowa, żadnej kartki, tylko stare zdjęcie. Na nim Hanka, drobna dziewczyna o długich warkoczach, ona z tamtych lat. Te same ciemne oczy, smutnej sarny. Napisałem podziękowanie na pełny adres zwrotny. Mój list dotarł. W niedługim czasie znalazłem w mej poczcie mailowej list Hanksi. Pisała do mnie starsza pani, która już od wielu lat mieszka w Kanadzie, gdzie pracowała od 1970 roku jako lekarz pulmonolog. Tam wyszła za mąż, ma dwie córki, są i wnuczki, a nawet jeden prawnuk. Jej rodzice zmarli dość wcześnie, rodzeństwa nie miała, do Polski nie wracała. Teraz wie o wielkich zmianach w naszym kraju, patrzy na wszystko z daleka, bo osób z którymi ją u nas coś łączyło, już nie ma. O mnie też zdołała dawno zapomnieć. Podobnie jak ja polubiła wtedy operę Traviata. Kiedyś bywała często na spektaklach w Vancouver Opera, bo jeden z zięciów grał w tamtejszej orkiestrze jako pierwszy wiolonczelista, a córka śpiewała w chórze. Miała znakomity głos, ale kariery śpiewaczki nie próbowała, bo preferowała życie rodzinne na miejscu, niż to w ciągłych rozjazdach. Córka wiedziała też, że nie ma co liczyć na niańczenie wnuków przez mamę, dość zajęta zawodowo jako lekarz. W krótkim czasie miałem w kolejnych wiadomościach mailowych całość obrazu życia Hanksi w Kanadzie. Dlaczego wybrała Kanadę? Podobnie jak ja czytała w gimnazjum książkę Arkadego Fiedlera, „Kanada pachnącą żywicą”. Może i dlatego wybrała ten kraj, bo od dzieciństwa lubiła zapach żywicy. Z żywicy wytwarza się olejek terpentynowy, którym w tamtych czasach nacierano przy różnych dolegliwościach płucnych. Ja uwielbiałem ten zapach, bo nawet w latach, gdy już przestałem malować farbami olejnymi, przypominał mi czas spędzony w pracowni, przesyconej tym żywicznym zapachem terpentyny. Coś kanadyjskiego, nas jednak łączyło, choć o tym nie wiedzieliśmy. Zacząłem Hani przysyłać swoje rybnickie zdjęcia, robione teraz, w moich późnych latach. Hanka stwierdziła, że rybnickie lasy nie są mniej piękne jesienią, niż okrzyczany Indian Summer u nich. Tyle, że tu u nas nie ma tyle liści o czerwonej barwie, bo przeważa ta żółtawo pomarańczowa, naszej złotej jesieni. Opisywałem jej, że i u nas w lesie, gdzie dawniej w dzieciństwie mieszkaliśmy tam blisko, pachniało również żywicą. Wtedy zawieszano na drzewach ceramiczne pojemniki kształtu doniczek, do których spływała pozyskiwana żywica. Hanka posiada spory areal lasu, bo mąż odziedziczył dużą posiadłość ro-

dzinną. Liczy na to, że ich wnuk obejmie tę schedę po swym dziadku i jej jakiś czas temu zmarłym mężu. Dużo wiedziałem o miłości Hanki do ich córek, wnuków, ale niczego bliższego o jej związku z mężem. Wiem tylko tyle, że pomimo angielskiego nazwiska, była to bardzo dawno temu osiadła w Kanadzie arystokratyczna rodzina francuska. Kontakt z Hanką urwał się już w szkole średniej, bo skończyła gimnazjum i zdała maturę w Zakopanem, gdzie przebywała w sanatorium. Potem były studia medyczne w Warszawie. Wiedziała o moich studiach i zaraz po ich ukończeniu mogła się z plansz na ekranie telewizora dowiedzieć, gdzie pracuję. Moja osoba została wtedy już dokumentnie wykreślona z jej życiowego pamiętnika. Ona zajęta była swoją pracą zawodową, leczenie dzieci chorych kiedyś tak jak ona, pochłonęło ją całkowicie. Sprawy damsko męskie nie obchodziły jej wtedy zbyt wiele. Nie było żadnych trwalszych związków. Nadarzyła się okazja wyjazdu na placówkę medyczną w Afryce i skorzystała z tego. Wytrzymała tam jednak ze względu na klimat tylko jeden rok, potem udało jej się wydostać trochę nielegalnie na emigrację do Kanady. Tam poznała przyszłego męża i niedługo się pobrali. Niewiele podróżowała, a do rodziców w Polsce bała się wracać. W Kanadzie mąż był mocno zajęty zarządzaniem olbrzymim majątkiem. Mieli własny hydroplan, czasem mąż zabierał ją na jakieś eskapady. No i były jeszcze te wypadki do córek, do opery w Vancouver. Przypomniałem jej ową Traviatę wspólnie oglądaną w bytomskiej operze i wówczas tak intensywnie przez nią przeżywaną. Teraz czeka aż w Vancouver znów wystawią Traviatę. Chce ją jeszcze raz zobaczyć. Teraz pójdzie na nią sama. Po raz ostatni. Czy jeszcze uroni łzy jak wtedy? Teraz już jej morze łez wyszło. Po mężu też nie płacze. Jeśli uroni łzę, to za dawną naiwną młodością... Tak, ten cytat z Traviaty pamięta, ale w jej wypadku się nie sprawdził.

24.02.2016

Ukraińskie spotkanie

Upłynęły już dziesiątki lat po wojnie, po tych moich pierwszych ukraińskich spotkaniach, które miały miejsce zaledwie kilka razy pod sam koniec wojny. Wystąpiła w nich śliczna dziewczyna, czarnowłosa i czarnobrewa Ukrainka, nieco starsza ode mnie, która wtedy mnie, trzynastolatka zauroczyła swoją niezwykłą urodą.

Było to pod koniec lata 1944 roku w Rybniku, gdy front wschodni zbliżał się powoli do nas. Huta Silesia pracowała jeszcze pełna parą. Zamiast emaliowanych garnków produkowano tam wtedy helmy i panzerfausty, których odgłosy próbných wybuchów dochodziły całymi dniami od strony lasu. Do pracy w fabryce ściągnięto przymusowych robotników z zajętych terenów wschodnich. Były to głównie kobiety, w tym bardzo młode dziewczyny. Pod wieczór opuszczały ukradkiem swój obóz, by wyprosić trochę jedzenia u okolicznej ludności, gdyż otrzymywały tylko głodowe racje. Prosiły o chleb. Czasem miały też coś na wymianę, proste metalowe zabawki, wykonywane ukradkiem w hucie. Któregoś późnego popołudnia, gdy podlewałem w ogrodzie nasze jarzyny, podeszła pod płot od strony pól śliczna dziewczyna. Była w wieku Stefy, córki naszych gospodarzy, która zawsze traktowała mnie z góry, choć ja starałem się być dla niej bardzo miły i spełniać każde jej życzenie. Poprzez sztachety zobaczyłem dużo urodziwszą od niej dziewczynę. Była mego wzrostu i przywołała mnie do płotu. Odezwała się trochę po ukraińsku i po polsku. Mówiła, że jest głodna, że prosi o chleb. Zerwałem jej z krzewu pomidora, którego natychmiast zaczęła zajadać. Powiedziałem, że zaraz przyniosę jej chleba. Ona przykucnęła chowając się nieco pod płotem, a ja pobiegłem do mieszkania. Mamy nie było w domu, zaraz ukroiliśmy kilka bardzo grubych kromek chleba i posmarowałem smalcem. Szybko wróciłem do ogrodu i próbowałem jej te pajdy chleba podać pomiędzy sztachetami, ale się nie zmieściły, więc wspierałem się trochę na płot i podałem jej chleb górą nad sztachetami. Dziewczyna się też wyprostowała, dźwignęła wysoko ramiona i gdy podawałem chleb, zauroczyła mnie z bliska pięknem swej twarzy. Opuściłem zaraz wzrok z jej oczu i zauważyłem krągłość jej piersi. Dziewczyna zdjęła chustę z głowy, by zawinąć w niej chleb. Jej kruczoczarne włosy rozsypały się aż do ramion. Dodałem jeszcze kilka pomidorów i marchewek. Nagrodziła mnie najpiękniejszym uśmiechem, jakiego dotąd u żadnej dziewczyny nie widziałem. Jej głos zabrzmiał szalenie uwodzicielsko, gdy mi powiedziała, żebym był tu jutro, to znowu przyjdzie i mi coś da. Nim się

sposprzegłem, zniknęła na ścieżce między łanami wysokiego zboża.

Gdy mama wróciła, była zdziwiona, że tak pilnie podlewałem do tej pory w ogrodzie. Nawet nie dziwiła się, że miałem taki wzmożony apetyt, skoro tyle chleba zjadłem. Mama powiedziała tylko, że jutro będzie musiała znowu chleby upiec. Rano zaniósłem dwie słomiane formy wypełnione świeżym ciastem chlebowym do wypieczenia w piekarni. Tam poprosiłem znajomego ucznia piekarskiego, żeby ujął z każdego bochna trochę ciasta i uformował trzeci mały bochenek. To miał być specjalny prezent dla czarnowłosej nieznanym. Wcześniej popołudniu przyniosłem wspaniale wypieczone i pachnące chlebową świeżością trzy bochenki, z których ten najmniejszy schowałem w piwnicy. Mama się dziwiła, że chleby trochę mało urosły, choć ciasto zapowiadało się wspaniale. Zaraz ukroiła piątkę i przekonała się, że chleb, choć nie za duży, jest jednak dobrze wypieczony i smaczny. Piękna Ukrainka będzie na pewno bardzo zadowolona z mojego chleba.

Był to koniec sierpnia, popołudniu nie poszedłem jak zwykle na kąpielisko na Rudzie, tylko zająłem się pilnie podlewaniem. Chleb już przyniosłem z piwnicy i owinąłem go w liście rabarbaru. Widziałem na targu, że tak zawijają tam chleb wiejski, choć nie wiedziałem dokładnie w jakie liście. Kręciłem się po ogrodzie, przygotowałem sobie wodę do podlewania. Na podwórzu pojawiła się Stefa i zawołała do mnie, czy jej już nie lubię, bo zadaje się z Ukrainką? Powiedziała, uważaj, bo ktoś naskarży Niemcom. Pod wieczór, gdy byłem zajęty podlewaniem, pod płotem na końcu ogrodu ktoś odezwał się niezbyt głośno. To była ona. Dziś wydawała mi się jeszcze ładniejsza. Miała dla mnie prezent. Byłem trochę zaskoczony, bo podała mi pomiędzy sztachetami wyciętą z grubej blachy papugę pomalowaną na zielono i czerwono. Do tego był jeszcze drugi element, stojak w kształcie smukłej bramki, na której to jak mi pokazała i tłumaczyła trochę po polsku, a trochę po ukraińsku, może się ta papuga huścić. Uśmiechałem się z zażenowaniem, bo czułem, że mój obiekt uwielbienia traktuje mnie trochę jak dziecko. Podziękowałem i uśmiechałem się dość niepewnie. Szybko podałem jej ten bochenek chleba, specjalnie z mej inicjatywy dla niej upieczony. Oszołomił ją ten zapach, gdy odchyliła jeden z liści. Ucałowała wtedy chleb. Całowała mój chleb, a ja czułem się, jakby to mnie pocałowała. Usiadła pod płotem i zapytała mnie ile mam lat i jak mi na imię. Ona była Masza. Powiedziała, że po polsku, Maria. Opowiedziała mi, że pochodzi spod Lwowa i mieszkała tam pośród Polaków. Niemcy ją wywieźli na roboty i nie ma żadnych wiadomości o rodzinie. Opowiedziałem jej, że Rosjanie są już w Polsce i doszli nad Wisłę. Bała się, żeby ich nie wywieźli dalej do Niemiec, gdy się front zbliży. Na koniec, powiedziała mi, przyjeżdż po wojnie do Lwowa, to się tam

spotkamy. Nie wiedziała jeszcze, że Lwów to już będzie wtedy Lwiw, bo Polska przesunie się daleko na zachód. Wstała i wyszeptwała, przybliżyła się między sztachety, chcąc cię pocałować. Zbliżyłem usta, ale sztachety były zbyt grube i nasze wargi się nie dotknęły. Mała drzazga skaleczyła mnie i pojawiła się kropla krwi. Ona tę kropelkę wzięła na palec i dotknęła swoim językiem. Coś nas połączyło, mnie dojrzewającego chłopca z nieznaną ukraińską dziewczyną... Masza oddaliła się szybko pomiędzy łanami zbóż. Nigdy więcej nie pojawiła się, nie spotkaliśmy się więcej. Może wywieźli ją dalej do Niemiec? Za pięć miesięcy Rosjanie byli już pod Rybnikiem. Masza śniła mi się kilka razy. Czasem pomyślałem o niej, gdy popatrzałem, jak ktoś z młodszego rodzeństwa wprawiało papugę w ruch. Kołysanie trwało jakiś czas, potem ptak zastygał powoli w bezruchu. Jak pamięć o Maszy. Jak sny o niej, które też przeminęły.

Siedemdziesiąt lat później zdecydowałem się jeszcze raz na dłuższą wycieczkę. Chciałem zobaczyć Lwów. Tamto dziecięce zauroczenie wyleciało mi już dawno z pamięci. Masza miałaby teraz jakieś osiemdziesiąt pięć lat. W trakcie pobytu we Lwowie, nocowaliśmy poza miastem w bardzo wygodnym hotelu, pachnącym jeszcze nowością. Pokój przygotowała mi sympatyczna pani mówiąca po polsku. Trochę z nią porozmawiałem, pytałem, czy nie chciałaby się przenieść do Polski. Powiedziała, że nie, choć często w Polsce bywa, bo ma tam część rodziny. Jej babcia zaś była Ukrainką. W czasie wojny wywieźli ją Niemcy na roboty i była na Śląsku. Pytała skąd my jesteśmy i gdy się dowiedziała, że z Katowic, przypomniała sobie, że jej babcia była tam niedaleko, bo wprawdzie w Rybniku, zanim jej dalej do Niemiec nie wywieźli. Powiedziała, że babcia Maria już od paru lat nie żyje. Jest zadowolona, że teraz mogą wyjeżdżać do Polski, a Polacy odwiedzają Lwów. Do ich hotelu przyjeżdżają prawie wyłącznie Polacy, pośród nich wielu, którzy się tu urodzili i kiedyś mieszkali. Zapytałem tę panią z hotelu, czy ma może jakieś zdjęcie babci, gdy była młoda. Obiecała je jutro przynieść. Plany naszej wycieczki się zmieniły, w drodze powrotnej nie wróciliśmy już do tego hotelu. Spełniłem prośbę Maszy, pięknej Ukrainki, bo przyjechałem do Lwowa. Nie przekonałem się, czy na zdjęciu zobaczyłbym Maszę z mych chłopięcych lat.

10.10.2013.

Victor story: Sen matki

To historia sprzed dziesiątków lat, z czasów drugiej wojny światowej. Pełno w niej listów, a nawet jeden telegram. Powtarza się litera V lub W, w zależności w jakim języku nazwy, a głównie imiona zostały wtedy tu na Śląsku urzędowo zapisane. Dziadek mego starszego kolegi i ojciec otrzymali przy chrzcie imię Viktor. On otrzymał jako trzeci z pokolenia to samo imię, które po odzyskaniu niepodległości brzmiało po polsku też Wiktor, tyle że trochę inaczej pisane. Jeszcze przed wojną w gimnazjum, dowiedział się o pochodzeniu tego imienia od profesora Libury. Wiktor, czyli zwycięzca. Jak się potem w życiu okazywało bywał rzadko zwycięzcą, a częściej przegranym. Był dobry w popularnej grze na Śląsku, która nazywała się klipka i tu często wygrywał. Nikt go nie nazywał klipką, co u nas znaczyło nieudacznik. Jego młodość przypadła na czas wojny, więc od początku był przegrany. Nie miał jeszcze 18 lat, gdy Niemcy powołali go do Arbeitsdienstu. Po powrocie nie zagrzebał zbyt długo miejsca w rodzinnym Rybniku. Matka Wiktoria była bardzo przerażona, gdy doręczono mu powołanie do niemieckiego wojska. Rodzice Wiktora pochodzili z opolskiego, z tej części Śląska, która po powstaniach została niemiecka, a oni przenieśli się na polską stronę. Teraz jednak Niemcy uważali ich za Reichsdeutsche, co było powodem, by ich synów powołać do niemieckiego wojska. Alojz, jego starszy brat był już w Wehrmachcie i przebywał w Belgii. Matka chyba wymodliła to, by obaj synowie nie poszli na Ostfront, skąd po sromotnej klęsce Niemców pod Stalingradem, coraz częściej przychodziły zawiadomienia, że ktoś poległ za Führera i za Vaterland. Po przeszkoleniu rekrutkim w koszarach na Śląsku, Wiktor znalazł się we Francji nad Walem Atlantyckim. Tam dostał się do jednostki konnej. Nie była to co prawda kawaleria, bo mieli ciężkie konie pociągowe przydatne do transportu w trudnym terenie. Wszystkie konie miały imiona na literę V. Wiktora klacz nazywała się Venezia. Od razu mu to imię przypadło do gustu, bo przypomniał sobie ostatni film jaki jeszcze zdołał zobaczyć w kinie Apollo w Rybniku, nim dostał powołanie do wojska. Był to niemiecki film operetkowy „Eine Nacht in Venedig” – „Noc w Wenecji” (Venezia).

W lutym 1944 dostał telegram, w którym matka pisała, aby natychmiast przyjechał do domu, bo jego brat Alojz jest na urlopie i chciałaby jeszcze raz przeżyć spotkanie z wszystkimi synami. Wiktor pokazał ten telegram swemu Hauptmannowi, który się roześmiał i powiedział, że matkom nie należy się sprzeciwiać, bo one w tych sprawach mają zawsze rację. Wiktor dostał tydzień urlopu.

Matka była szczęśliwa, gdy mogła obu synów z wojska gościć przez kilka dni w domu. Synowie byli rozpieszczani, dokarmiani smakowicie, bo na tę okazję zabito ich jedyną już dobrze utuczoną gęś. Była pieczeń i znakomita leberka (pasztetówka). Obaj synowie dostali trochę na drogę powrotną i aby w podziękę od matki poczęstowali swych dowódców za ten urlop.

Pożegnanie było smutne, matka ukrywała łzy jak tylko mogła, żegnała synów krzyżem, bo nieznane były ich przyszłe losy. W domu pozostał teraz tylko najmłodszy piętnastoletni Hanek. To było pożegnanie na prawie trzydzieści lat. Dopiero na złote gody rodziców w 1972 roku przyjechali dwaj starsi synowie. Matka bała się ciągle, że wojna może jej zabrać któregoś z synów. Hanek nie zginął na wojnie, ale wojna zabrała mu zdrowie i zmarł niedługo po jej zakończeniu na często zdarzające się wtedy galopujące suchoty (gruźlica).

W czerwcu 1944 wylądowali alianci w Normandii. Wał Atlantycki nie ochronił Niemców i jednostka Wiktora zajęta była transportem różnych dóbr, nie zawsze o znaczeniu wojskowym w głąb Francji. Niemcy odczuwali coraz częściej braki paliwa. Konie radziły sobie nadal dobrze, bo nocą wypasano je na łąkach i po zmęczeniu mogły wypocząć. Wiktor miał szczęście, dotąd udawało mu się unikać bezpośrednich działań wojennych. To transportowanie było jednak pełne niebezpieczeństw, bo alianckie samoloty miały bezwzględną przewagę w powietrzu i często następowały ich ataki. Kiedyś, gdy przejeżdżali przez małe francuskie miasteczko nastąpił nagły nalot. Myśliwce ostrzeliwały ich z broni pokładowej. Wiktor nie namyślając się długo, złapał konia za cugle i kierując nim wprowadził go z dyszlem przez ciasne drzwi wejściowe do środka, do sieni budynku. Uratował się razem z koniem, ale z wozu zostały szczątki. Teraz Wiktor dosiadł klaczy jak wierzchowca i co jakiś czas pomagał innym kolegom ciągnąć ich wóz. Posuwał się ze swą Wenezją coraz dalej na południowy wschód Francji. Wydawało mu się, że może dotrze w tej ucieczce aż do prawdziwej Wenecji.

W połowie listopada znalazł się ich oddział w pobliżu szwajcarskiej granicy. Koledzy wysłali go konno na zwiad, aby się rozejrzał w okolicy, bo posuwali się teraz drogami polnymi po trudnym, podgórskim terenie. Wiktor popędził swą klacz i nim się spostrzegł został zatrzymany przez żołnierza celującego w niego z karabinu. Był w nieznanym mu mundurze, który jednak krzyczał po niemiecku: halt, Haende hoch! Był to żołnierz szwajcarskiej straży granicznej. Wiktor wcale nie chciał być zwycięzcą i z ochotą się poddał rzucając swoją broń.

Szwajcar kazał mu zejść z konia i próbował klacz przegonić na powrót za granicę. Wenezia się wzbraniała, a jeniec Wiktor nie mógł teraz już wiele poradzić,

tylko wołał do klaczy: Ade, Venezia. Gdy koń się zapierał, bo nie chciał ruszyć bez Wiktora, Szwajcar uderzył konia kolbą karabinu i dopiero wtedy klacz pogalopowała z powrotem na francuską stronę. Szwajcar myślał, że i Wiktor chciałby do Wenecji, ale mu wytłumaczył, że to za daleko stąd, bo aż w Italii. Oni tu nie chcą koni niemieckich, bo mogą przywlec jakąś chorobę. Wiktor wytłumaczył Szwajcarowi, że nie jest Niemcem, a Polakiem ze Śląska, na co mu żołnierz odpowiedział: Ja, ja, du kommst in ein Lager fuer internierte polnische Soldaten. To Wiktora uspokoiło, bo wiedział już, że dla niego to koniec wojaczki, że pójdzie do obozu dla internowanych Polaków. Podobnie było z jego bratem. Alojz dostał się do niewoli w Holandii i trafił potem do polskiego wojska w Anglii. Z Niemcami już nie zdążył walczyć, bo wojna się niedługo skończyła. Hauptmann Wiktora przesłał matce wiadomość, że Wiktor jest vermisst, czyli zaginął, ale niekoniecznie zginął. Rodzice mieli nadzieję, że dostał się do niewoli. List podobnej treści dostali również od dowódcy Alojza. Matka opłakiwała już obu synów, ale potem budziła się w niej na nowo silna nadzieja, że obaj żyją. Wojna miała się już ku końcowi. W styczniu 1945 front stanął na długie tygodnie pod Rybnikiem. Za rzeką Rudą na skraju lasu okopali się Rosjanie. Środek miasta był wyludniony, tylko tu na peryferiach udało się mieszkańcom przetrwać do początku marca, zanim i ich usunięto z pobliza pierwszej linii frontu. Wtedy był to trudny czas, mieszkało się w piwnicach, bo trwał ostrzał miasta. Sklepy były już nieczynne, nie było prawie co jeść. Trwało wyczekiwanie. Od lasu Rosjanie i współpracujący z nimi Polacy nadawali przez olbrzymie gigantofony polskie i rosyjskie pieśni oraz wiadomości. Dowiadaliśmy się, że już trwają walki prawie pod Berlinem, że wojna przesunęła się daleko na zachód. Tutaj zaś front zatrzymał się na długie tygodnie. Nic już nie działało, ani elektrownia, ani komunikacja, ani poczta. Czekaliśmy na pokój, na powroty bliskich, którzy przepadli bez wieści w wirze wojny na różnych frontach.

Którejś nocy matka Wiktoria miała bardzo wyrazisty sen. Zobaczyła wybuch w budynku poczty w Chwałowicach, miejscowości tuż za Rybnikiem. Wszędzie fruwały listy i powoli osiadały na ulicy i podwórzu. Tam zobaczyła list od Wiktora. Od razu poznała jego trochę zamazane pismo. Gdy się obudziła, postanowiła sprawdzić to, co jej się śniło. Wczesnym zimowym rankiem wybrała się w drogę, przez opustoszałe, zniszczone miasto. Nie przerażało jej, gdy w pobliżu usłyszała wybuchy. Gdy tak szła tuż obok kościoła św. Antoniego, westchnęła do tego świętego od rzeczy zagubionych, by łaskawie pomógł w odnalezieniu listu. Dziwiła się, że otoczenie dokoła kościoła się zmieniło. Powstał tu cmentarz pełen grobów niemieckich żołnierzy. Były to w pośpiechu usypane kopczyki, dość moc-

no przysypane śniegiem. Na jednych były proste krzyże z połamanymi deskami, na których wypisane były kopiającym ołówkiem już mocno rozmazane nazwiska. Na niektórych nie było krzyży, tylko położono na grobie hełmy z jakimiś niewyraźnymi napisami na nich. Matka obu żołnierzy odrzucała siłą woli myśl, że tak mogłyby też wyglądać groby jej synów gdzieś daleko stąd.

Gdy Wiktorii udało się z trudem pokonać tę czterokilometrową drogę w niełatwych warunkach zimowych, wiedzioną jakimś wewnętrznym impulsem dotarła do poczty. Skierowała się nieco w bok, na podwórze, gdzie leżały rozrzucone, już nieco śniegiem przysypane listy. Pochyliła się i zaraz zobaczyła list zaadresowany do niej przez Wiktora. List nadszedł ze Szwajcarii pocztą Czerwonego Krzyża. Drżącymi rękami rozdarła kopertę i przeczytała, że Wiktor żyje i jest w obozie dla internowanych na terenie Szwajcarii. To była zbawienna wiadomość. Wiedziała już, że jeden z dwu synów na pewno żyje. Teraz mama Wiktorii uwierzyła, że nadzieja zwycięża. Z pewnością odezwie się niedługo i drugi syn. Po zakończonej wkrótce wojnie napisał z Anglii także starszy syn Alojz. Podobnie jak Wiktor nie wrócił do zajętego przez komunistów kraju. Obaj bali się, czy nie zostaną ukarani za służbę w niemieckim wojsku, bo takie wieści krążyły w obozach wojskowych na zachodzie. Wiktorowi nie udało się pozostać w Szwajcarii, dotarł wkrótce do Anglii, gdzie zobaczył się z bratem i potem wyemigrował do Nowej Zelandii, a Alojz pozostał w Anglii. Matka i ojciec zobaczyli synów dopiero na swoich złotych godach w 1972. Zobaczyli teraz dorosłych ludzi, których początkowo nie poznali. Wiktor był już dojrzałym człowiekiem, zapuścił korzenie tam daleko na antypodach. Poznał tam młodą dziewczynę, Polkę, która pochodziła z Wileńszczyzny i została wywieziona na Sybir. Wróciła stamtąd jako sierota z Armią Andersa i dostała się do Nowej Zelandii. Pobrali się i mają dwójkę dzieci. Często pisze maile do Wiktora, a on do mnie te swoje Emilki. Jest w nich o dziwnych wydarzeniach, które mnie trudno zrozumieć, jest też o czasie, który nam coraz szybciej mija. Czasem wysyłam Wiktorowi jakieś zdjęcie z naszej okolicy blisko dworca na Paruszowcu, które robię, gdy jestem w Rybniku. Dziwił się, gdy zobaczył fotosy dworca, dziś już ruiny. Często wspominamy dawne lata. Wiem, Wiktor tęskni za krajem lat dziecińczych, ale już wie, że tu nigdy nie wróci. Gdy ja w Sylwestra jeszcze czekam aż wybije północ, u Wiktora cieszą się już od dwunastu godzin kolejnym Nowym Rokiem. U nich każdy dzień nastaje wcześniej i Wiktorowi czas szybciej ucieka. Pytam jaka u nich wiosna, bo my akurat mamy naszą złotą jesień. Tę złotą jesień życia przeżywamy już wspólnie, niezależnie od różniących się pór roku u nas i u nich.

Katowice, 29.09.09.

Wielki dzwon

W bardzo starym polskim mieście wisiał w jednej z katedralnych wież największy w kraju dzwon, odlany z armat zdobytych na wrogach. Ostatnio dzwonił wiosną z okazji śmierci Największego Polaka. Wielkich Polaków umiera mało, bo nie mamy ich tak wielu. Teraz już od dawna milczy. Idzie ku jesieni, a w listopadzie wielkie święto państwowe, więc znów się winien odezwać. Rajcy miejscy wysłali do oględzin dzwonu najbardziej muzycznego pośród nich. Zabrał on ze sobą kamerton i młoteczek, aby sprawdzić stan dzwonu.

Jakie było zdziwienie, po dotarciu do dzwonnicy, gdy się okazało, że na konstrukcji belkowej nie było dzwonu. W szparze w podłodze utkwiał tylko jakiś mały kawałek metalu, na którym radca odczytał literkę A. Jak się słusznie domyślał, była to jedyna pozostałość z Wielkiego Dzwonu. Natychmiast wrócił na ratusz i oznajmił tę okrutną wieść radzie. Po długich debatach radcy doszli do wniosku, że to złomiarze pocięli historyczny dzwon na małe części i wynieśli je w workach, a może nawet spuszczały nocą na linie. W mieście już od dłuższego czasu ginęły po kolei wszystkie metalowe kratki ściekowe. Te nowe założone już powtórnie znikały równie szybko. Odtąd zaczęto stosować tylko betonowe, których jak wiadomo, punkty skupu złomu nie przyjmują. Widocznie dla zbieraczy nadszedł teraz czas na złomowanie dzwonów. Zaczęli od tego największego, bo był tak rzadko używany, że mieli dużo czasu na spokojny demontaż. Rajcy po stwierdzeniu braku dzwonu doszli do wniosku, że i tu trzeba teraz zastosować beton. Najsławniejszy rzeźbiarz w mieście podjął się dzieła. Na podstawie zdjęć szybko zrobił model, a z niego odlew z betonu. Dzwon został pokryty metaliczną farbą i patyną, tak że wyglądał ładząco podobny do oryginału. Nocą niepostrzeżenie z pomocą dźwigu zamocowano dzwon na starym miejscu. Nie trzeba było tylu par wołów, jak wtedy, dawno temu, gdy na wieżę wciągano oryginał.

Pozostała rzecz najistotniejsza. Dzwony betonowe nie wydają dźwięku, chyba że tylko jakiś głuchy pomruk. Najbardziej muzyczny rajca miał pomysł, aby przygotować nagranie z taśm archiwalnych, podłączyć duże głośniki i tak imitować dzwonicie. Na kilka dni przed Wielkim Świętem zwolniono wszystkich dzwonników, oznajmiając im, że odtąd rajcy w ramach oszczędności będą sami dzwonić.

Gdy nadeszło święto, rajcy miejscy udali się na dzwonnice, bo musieli teraz udawać, że odtąd to oni dzwonią. Dźwięk Wielkiego Dzwonu rozlegał się donośnie

jak dawniej, choć ten był głuchy jak pień. Megafony rozmieszczone w oknach wieży na cztery strony świata zamaskowano zręcznie nowymi żaluzjami, by nikt nie spostrzegł mistyfikacji. Na dzwonie zostawiono na wszelki wypadek kartkę z napisem: OSTROŻNIE, DZWON NIE NADAJE SIĘ NA ZŁOM, JEST NAPROMIENIOWANY.

Katowice, w październiku 2005.

Wigilijny powrót taty

Było to w wigilię 1946 roku, gdy koło południa dotarła do nas wiadomość, że właśnie dziś wieczorem ma tata wrócić po wieloletniej nieobecności wojennej do domu. Ogarnęła nas szalona radość, bo nareszcie będą to po kilku latach pierwsze święta spędzone razem. My starsi z naszej piątki, z Bolkiem i Małgosią, pomagaliśmy mamie w czym tylko mogliśmy. Mimo naszej powojennej biedy, zanosilo się na skromną, ale prawdziwą Wigilię. Dzięki zapobiegliwości mamy i pomocy rodziny będziemy się mogli raczyć karpem, makówkami, moczka i piernikami. Na prezenty nie mogliśmy liczyć. Po choinkę udałem się już na nartach w ubiegłą niedzielę do lasu. Była to trochę nierozważna wyprawa, bo znajdowało się tam jeszcze sporo min przy wejściu do lasu, gdzie pod koniec wojny znajdowały się rosyjskie okopy. Udało się i dostarczyłem do domu okazałe drzewko. Teraz stała już w pokoju ta udekorowana choinka. Jej zapach jak i ten od rana gotowanych potraw zwiastował nam atmosferę tej gorąco oczekiwanej chwili. Dziś miała ona być dla nas wszystkich szczególnie szczęśliwa. W dzisiejszy wieczór nastąpi dla nas wraz z powrotem taty prawdziwy koniec wojny. Czekaliśmy długo, aż wreszcie nadejdzie ta najpiękniejsza wigilia w naszym życiu.

Tata miał przyjechać wieczornym pociągiem z Katowic, po dotarciu tam z Gdyni, dokąd dziś w nocy dopłynął statkiem z Anglii. Wieczorem poszliśmy z Bolkiem po tatę na dworzec w Paruszewcu. Byliśmy obaj bardzo przejęci, czy tatę rozpoznamy, bo nie widzieliśmy go od kilku lat. Okazało się, że mimo to poznaliśmy go od razu. Tata był w angielskim mundurze i miał sporo bagażu z czym się nie liczyliśmy, że wróci tak obładowany. Obaj z Bolkiem przejęliśmy część bagażu udając tęgich siłaczy. Pewno tata się zdziwił, gdy zobaczył jak mu synowie wyrosli.

Młodsze rodzeństwo musiało się powoli przyzwyczajać do widoku ojca. Kolacja wigilijna była wspaniała, wzbogacona różnymi od dawna niedostępnymi nam smakolatkami przywiezionymi przez tatę. Wszyscy byliśmy bardzo radośni, panował serdeczny nastrój Wigilii Bożego Narodzenia. Odczuliśmy przez cały okres świąt ten zachodni dostatek, ale najważniejsze było to, że znów byliśmy wszyscy razem.

Tata przywiózł nowe skrzypce kupione we Włoszech. Miał nawet ze sobą nuty kolęd, które zaczęliśmy wspólnie z Bolkiem i tatą grać, a mama swoim melodyjnym głosem śpiewała z nami. Tata się dziś wcale nie denerwował, gdy któryś

z nas zafałszował. Może udawał, że tego nie słyszy, albo i my z Bolkiem graliśmy dziś pełni radości lepiej niż zwykle, a może tacie uczucie szczęścia stępiło nieco jego absolutny słuch muzyczny.

Na pasterkę ubrałem taty wojskowy mundur z naszywkami Poland, aby zaimponować kolegom i koleżankom. Kieszenie miałem wypchane czekoladami, których tata sporo przywiózł. Jak zwykle poszedłem na chór, bo chętnie śpiewaliśmy tam z Bernardem B. kolędy blisko organów. Często robiliśmy przerwy i za organami posilaliśmy się czekoladą. Jego ojciec też niedawno wrócił z wojny, ale bez czekolady, bo z łagru w Rosji.

Grudzień, 2002.

Zamiast epilogu – Biała mgła

Stary malarz nadal przeglądał zasoby swych prac w komputerze na bardzo leciwym monitorze z małym kineskopowym ekranem. Obrazy, które malował były też niewielkiego formatu. Postanowił zmienić teraz sprzęt na taki z większym i płaskim ekranem, bo odnosił wrażenie, że już widzi znacznie gorzej. To nie miało być zwykłe oglądanie obrazu, ale próba jakby wejścia w jego głąb. Gdy mu dostarczo-no sprzęt, trzeba było co nieco w pracowni poprzestawiać. Dwaj kurierzy pomogli mu w tym trochę i zainstalowali nowy komputer i duży monitor. Od ponad roku już nie malował, bo stwierdził, że nie wystawia, ani niczego nie sprzedaje. Chętniej fotografuje teraz różne drobiazgi, a potem ogląda je w dużym zbliżeniu na ekranie i odkrywa na nowo proste, prawie abstrakcyjne formy realnych przedmiotów. Czasem myśli, by spróbować coś takiego namalować w dużym formacie. Oglądnał mnóstwo interesujących go fotosów, ale nie mógł się zdecydować, co z tego prze-nieść na płótno. Patrzenie na powiększone fotografie na dużym ekranie monitora zaczęło mu całkowicie wystarczać. Przetwarzał je dalej w wyobraźni. Zauważył, że robi ostatnio zbyt wiele nieostrych zdjęć. Czytał już niechętnie, bo litery stawały się niewyraźne, a i obraz na tym nowym ekranie też zaczął tracić na ostrości. Dość szybko zarzucał ledwo co zaczęłą czynność, zbyt prędko wypalało się w nim to początkowe intensywne zainteresowanie. Wiedział, że myślał o czymś przed chwilą, że wpadł właśnie na wspaniały pomysł, ale za moment nie mógł go sobie przypomnieć. Postanowił, by wszystko zaraz zapisywać na kartkach, czy w podręcznych notesach i w kalendarzu. Wkrótce i tego zaniechał, bo zbyt dużo czasu zajmowało mu szukanie właściwych notatek. Zapominał, gdzie co zapisał. To na co spoglądał, zaczęło coraz bardziej zatracać swoją wyrazistość. Kształty oddalały się, kolory traciły blask, były bardzo nie ostre, płowiały. Te jeszcze niedawno świetliste, witrażowe barwy na dużym ekranie nowego telewizora nie oddawały już tak wiernie rzeczywistości, jaką przedtem na nim oglądał. Coraz częściej miał wrażenie, że te jesienne mgły, mgiełki, które tak chętnie ostatnio fotografował w naturze, przenikają teraz aż do wnętrza mieszkania. Początkowo była to tylko lekka mgiełka nieostrości, świat nieco zamazanych malarsko konturów, kształtów. Czasem jednak mgła zaczynała się jakby zagęszczać i miał wrażenie, że sam zanurza się teraz w tę białą, ciasną przestrzeń. Oglądał gdzieś daleko, jakieś słabo świetliste miraż na końcu tunelu. Na ekranie monitora widział czasem ulubione reportaże z dalekich wysp mórz południowych. Jeszcze rozróżniał, że była to jakaś rajska kraina,

za którą tęsknił od dzieciństwa. Były to pejzaże znane mu wpierw z małych obrazków dodawanych przed wojną do pudełek z papierosami, a później, gdy już poznał malarstwo Gauguina, wiedział, że ten jego ulubiony malarz uciekał z Paryża na egzotyczne Tahiti, by znaleźć tam swój malarski raj.

Stary malarz już od dawna nie był w stanie podróżować. Przestał nawet o tym marzyć. Zdawał sobie sprawę, że dla niego czas spełniania się marzeń minął. Jest już inaczej niż w młodości, gdy wszystkie drogi prowadziły w przyszłość. Różnie się ona potem kształtowała, tych wędrówek po świecie nie było za dużo w tamtych czasach. Większość wędrówek odbywał po kraju. Pozostały liczne rysunki z tych pierwszych podróży, później były zdjęcia czarno białe, bo do kolorowych filmów nie miał dostępu. Przeżył wiele lat w okresie siermiężnego socjalizmu. Dopiero po zmianach ustrojowych, podczas tych późnych podróży mógł utrwalać ślady, notować wrażenia na kolorowych filmach, a potem już z cyfrowego aparatu magazynować to wszystko w pamięci komputera. Teraz nastąpił jednak kres drogi prowadzącej naprzód. Nadszedł czas zatrzymania się, a może nawet zawrócenia z wędrówki. Tu na miejscu, wchodził w ten wyświetlony, wirtualny świat na ekranie. Zaczął się cofać w przeszłość. Daleka droga wstecz przez osiemdziesiąt lat, droga do źródeł, do krainy dzieciństwa, do pierwszych obrazów, dźwięków i zapamiętanych zapachów. Ostatnio słuchał przy tym tej pierwszej ukochanej muzyki z dzieciństwa, tego jedynego kompozytora jakiego bez przerwy nadawało w internecie marsylskie Radio Mozart. Przy tych dźwiękach, ale nie z ich przyczyny mgła zagęszczała się coraz bardziej. Rajskie wyspy stawały się tylko powidokami i powoli wszystko stapiało się w magmę białej mgły.

16.06.2013

Rysunki, obrazy, fotosy



Drzewa, Stracownka 1968 - Rysunek piórką



Paryż 1974 - Rysunek piórkim



Zmierzch rakiet 1977 - Rysunek piórkkiem



Na odwrót 1975 - Rysunek piórkiem

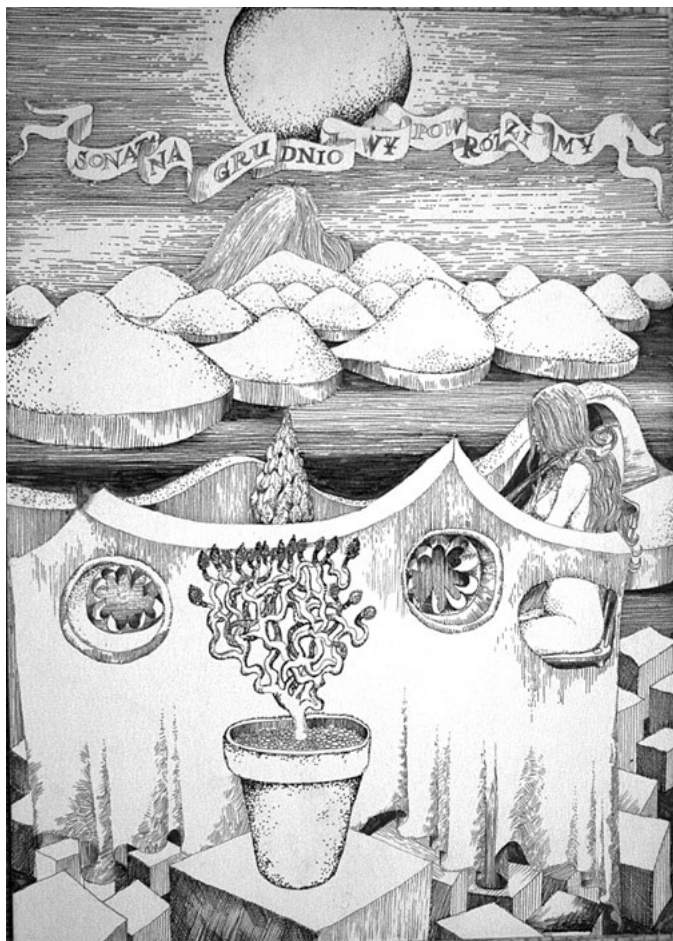


Józef Krupa 1954

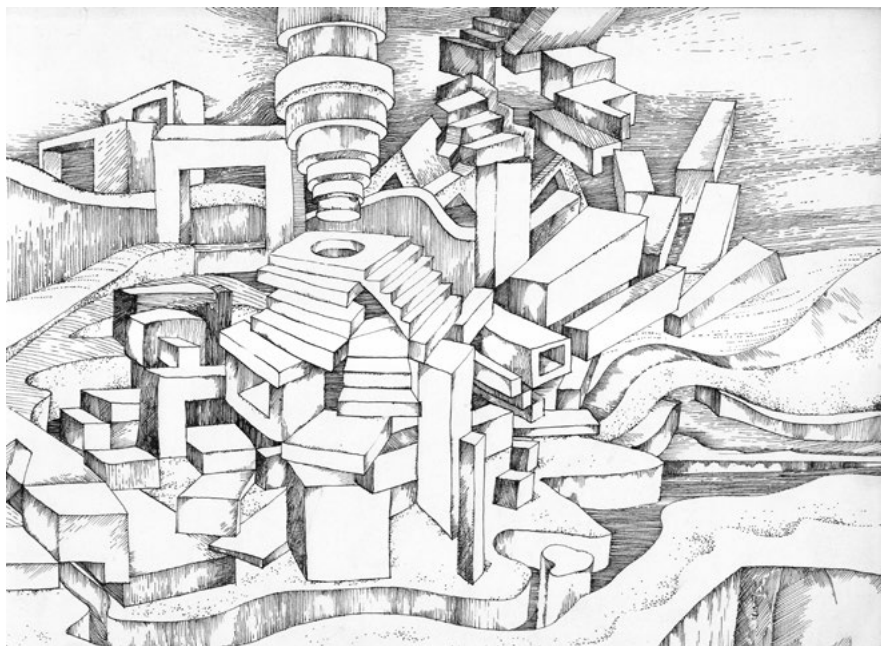
Pejzaż podkrakowski 1955 - Drzeworyt



Mazury 1980 - Rysunek piórką



bez tytułu 1974 - Rysunek piórkiewicz



Klockowanie 1976 - Rysunek piórkiem



Na święta 1986 - Rysunek piórkem



Abstrakcja 5 - Rysunek piórkiem



Abstrakcja 7 - Rysunek piórkiem



P.S. II 1982 - Olej 20x30



P.S. VII 1982 - Akryl 20x30



P.S. CXXXV 1998 - Akryl 60 x 80



P.S. CXVIII 2001 - Akryl 60 x 80



P.S. CXLIV 1999 - Akryl 60 x 90



P.S. CLVI 2002 - Akryl 30 x 40



Pejzaż z okna 2004 - Akryl 30 x 40



Pejzaż metaforyczny 1982 - Olej 30 x 40



P.S. CXLIV 1999 - Akryl 22 x 30



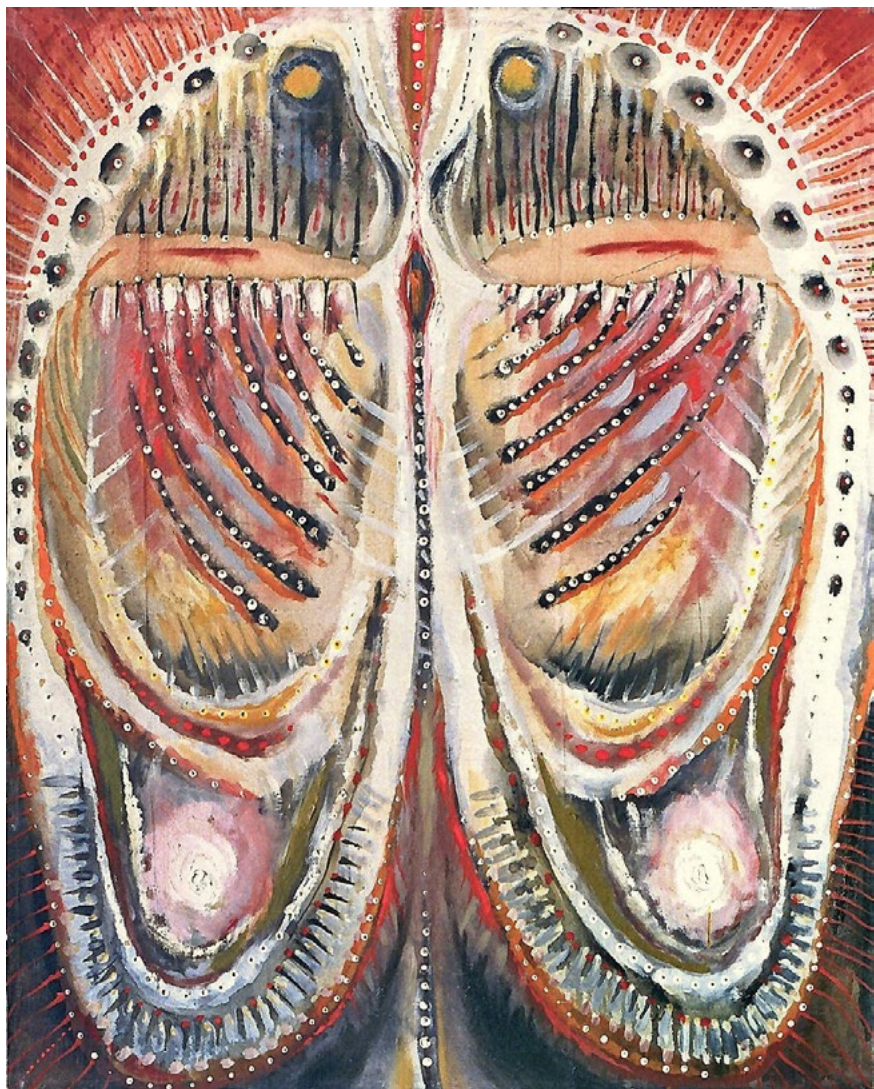
P.S. CLXXXV 2009- Akryl 22 x 30



P.S. CXLIX 2000 - Akryl 30 x 40



P.S. CXXXVII 2010 - Akryl 20 x 30



Abstrakcja 1971 - Akryl 100 x 75



Zagle II 2010 - Akryl 75 x 100



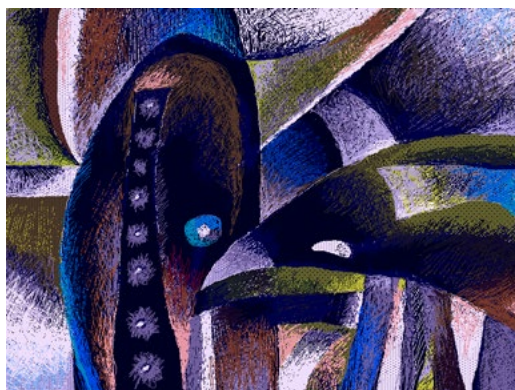
Abstrakcja 47 - Grafika cyfrowa



Abstrakcja 40 - Grafika cyfrowa



Abstrakcja 33 - Grafika cyfrowa



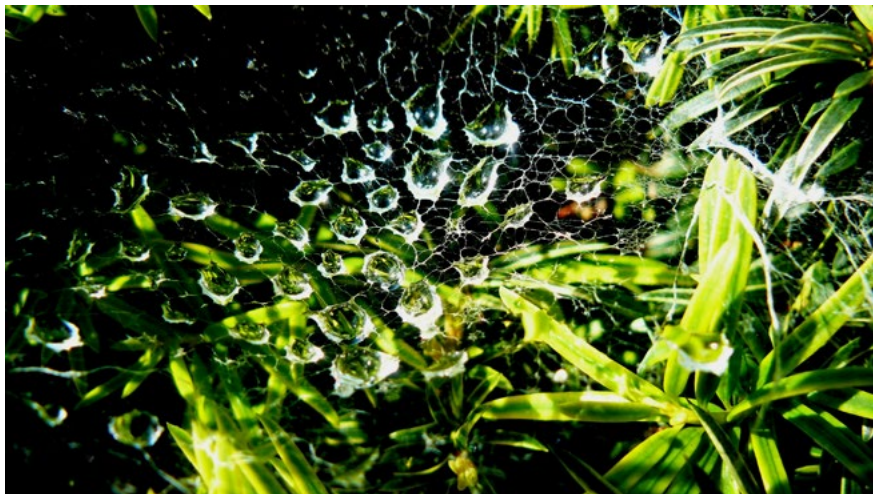
Abstrakcja 26 - Grafika cyfrowa



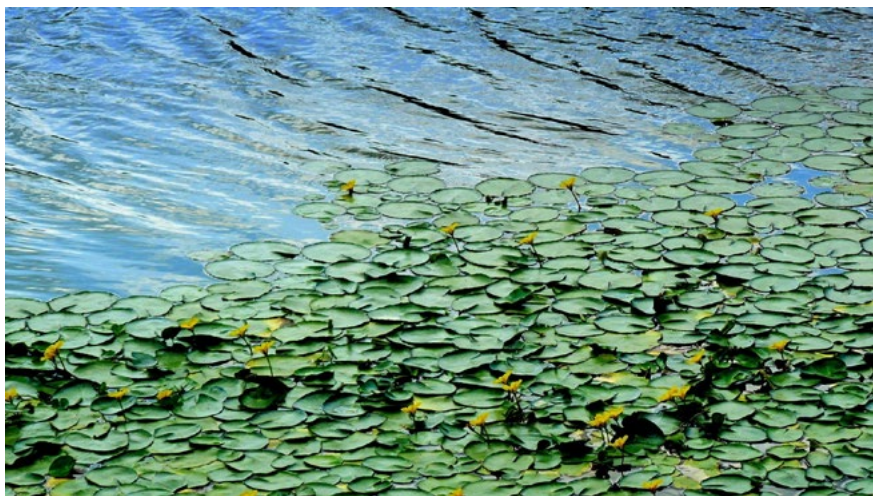
Abstrakcja 13 - Grafika cyfrowa



Rondo na rondzie



Skraplanie roślin



Wodna zielen



Pomroźne



Wodospadek



Mniej zimowy pejzaż



Bażantarnia Siemianowice



Koniec pływania



Podrzewne



Huba



Zdrewniate ślady



Po drzewie drewno



Odbicia



Zadni Mickiewicz



Wodne złoto



Szklana abstrakcja



www.ipk.sgl.pl